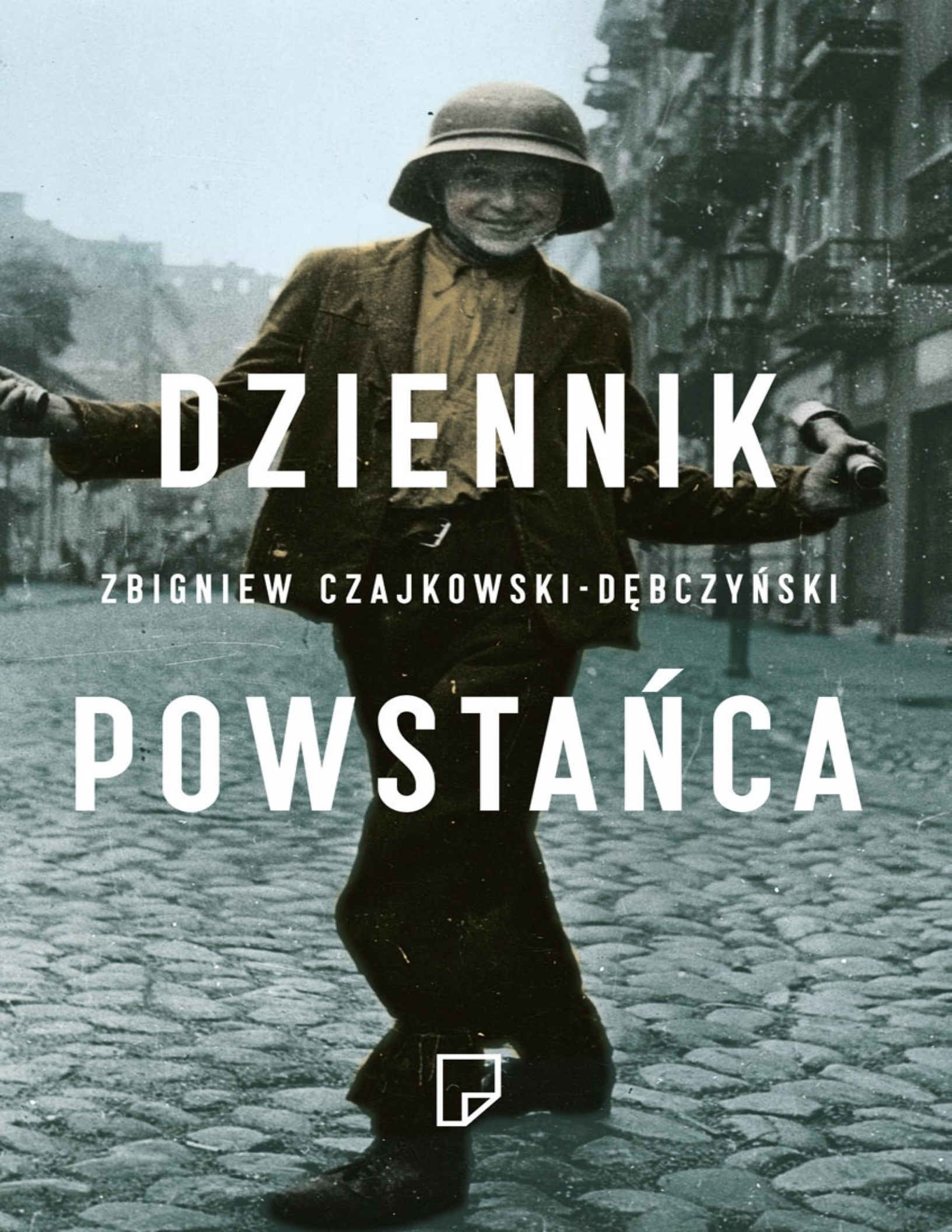

DZIENNIK POWSTAŃCA

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI-DĘBCZYŃSKI

DZIENNIK POWSTAŃCA

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI-DĘBCZYŃSKI

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Wstęp do drugiego wydania Dziennika powstańca
26 lipca
27 lipca
28 lipca
29 lipca
30 lipca
31 lipca
1 sierpnia
2 sierpnia
3 sierpnia
4 sierpnia
5 sierpnia
6 sierpnia
7 sierpnia
8 sierpnia
9 sierpnia
10 sierpnia
11 sierpnia
12 sierpnia
13 sierpnia

14 sierpnia
15 sierpnia
16 sierpnia
17 sierpnia
18 sierpnia
19 sierpnia
20 sierpnia
21 sierpnia
22 sierpnia
23 sierpnia
24 sierpnia
25 sierpnia
26 sierpnia
27 sierpnia
28 sierpnia
29 sierpnia
30 sierpnia
31 sierpnia
1 września
2 września
3 września
7 września
8 września
10 września
11 września

12 września
13 września
15 września
18 września
22 września
24 września
1 października
2 października
3 października
4 października
8 października
Epilog
Od wydawcy
Źródła ilustracji
Podziękowania od Wydawcy
Karta redakcyjna

Copyright © by Magdalena Czajkowska
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2014

Wstęp do drugiego wydania *Dziennika powstańca*

Większa część tej książki to pamiętnik, który pisałem w parę miesięcy po powstaniu i ukończyłem wkrótce po wojnie. Nie był on pisany z myślą o publikacji. Ot, po prostu wrażenia siedemnastoletniego powstańca, spisane bez specjalnego celu i zbyt szczere, jak sądziłem wtedy, by dzielić się nimi z kimkolwiek. Po latach, przed dwudziestą piątą rocznicą powstania warszawskiego, zmieniłem zdanie – pierwsze wydanie ukazało się w 1969 roku[1]. Teraz, przygotowując drugie wydanie po upływie przeszło pół wieku, zdecydowałem nie zmieniać nic i niczego nie dodawać do tej części (od 26 lipca do 2 września 1944 roku). Do drugiego wydania dodałem wspomnienia dni przed powstaniem – taki mały obrazek życia grupy młodzieży z tego czasu – oraz opis moich przeżyć od upadku Starówki do końca powstania[2].

Gdy po wielu latach chodziłem po Warszawie ulicami, które widziałem ostatni raz od strony piwnic, barykad i stosów gruzu, świat ten wydawał mi się równie nierealny, jakby był na przykład na Księżycu. Tylko właz do kanału przy ulicy Długiej jest wciąż ten sam i wita przyjaźnie jednego z byłych gości swym okrągłym wejściem. Mam nadzieję, że nigdy już nie będzie musiał służyć innym siedemnastolatkom.

Jest moment do refleksji, gdy to piszę, prawie pięćdziesiąt pięć lat od chwili, gdy wchodziłem do tego włazu. Tak, dla mnie zaistniały studia,

praca, rodzina, emerytura. Tak, dzięki tej dziurze nie jestem tylko napisem na płycie w kwaterze „Parasola” na Powązkach:

„«Deivir» 3 komp. Lat 17, sierpień 1944, Stare Miasto”.

Kiedy wybuchło powstanie, było nas w drużynie dziesięciu. Trzech przeżyło i żyją w chwili, gdy to piszę.

Tym siedmiu druhom i przyjaciołom, dla których owe lata nigdy nie zaistniały, chciałem zadedykować moją książkę.

Londyn, luty 1999

---

1 *Dziennik powstańca*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969.

2 *Dziennik powstańca*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1999.

Ta książka jest dla tych siedmiu:

,,Gryfa” (Romana Wojtowskiego), lat 17,
„Zoriana” (Zbigniewa Romaniszyna), lat 18,
„Kruka” (Wacława Przypkowskiego), lat 17,
„Lisa” (Bolesława Dworakowskiego), lat 16,
„Walgierza” (Napoleona Wolskiego), lat 18,
„Bohuna” (Ireneusza Jędrzejewskiego), lat 17,
„Butryma” (nazwisko nieznane), lat 17.

Autor Dziennika powstańca Zbigniew Czajkowski-Dębczyński

26 lipca

Alarm. Drużyna moja zbiera się sekcjami: pierwsza u „Zoriana” na Złotej, druga („Gryfa”) u „Lisa” na Chmielnej. Rozkaz przewiduje zbiórkę z całym oporządzeniem i sprzętem. Powstanie ma wybuchnąć lada chwila; mówią, że dzisiejszej nocy. Słychać, że Rosjanie zajęli Mińsk Mazowiecki, podchodzą pod Otwock, a nawet podobno pod Miłosnę.

Przyszedł „Mors” (dowódca plutonu), obejrzał sekcję „Zoriana” i dał rozkaz pozostania przez całą noc. Nastręcza to duże trudności na obu lokalach, ale co począć w tej sytuacji – trzeba wytrzymać. U „Lisa” chłopcy śpią pokotem na podłodze. Niewiele lepiej u „Zoriana”.

Na ćwiczeniach wojskowych przed wybuchem powstania

27 lipca

Noc przeszła spokojnie. Jadę rano rowerem na odprawę. Nic specjalnego. Nastrój w mieście niezwykły. Szkopy ewakuują się. Większość urzędów pozamykana. W nocy słychać było działa z frontu. Odwiedzam sekcję „Gryfa”. Nastrój doskonały, chociaż wszyscy zmęczeni trochę nocą. Skarżą się na wyziewy z bimbrowni. Po południu „Jana” przynosi rozkaz, że chłopcy mogą się rozejść do lokali w granicach miasta. Zakaz wychodzenia z domu. Ja mam mieć codziennie odprawę.

Kilka dni później chłopcy zostali żołnierzami

28 lipca

Jadę na odprawę do Krzysztofa (Baczyński) na Hołówki. Są wszyscy drużynowi. „Mors” jak zwykle spóźnił się o pół godziny. Dyskutujemy sprawę smętnego stanu magazynu. Podobno magazyn nasz ma starczyć na całą kompanię. Czemu nam tego nie powiedziano wcześniej? Wszyscy klną bardzo. Postanawiamy dać „opeer” „Morsowi”.

„Mors” przyszedł i ględzi coś niewyraźnie. Mówi, że sam też nie wiedział i że się to jakoś zrobi. Ano zobaczymy. Mamy „robić” magazyn butów. Z mojej drużyny idę tylko ja. Odprawa bojowa wyznaczona na jutro, godz. ósma, na Bagnie. Wracam powoli do siebie. Ulice pełne ludzi, którzy stoją przed domami, gadają. Niemców nie widać.

Grupa harcerzy przy budynku na ulicy Złotej 6

29 lipca

Jadę rano na tę odprawę bojową w sprawie butów. Są obecni: „Mors” (dowódca), „Szary”, Tadek „Piechocki”, „Jur”, jeden strzelec z drużyny „Jura” i ja. Lokal, gdzie jesteśmy, ma okna wychodzące na ulicę, akurat po przeciwnej stronie magazynu. Widać dokładnie cały budynek. Nie wiem, czy to bardzo mądre. Obgadujemy dokładnie całą akcję. Dostajemy broń. Przychodzi wiadomość, że samochodu nie będzie. Zresztą jest już za późno, by wykombinować coś nowego. Akcja odwołana na jutro o tej samej porze. Broń zatrzymujemy. Jadę do siebie na Sadybę. Po południu wpada Zbyszek Romaniszyn („Zorian”) na rowerze. Alarm. Drużyna już się zbiera w tych samych lokalach. Idę się pożegnać do cioci Janki. „Zorian” czeka przed willą. W domu cioci zobaczono przypadkiem u mnie broń pod marynarką i robi się rozczulająca scena pt. „wyjazd na wojnę”. Wreszcie wyrywam się, siadam na rower i odjeżdżamy galopem, żegnani machaniem chusteczek i załzawionymi obliczami w oknach.

Po przyjeździe na lokal przy ulicy Złotej zastaję już sekcję I w bardzo bojowym nastroju. Meldunek: sekcja II zebrała się. „Zorian” melduje, że można będzie wykorzystać lokal przy rogu Marszałkowskiej i Chmielnej. Jutro przeniosę tam sekcję „Gryfa”. Przychodzi „Mors”. Rozmawiamy o sprzęcie i o terminie akcji. Zachodzi potrzeba przyniesienia kilkuset opatrunków, jakie zostały jeszcze w moim mieszkaniu na Sadybie. Ponieważ nie mogę opuścić drużyny, posyłam „Kruka” (Wacek Przypkowski) na rowerze z kartką do cioci o klucz.

30 lipca

Rano leje jak z cebra. Pożyczam nieprzemakalny płaszcz i pędzę rowerem na Bagno. Dziś odprawa wyznaczona jest na siódmą trzydzieści, byśmy mogli być na miejscu punktualnie o ósmej. Złażą się wszyscy. Sprawa była obgadana dokładnie wczoraj, więc możemy ruszać. Wychodzimy pojedynczo, by za rogiem zawrócić z powrotem w stronę warsztatów. Trzeba przejść przez bramę, potem przez podwórko i w oficynie mieszczą się zakłady.

„Mors” idzie pierwszy, za nim „Piechocki” i ja. „Jur” ze swoim człowiekiem zostają w bramie i na ulicy na obstawie.„Szary” już przedtem poszedł sprowadzić platformę. Czekamy z „Piechockim” tuż przy wejściu. „Mors” puka. Otwierają mu bez przeszkody; jest to pora, kiedy pracownicy przychodzą do roboty. „Mors” wchodzi. Usiłują zamknąć drzwi za nim, ale podstawiam nogę i jesteśmy w środku. Widzę „Morsa” z wydobytą „czterdziestką”[3], mówiącego: „Hände hoch!”. Wydobywamy broń. Pierwsza sprawa to telefon. To moje zadanie. Telefon stoi w kantorze na biurku. Podchodzę i jednym szarpnięciem odrywam słuchawkę. Koledzy tymczasem rewidują zatrzymanych w pierwszym pokoju ludzi. Następnie idziemy od pokoju do pokoju wzdłuż budynku i zapędzamy wszystkich spotkanych do jednego pokoiku. Jest tam całkiem ciasno. „Mors” pilnuje ich. Moje zadanie teraz to warta przy drzwiach wejściowych. Wpuściłem zaraz Tadka, który przyniósł wielkie papierowe worki do pakowania butów. Czuwam przy drzwiach. Każdego pukającego wpuszczam i zamknąwszy

drzwi, rewiduję pod bronią, a następnie odprowadzam do pokoiku, w którym po przybyciu kilkunastu gości zrobiło się tłoczno. Spodziewanych ilości butów jednak nie ma, a żadne groźby co do wydania ukrytych nie skutkują. Najdokładniejsza rewizja lokalu nic nie pomaga i koledzy pakują do kilku worków te kilkadziesiąt par, które znaleźliśmy po szafach. Nadjeżdża platforma. Jest na niej dwu woźniców i „Szary”. Wóz jest po prostu wynajęty na sąsiednim placu Grzybowskim. Widząc wyładowujące się worki, woźnice musieli się w czymś połapać, bo widzę, że „Szary” pochyla się do nich i coś im tłumaczy, trzymając znacząco rękę w kieszeni. Załadowanie jest wkrótce skończone. Ruszamy. Ja idę w eskorcie wozu nieco z tyłu, „Sławek” z przodu. Reszta zostaje, by przypilnować zatrzymanych. Na placu Grzybowskim „Szary” wysiada i idzie z woźnicami do knajpy czekać na zwrot wozu, „Tadek” bierze lejce i tak zajeżdżamy na plac Teatralny. „Sławek” idący z przodu zawiadamia ciecia, brama się otwiera i wjeżdżamy w podwórko. Padający bez przerwy deszcz rozmoczył trochę papierowe worki, toteż gdy w pośpiechu przenosimy ładunek do pokoiku na tyłach sklepu będącego naszą meliną, worek niesiony przeze mnie pękł, wysypując swą zawartość na podwórze. Na szczęście niewiele osób to widziało i wszystko zostaje szybko pozbierane i złożone w magazynie. Platforma odjeżdża. Czekam pół godziny na placu Żelaznej Bramy na oddanie broni, ale nikt nie przychodzi. Idę na miejsce spotkania z „Sambą”, biorę od niego rower zostawiony na Bagnie i jadę do chłopaków na Złotą. Sekcja „Gryfa” (Romek Wojtowski) przeniosła się już do lokalu. Jest to niezbyt duża restauracja, z powodu obecnej przedpowstaniowej gorączki zamknięta od frontu. Szczególnie wygodna jest duża kuchnia, położona pod lokalem w suterenie. Jest ona bogato wyposażona w żywność, więc głodu nie będzie.

Jadę na Hołówki na odprawę. Nic specjalnego. Codzienne te odprawy są właściwie na wypadek, gdyby coś zaszło. Wracając, jadę na Leszczyńską pożegnać się z babcią, ciocią Zosią i Marysią. Spotkałem je siedzące w tramwaju przy „ekspedycji” na Solcu. Jadą one na Sadybę do cioci Janki. Może tam jest bezpieczniej. Pożegnania.

---

3 MP40 – niemiecki pistolet maszynowy.

31 lipca

Już z samego rana przychodzi „Jana” z rozkazami i paczką. W paczce jest trochę części mundurów niemieckich, skarpetki itp. Wszystko nowe, nasi musieli gdzieś zdobyć dobry magazyn. Rozkaz mówi o przygotowaniu pięćdziesięciu sztuk butelek zapalających. Rozsyłam chłopców na miasto. Idą skupywać benzynę. Kwas siarkowy i chloran potasu mamy na szczęście z dawnych zapasów. „Zorian” przynosi z lokalu butelki, „Kruk” trochę lakieru, pozostałego u niego z czasów „małego sabotażu”, „Walgierz” tłucze w moździerzu cukier. Fabryka idzie na całego.

Rozkaz mówi dalej, że mam się zgłosić na odprawę w jakimś nowym lokalu przy Grzybowskiej. Numer zaszyfrowany, ale źle, jak się wkrótce okazuje. Idę na Grzybowską. Na mieście ruch ogromny. Pełno ludzi z daleka już wyglądających na konspiratorów. Na szczęście patroli nie widać. Od czasu do czasu przejedzie tylko czołg „Tygrys”, na którego wieżyczce stoi cekaem gotowy do strzału. Aleją Sikorskiego ciągną wycofujące się oddziały niemieckie, głównie tabory i kałmucy. Wyglądają bardzo smętnie. Podobno rosyjska czołówka pancerna dotarła do Międzylesia. Widać pełno uciekających volksdeutschów z wozami pełnymi gratów. Wiszą czerwone plakaty o stawieniu się do pracy przy fortyfikowaniu miasta 100 tysięcy ludzi.

Znalazłem dom i mieszkanie. Pukam. Otwiera mi jakaś kobieta w średnim wieku. Wymieniam hasło. Niewiasta robi zdziwioną minę,

zaprasza mnie do środka i pyta się, co sobie życzę. Sytuacja bardzo głupia. Tłumaczę się, jak mogę, wreszcie słyszę:

– Ja to z konspiracją nie mam nic wspólnego, ale jak pan chce wiedzieć, gdzie chodzą wszyscy młodzi ludzie z paczkami, to idź pan przez podwórko, w sieni na lewo.

Posłuchawszy tej rady i klnąc wspaniałą konspirację, udaję się pod wskazany adres i rzeczywiście znajduję całe towarzystwo w komplecie. „Mors” twierdzi, że powstanie wybuchnie jeszcze dzisiejszej nocy. Wszyscy mają być gotowi, resztę broni wyda się przy zaczęciu. Na razie mają dostarczyć na lokal 4 kg plastyku, z którego mamy zrobić trzy miny szturmowe. Dostaję jeszcze po parę „górali”[4] na wyżywienie, po 1000 zł dziennie na drużynę. Nastrój bardzo podniecony. Wracając, kupiłem chłopakom kilkanaście kilo owoców.

Wróciwszy do lokalu, zastałem chłopców w komplecie, wszystko spakowane, broń wyczyszczoną. Plastyk już przyniesiono: był trochę za twardy, a że mina szturmowa musi być miękka i lepka, przeto wyrabia się go na stolnicy z odrobiną wazeliny. Butelki już stoją w pięknym rzędzie, gotowe do zabrania. Cały wieczór siedzimy wygodnie w kuchni przy wielkim stole, popijając piwo, którego jest tu dostatek, i zagryzając dobrymi rzeczami. Na noc ułożyliśmy się na górze, na zsuniętych razem stolikach restauracyjnych. W ciszy nocy słychać dudnienie artylerii radzieckiej, przeszedł nalot. Jako że jest pogotowie bojowe, wolno zdjąć tylko buty. Chłopcy długo przewracają się z boku na bok, obgadując bez końca przyszłe akcje. Ze względu na konieczność wypoczynku nakazuję w końcu ciszę.

---

4 Banknot pięciusetzłotowy w czasie okupacji.

1 sierpnia

Już od rana czuć coś w powietrzu. Wpada „Mors” sprawdzić jeszcze raz, czy wszystko w porządku. Trzymam chłopców na dwóch lokalach, większość w lokalu przy Chmielnej. Część sekcji „Zoriana” przebywa u niego na Złotej 14/16. Nawet „Butrym”, mieszkający akurat naprzeciwko, siedzi cały czas w domu. Wychodzimy ze Zbyszkiem („Zorianem”) zobaczyć, co słychać, i dostać coś do zjedzenia. Wszędzie widać całe masy konspiratorów. Konspirację czuć na kilometr z daleka po wojskowych butach i kurtkach. Ciągną jakieś pakunki, śpieszą na „koncentrację”. Marszałkowską przejechał wolno patrolujący czołg. Telefony nie działają. Urzędy zamknięte. Kupujemy trochę bułek i owoców. Płacimy „góralami”, biorąc resztę w towarze. Inaczej już nikt nie przyjmuje. Wracamy na Złotą. Zastaję pisemny rozkaz. Mam zgrupować całą drużynę w jednym lokalu (u „Zoriana”), gdyż z chwilą wybuchu powstania może zostać przecięta ul. Marszałkowska. Poza tym mam się zgłosić o godzinie 4 na ul. Focha w celu pobrania butów dla drużyny. Przychodzą chłopcy z lokalu z gratami, robi się niemożliwy tłok. Paru potrzebujących nowych butów mierzy „kopyta”.

O godzinie za piętnaście czwarta biorę torbę na buty, wsuwam na wszelki wypadek „maszynę” za pasek, siadam na rower i jadę. Przy rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej widać jakieś zbiegowisko. Ludzie kłębią się dokoła kogoś w środku. Migają wielkie płachty papieru. Podjeżdżam bliżej i rozpoznaję tak dobrze znane, nierozcięte jeszcze

numery ostatniego „Biuletynu Informacyjnego”. Sprzedawane są po 10 zł. Tego jeszcze nie było. Zahamowałem nagle, by zaopatrzyć się w jeden na pamiątkę. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że nie mam czasu, i ruszam dalej.

Lokal na Focha jest tuż koło placu Teatralnego. Jest to mały sklepik z wózkami dziecinnymi. Mieściła się tu nasza konspiracyjna „skrzynka”. Teraz sklep jest zamknięty, ale gdy wpuszczają mnie do środka, widzę całe towarzystwo w komplecie: Krzysztof (Baczyński), który jest zastępcą dowódcy plutonu, „Piechocki” i „Gram” – drużynowi, oraz „Sławek” (Witold Sławski) z mojej drużyny, pełniący obowiązki gospodarza w zastępstwie swego wuja, który o naszym pobycie tu nic nie wie i nie powinien wiedzieć. Brakuje tylko „Morsa”, który spóźnia się jak zawsze. Godzina czwarta trzydzieści. Zniecierpliwieni jesteśmy ostatecznie i mamy zamiar rozejść się. Od strony ulicy Miodowej rozległo się parę strzałów. Granat – jeden, drugi, długa seria karabinu maszynowego. Trzeba poczekać – mówi „Sławek”.

Cofnęliśmy się od wyjścia. Serie broni maszynowej, wybuchy granatów i pojedyncze strzały nie ustają ani na chwilę. Jakaś duża akcja musi to być. Musieli ich Niemcy otoczyć w domu, więc bronią się – zauważa „Gram”.

– Słuchajcie, słuchajcie! – krzyknął ktoś od drzwi. – To chyba powstanie!

Od strony placu Napoleona niosą się odgłosy nowej strzelaniny.

– Nie róbcie krzyku. Przecie nas nie zawiadomiono – mówi Krzysztof. – A zresztą pozostaje nam tylko czekać na rozwój wypadków – dodaje po chwili.

Siadamy w głębi sklepu. Przed nami za cienką szybą okna i drzwi – ulica. Zaraz też, jak na scenie, zaczynają się dziać tam dziwne rzeczy. Ulica zupełnie opustoszała z chwilą pierwszych strzałów. Potem zaczynają się przesuwać ludzie, przeważnie kobiety. Wszyscy mają ręce podniesione do góry i trzymają chusteczki. Wygląda to bardzo dziwnie. Ostatni z nas przestał mieć wątpliwości, że powstanie rzeczywiście wybuchło. Przebiegł patrol SA w hełmach i kompletnym bojowym rynsztunku. Za chwilę przechodzą dwaj tacy sami SA-mani z karabinami w ręku. Rozglądają się bacznie po domach dokoła. Nagle megafon z latarni na placu chrząknął i zaczął:

,,Tu komendant wojskowy miasta Warszawy. Ogłaszam natychmiast stan wojenny dla całego miasta. Nikomu nie wolno opuszczać domów. Domy, z których się będzie strzelało do Niemców, będą zrównane z ziemią, a ich mieszkańcy rozstrzelani”.

Dalej to samo po niemiecku z dodatkiem, że wszyscy Niemcy i volksdeutsche mają się zgłosić na posterunki wojskowe. Tak będzie to trwało do późnej nocy w odstępach półgodzinnych. Widać nie zdobyto jeszcze centrali megafonów.

Zapada zmrok. Niebo zaczerwieniło się łunami jakichś pożarów. Strzelanina wzmaga się z każdą chwilą. Zakładamy radę wojenną. Jasne jest, że w tym sklepie nie możemy długo siedzieć. Wszyscy przeklinają przypadek, który sprawił, że musimy siedzieć tu w tej dziurze. Myślę o moich chłopcach, o tym, od jak dawna szykowaliśmy się razem na tę chwilę, a teraz jesteśmy rozdzieleni. Wiem, że „Zorian” poprowadzi wszystko dobrze, ale zawsze lepiej byłoby być razem. Stawiam projekt, by zaczekać, aż się zupełnie ściemni, a następnie, wyszedłszy przez frontowe drzwi możliwie po cichu, w skarpetkach, starać się o dotarcie na teren obsadzony przez nasze oddziały. Niestety nikt nie orientuje się, gdzie należy szukać naszych. Strzelanina dochodzi ze wszystkich stron, ale możemy równie dobrze trafić na Niemców. Jesteśmy zaś prawie bezbronni. I z tego powodu projekt upada.

Krzysztof uważa, że najlepszym wyjściem z sytuacji jest zaczekać, aż jakiś inny oddział będzie w pobliżu, przyłączyć się do niego, a następnie starać się dostać do naszych. Krzysztof jest najstarszy stopniem i funkcją, więc jest naszym naturalnym dowódcą. „Sławek” wychodzi tylnym wyjściem na podwórze zobaczyć, co słychać w kamienicy. Ułożyliśmy się rzędem za ladą na starych gazetach i czekamy. „Sławek” wraca, ale słyszymy, że nie jest sam. Domyślamy się, że to jest jego wujek, właściciel sklepu. Na całe szczęście w lokalu jest zupełnie ciemno; w samą porę podkulamy nogi. Wujcio potknął się o czyjąś nogę.

– Ależ tu ciemno, zapalę zapałkę.

– Oj, lepiej nie, jeszcze zobaczą światło z zewnątrz – zorientował się w porę „Sławek”.

– Tak, tak, trzeba być bardzo ostrożnym.

Widzimy, że wujaszek jest tchórzem podszyty. Sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, i wyszli. Za chwilę „Sławek” wraca sam. Opowiada, że

w całej kamienicy panuje bardzo tchórzliwy nastrój. Wszyscy lokatorzy siedzą w piwnicy i trzęsą się ze strachu. Megafon przed domem zrobił swoje. Nie ma mowy, żeby udzielili nam schronienia. „Sławek” radzi, żeby dwóch z nas wyszło, a on nas przedstawi jako swoich kolegów, którzy zostali odcięci od domu przez wybuch powstania. Krzysztof wyznacza mnie i „Grama”. W wujcia, gdy nas zobaczył, jakby piorun strzelił. Nie przejmując się nami, zaczyna jęczeć:

– Aj, ty mi zawsze kłopotu narobisz. Tacy młodzi ludzie! Niemcy gotowi pomyśleć, że to są ci... ci...

„Sławek” zrobił niewinną minę.

– Tak mi bardzo przykro. Nie możemy ich przecież wyrzucić teraz. To tacy porządni, spokojni chłopcy.

– No, weź ich na górę i daj im co zjeść – mruknął w końcu wujcio i dał nura do schronu.

W mieszkaniu wujcia na drugim piętrze „Sławek” ugaszcza nas, jak może. Mam zawsze wielki apetyt w takich krytycznych chwilach, zupełnie inaczej niż inni. „Sławek” zanosi pół bochenka chleba kolegom na dole, my tymczasem podziwiamy widok z okna w stronę Wisły. Wszędzie widać łuny ogromnych pożarów. Strzelają rakiety. Od mostu idą w górę kolorowe sznury pocisków z działek przeciwlotniczych. Prawie nie można zmrużyć oka tej nocy. Tam toczy się dawno upragniona walka, a my musimy tu siedzieć i nic nie robić.

Brama pałacu Blanka, gdzie mieściła się siedziba niemieckiego starostwa kierowanego przez Ludwiga Leista, lipiec 1944 roku

2 sierpnia

Bardzo wcześnie rano rozlega się strzelanina na ulicy. Od strony pałacu Blanka wali bardzo długimi seriami karabin maszynowy. Odpowiadają mu pojedyncze strzały na ulicy, jakby tuż koło naszego domu. Walka! A więc nasi są w pobliżu! Na złamanie karku pędzimy po schodach na podwórze. Widzimy „Piechockiego” i Krzysztofa otwierających bramę.

Widzę biegnących naszych. Biało-czerwone opaski. Przeważnie młodzi chłopcy. Uzbrojenie mają słabe. Pistolety, karabiny, czasem tylko butelki zapalające. Widzę jakiegoś jegomościa z brodą i wąsami, i z gołą szablą w ręce. Wygląda à la rok 1863. Pytamy się o dowódcę. Zaraz będzie. Młody podporucznik przeskakuje z drugiej strony ulicy. Krzysztof melduje mu naszą sekcję i prosi o przydzielenie do oddziału. Porucznik pyta się o broń. Dowiedziawszy się, jak sprawy wyglądają, mówi, że i oni nie mogą nam nic dać. Kto chce, może wziąć butelki zapalające. Wydają nam opaski, bo prawie wszyscy z nas zostawili opaski przy swoich grupach. Oddział, który spotkaliśmy, jest częścią II baonu motorowego. Dowiadujemy się od nich, że Starówka, skąd właśnie przychodzą, jest cała w rękach naszych. Oddział ich właśnie atakuje pałac Blanka.

Przyłączamy się do czołowej grupy i wpadamy do piwnic. Zdążyłem jeszcze zauważyć przerażone spojrzenie wujcia, gdy nagle zobaczył pięciu drabów z opaskami wyrosłych jak spod ziemi w jego własnym sklepie.

Przechodzimy piwnicami w stronę domu narożnego Senatorska–plac Teatralny. Niemcy nakazali już dawno przebić przejścia z domu do domu

i to umożliwia nasze posuwanie się. Ludność, niedawno usposobiona niechętnie, wita nas teraz owacyjnie. Dochodzimy do narożnego domu i grupujemy się w bramie. Zjawia się wielu cywilów. Niektórzy z nich częstują naszych, czym mogą. Ktoś napchał mi do kieszeni kruchych ciastek. Przyczepił się do mnie jakiś sympatyczny staruszek z butelką i talerzem z zakąskami i upiera się, że muszę się z nim napić.

– Erkaem na trzecie piętro! Ktoś niech pomoże – krzyknął dowódca.

Spojrzałem na Krzysztofa. Ten skinął głową i już sadzę po schodach za obsługą. Na trzecim piętrze wnet wyłamujemy drzwi do mieszkania, celowniczy podbiega do okna. Zaczyna się ogień. Obserwuję ostrożnie zza firanki, jak kule oczyszczają pierwsze piętro będącego tuż naprzeciw i poniżej pałacu Blanka. Widzę, że nic tu po mnie, przeto zbiegam do swoich na dół. Ulicą Senatorską grupa żołnierzy ciągnie drabinę, za nią druga. Podbiegam im pomóc. Pałac nie ma okien parterowych od strony Daniłowiczowskiej, pierwsze piętro jest ciche, więc można działać bez przeszkód. Przystawiają drabiny do okien. Robi się mały tłok przy wejściu. Mija ładnych parę chwil, zanim udaje mi się wleźć na drabinę. Wszystko chwieje się i trzeszczy, każdy popycha swego poprzednika. Znalazłem się w pokoju kosztownie umeblowanym, z dywanami i obrazami. Wszyscy przebiegają dalej, ja za nimi. Przeskakuję leżącego na podłodze SA-mana. Akcja rozwija się bardzo szybko. Biegniemy z pokoju do pokoju, wpadamy na lśniącą marmurami klatkę schodową. Spotykam na dole SA-mana z karabinem.

Mam szczęście. Strzelamy pierwsi i SA-man leży na posadzce z rozwaloną głową. Natarcie idzie dalej w trzech kierunkach: na pierwszym piętrze, na parterze i w piwnicy. Ktoś rzuca granat na schody, do podziemi. Gdy biegnę tam za kilkoma innymi, woda bucha strumieniem z rozbitego w wejściu kaloryfera i spływa w dół po schodach. Piwnice w stronę placu są wolne od Niemców, na drugą stronę nie można się przedostać.

Wracam na parter. Ciężki obstrzał z drugiej strony podwórza uniemożliwia prawie poruszanie się. Wołają, żeby atakować od strony bramy. W tym celu trzeba znaleźć się z powrotem na ulicy. Pod arkadami od strony Daniłowiczowskiej spotykam paru naszych. Na parę minut jesteśmy zmuszeni ukrywać się za filarami z powodu czołgu niemieckiego strzelającego od strony Wierzbowej. Obserwuję, jak pociski rozrywają się na frontowej ścianie domu. Nie robią nikomu żadnej szkody i czołg

wkrótce odjeżdża. Wtem jak spod ziemi zjawia się na ulicy dwu młodych ludzi. Są bez marynarek, ale mundurowe spodnie zdradzają ich przynależność do SA. Momentalnie zostają zatrzymani. Jeden mówi po polsku. Ale nie ma czasu, można bowiem już ruszać w stronę bramy.

W tej chwili uświadamiam sobie, jak to dziwnie wygląda żołnierz polski na ulicy w Warszawie. Zrobiło mi się jakoś głupio. W biały dzień, z opaską, z bronią na wierzchu; to tylko reminiscencje konspiracji. By dostać się do jedynego okna parterowego w pobliżu bramy, trzeba się posuwać płasko, plecami po murze budynku. Pociski niemieckie lecą o kilkanaście centymetrów od ściany. Idący przede mną człowiek wycofuje się nagle z paskudnie przestrzeloną dłonią, obryzgał mnie krwią. Nasz ranny leżący na podwórzu pałacu woła o pomoc. Jest ranny w brzuch. Niemcy nie mogą go dobić, bo leży za zasłoną muru, ale i my nie możemy się do niego dostać. Docieram do okna i wślizguję się do środka. Jestem w pokoju, który służył Niemcom za wartownię. Jest tu paru naszych, jeden trup Niemca i jakaś kobieta, podobno służąca. Szperamy za bronią. Znajduję skrzynkę granatów ręcznych. Biorę parę dla siebie i więcej dla kolegów. Zbroję wszystkich w granaty na miejscu. Znajduję też mnóstwo paczek z nabojami do francuskiego karabinu typu Bertier. Wkrótce znajduję także i sam karabin do nich. Daję go „Sławkowi”. Idziemy dalej. Wszędzie pusto. Dochodzimy do miejsca, gdzie już byłem. Biorę udział w mało skutecznym wyłamywaniu pewnych drzwi w piwnicy. Woda z rozbitego kaloryfera stoi już po kostki.

Gdy wychodzę, właśnie ostatni broniący się Niemcy zostają zlikwidowani. Wzięto do niewoli p. Frigolina, zastępcę Leista[5], jak również pięciu innych SA-manów. Zapoczątkowuję zrzucenie portretów Hitlera z okien pierwszego piętra. Zebrana już dość licznie ludność przyjmuje to owacyjnie. Paru z nas wychodzi na narożny balkon. Ktoś wzniósł jakiś okrzyk. Potem inni. Odśpiewano hymn. Zrobiła się mała manifestacja. Ludzie śmieją się i płaczą, w ogóle radują się, jak mogą. Rzucona myśl budowy barykady w poprzek Senatorskiej zostaje entuzjastycznie wprowadzona w czyn. W parę godzin urasta spory wał z płyt chodników, mebli, wózków. Jest też w niej cały kiosk, nawet razem z papierosami.

Wędruję po pałacu. Wszędzie kosztowne dywany, lustra, meble. Niemcy niewiele stąd ukradli. Są ogromne zapasy wykwintnej żywności,

począwszy od najlepszych niemieckich konserw i polskich konfitur, a skończywszy na amerykańskiej czekoladzie. Żołnierze nasi szperają tu i ówdzie w poszukiwaniu broni, kręci się również trochę jakichś podejrzanych cywilów szabrujących, co się da. Na szczęście zjawia się jakiś porucznik i wyrzuca część z nich. Przeglądam papiery. Na biurku są pomiędzy nimi wzorcowe egzemplarze czerwonych list, oznajmiających rozstrzeliwania, tak niedawno jeszcze będących postrachem Warszawy. Biorę kilka na pamiątkę.

Nasza grupa otrzymuje rozkaz stawienia się w Ratuszu. Zbieramy się i odchodzimy. Mamy już teraz trochę broni i ręcznych granatów. Meldujemy się u majora, który jest komendantem Ratusza. Nie może nam nic powiedzieć o naszym oddziale, ale przydziela nas na razie do załogi Ratusza. Już jest koło południa, gdy zajmujemy pozycje na tyłach budynku, od strony więzienia. Więzienie jest już w naszym ręku i toczy się właśnie walka o Bank Polski. Pozycja nasza jest w oknach pierwszego piętra. Ostrzegają nas, by nie wchodzić do pewnego pokoju. Podobno znajduje się tam niewypał. Zaglądam. Na stole stoi granat „gamoń” bez zakrętki, ale z tasiemką zapalnika. Zabezpieczyłem go i włożyłem do chlebaka, który wykombinowałem po drodze w garażu straży pożarnej. Tamże „Piechocki” znalazł piękny, błyszczący hełm. Maluje go właśnie olejną farbą i posypuje piaskiem. Wygląda to bardzo oryginalnie.

Nagła strzelanina rozlega się z frontu od placu Teatralnego. Wpada goniec.

– Prędko, prędko! Wszyscy na front!

– Co się stało?

– Niemcy atakują. Może już są w Ratuszu.

Rzucamy się biegiem. Na pierwszym dziedzińcu strzały słychać tuż obok. Od strony bramy biegnie dwóch żołnierzy. Widzimy, jak z dowództwa wybiega jakiś oficer z pistoletem i zabiega im drogę.

– Wróć! Dokąd?!

– Niemcy są już w Ratuszu! Wszędzie!

Dobiegamy do grupy. „Gram”, nie namyślając się wiele, wali jednego z uciekających w szczękę. Wyrwałem drugiemu karabin. Oddaje bez trudu. Zauważam, że ma bardzo niesympatyczną mordę. Wbiegamy do frontowych sal Ratusza. Pełno dymu i kurzu, tak że trudno coś dojrzeć. Z trzaskiem wpadają kule przez okna i odbijają się po ścianie. W jednym

miejscu pali się zamykająca okno barykada z kartotek. Pusto, tylko w następnej sali szamota się ktoś z zaciętym karabinem. Podbiegam do okna. Na placu widać hełmy niemieckie. Głównie kryją się w zasłonach spalonej Opery. Rzucam granat, jak najdalej mogę. Niestety, nie mogę zobaczyć rezultatu. Podbiegam do okna i rozpoczynam ogień. Karabin prawie nowy bije wspaniale. Z początku trochę muszka jeździ mi po celu, ale potem się uspokaja. Trzask pocisków o futryny i barykady okien zmusza mnie do ustawicznej zmiany pozycji. Ktoś rzucił mi parę łódek naboi. Nie widzę celu. Ogień ustał. Plac jest pusty. Wszystko razem nie trwało więcej jak parę minut. Wycofujemy się znowu na nasze dawne pozycje. Oczywiście karabinu już nikomu nie oddam.

Zapada mrok. Czuwamy na zmianę w oknach pierwszego piętra. Pod nami barykada w poprzek ulicy Daniłowiczowskiej i Hipotecznej. Przed nami milczący Bank. Około północy, gdy mam właśnie służbę, widzę zbliżający się od strony Starówki oddział. Idą gęsiego długim rzędem, są dobrze uzbrojeni. W ciemnościach prześwitują białe chłodnice peemów.

– Nasi! – wykrzykuje Krzysztof.

Rzeczywiście, nasza kompania, będąc w „małpim gaju”, malowała chłodnice stenów na biało. Krzysztof posyła mnie na dół, gdzie oddział ten właśnie wchodzi do Ratusza. Same nieznane twarze. Peemy okazują się zwykłymi „błyskawicami” z aluminiowymi chłodnicami. A już myśleliśmy, że to nasi chłopcy...

Ruiny Ratusza przy ulicy Senatorskiej 14/16, widok od wylotu ulicy Bielańskiej

---

5 Niemiecki komisaryczny burmistrz Warszawy.

3 sierpnia

Wyznaczono całą naszą piątkę do pełnienia służby jako posterunek obserwacyjny na wieży Ratusza. Wspaniała pozycja. Z platformy ponad zegarem rozciąga się widok na całą Warszawę. Kto się odważy, może wejść jeszcze parę pięter w górę po krętych schodkach na najwyższy balkon, gdzie przy takiej pogodzie jak dzisiaj widać okolice miasta w promieniu kilkunastu kilometrów. Z wielkim hukiem kule przebijają blaszane pokrycie wieży i odbijają się od żelaznego szkieletu. Niemcy widzą w oknie, gdy ktoś zaczyna wchodzić na schodki, i usiłują go potem trafić na niewidzianego. Wyposażony w lornetkę i wygodnie ukryty na szczycie poddaję długiemu badaniu okolicę.

Wytężam oczy w stronę lasów poza Wisłą. Tam przecież powinni być Rosjanie. Nie widać żadnego śladu życia. Nic nie znamionuje, że tam ma przebiegać front. Na Pradze widać parę pożarów. Największy w rejonie mostu Kierbedzia. Ogromne kłęby czarnego dymu unoszą się w powietrzu. Pali się dom Schichta w pobliżu mostu, po naszej stronie. Na wielu domach w śródmieściu widać powiewające polskie chorągwie. Warszawa jest nasza. Na zachód widać w pięknej perspektywie ulicę, zdaje się Elektoralną. Ulica jak wymarła, na odcinku kilkuset metrów przegrodzona ośmioma barykadami.

Około południa jesteśmy świadkami gwałtownej walki. Parę niemieckich czołgów pojawia się zza rogu i strzelając z dział, usiłuje posunąć się zabarykadowaną ulicą. Widzę wyraźnie przez lornetkę, jak ich

pociski rozrywają się na ścianach domów. Trafione barykady rozsypują się dokoła deszczem rozsypanych kamieni i belek. Hałas strzałów niknie w ogólnej kanonadzie, do której zdążyliśmy się już przyzwyczaić jak do czegoś codziennego. Widać, jak czołgi wspinają się ciężko na barykady i przechodzą je. Przeszły już pierwszą, drugą, najbliższy już przeszedł trzecią i toruje sobie drogę przez czwartą. Nagle z okien kamienic pojawiają się jakieś przedmioty i spadają na czołgi. Niektóre niosą na sobie drobną iskierkę płomienia, wszystkie rozpryskują się na pancerzach strugami ognia. Obrońców nie widać. Przejmujące wrażenie robi ta oglądana przez nas w odległości niecałego kilometra walka maszyn z milczącymi kamienicami. Momentalnie ulica zapełnia się kłębami dymu i wszystko ginie nam z oczu. Po placu Piłsudskiego, który widzimy poza gruzami Opery, wciąż przesuwają się Niemcy, pieszo i samochodami. Posyłamy gońca z zapytaniem, czy można zapolować na nich. Niewidzialny dla nas czołg strzela do szczytu drapacza chmur na placu Napoleona. Domyślamy się, że szkopów denerwuje widoczna na szczycie chorągiew polska. Strzały nie robią wrażenia na żelazobetonowej konstrukcji gmachu, jedynie z drewnianej nadbudówki sypią się deski i wolno opadają z szesnastopiętrowej wysokości. Za szóstym czy siódmym strzałem flaga znika. Widząc, co się święci, Krzysztof wydaje rozkaz zwinięcia naszej chorągwi. Zawiesiliśmy ją z „Gramem” z rana na samym szczycie wieży. Jest bardzo długa i pięknie wygląda. Namęczyliśmy się niemało, taszcząc po krętych schodach długi drąg. Teraz zwijamy ją pospiesznie w obawie, by Niemcy nie wymacali nas przy tej okazji z karabinu maszynowego. Jednakże dopiero gdy schodzimy z góry, seria z kaemu jedzie po całej wieży od góry do dołu. Rzucamy się biegiem. Niemcy uwzięli się i walą gęsto tuż przede mną. Kula rozrywa poręcz schodów i sypie mi w twarz drzazgami. Jeszcze skok przez okno, gdzie jesteśmy zupełnie widoczni, i leżymy szczęśliwie poza zasłoną muru. Dostajemy zezwolenie na strzelanie do zauważonych Niemców.

Nie jestem pewny swojej ręki i oddaję na początek karabin lepszym strzelcom niż ja. Co kilka minut pada teraz od nas parę strzałów. Niemcy z początku – nie wiedząc, że są pod obstrzałem – idą normalnym krokiem. Obserwuję z boku. Jeden z przechodzących placem Piłsudskiego Niemców zachwiał się i padł. Niestety, za chwilę wstał i biegnie, już jest za zasłoną. Trudno trafić do ruchomego celu, ale jednemu z naszych się to udaje.

Leżącego szkopa zabierają inni. Moja kolej. Wychodzi z pałacu Brühla grupa oficerów i żołnierzy. To wspaniała gratka. Strzelam, jak najlepiej mogę, ale nie widzę jakoś rezultatu. Zaczynają biec i wpadają do stojącego na placu samochodu. Tu was mam. Ładuję nowych pięć naboi i walę raz za razem. Każdy pocisk siedzi w pudle, tego jestem pewien. Nowa piątka. Samochód ledwo co ruszył, znowu stanął. Walę. Wreszcie rusza. Jeszcze pięć pocisków, zniknął za rogiem Królewskiej. Chciałbym widzieć rezultat moich strzałów. Ha, trudno!

Odwiedził nasz posterunek sam komendant odcinka i polecił prowadzenie dokładnej obserwacji. Przy niezupełnie wyjaśnionej jeszcze sytuacji może to dostarczyć cennych informacji. Czuwam przy oknie od strony północnej. Widać całą Starówkę i Żoliborz. Z początku sądziłem nawet, że ta część miasta jest wolna od nieprzyjaciela. Dopiero długa seria cekaemu posłana wyraźnie pod moim adresem pozbawiła mnie tych złudzeń. Muszą strzelać z dużej odległości, bo chybili okno o przeszło metr, obsypując mnie tylko tynkiem. Trzeba być ostrożniejszym.

Jemy właśnie doskonałe zdobyczne konserwy, gdy wtem pada okrzyk: „Czołgi!”. Rzeczywiście: od strony Krakowskiego Przedmieścia słychać łoskot gąsienic. Czekamy w napięciu, czy zbliżą się w naszą stronę. Widać sześć czołgów jadących Nowym Zjazdem. Wjeżdżają na most. Odetchnęliśmy z ulgą. Poszedł goniec z meldunkiem, że niebezpieczeństwo przeszło. Wtem zjawia się nowe, całkiem niespodziewanie i całkiem blisko. Tym razem dwa „tygrysy” wjeżdżają na plac Piłsudskiego i jadą w naszą stronę.

– „Deivir”, wal z meldunkiem do komendy!

– Rozkaz!

Podnoszę się ze swojego miejsca i przebiegam do schodów. W momencie, gdy prawie wyprostowany przebiegam koło dużego okna, mignęło mi coś z hukiem tuż przed nosem. Wpadam na schody. Mam wrażenie, jakbym uderzył się mocno prawym łokciem o coś twardego. Ręka zaczyna boleć. Zrozumiałem, że mnie trafili. Poruszyłem niepewnie palcami. Nie jest tak źle. Tylko krew strumyczkiem cieknie z rękawa i znaczy drogę po stopniach. Nigdy wieża nie była taka wysoka! Już na dole wpadam na wracającego „Sławka”.

– Leć do dowództwa i powiedz, że dwa „tygrysy” walą placem Piłsudskiego w naszą stronę. Jestem trochę ranny i nie mogę iść sam

– Co ci jest?

– Nic, głupstwo. Leć.

„Sławek” pobiegł, a ja idę szukać punktu opatrunkowego. Przyjęto mnie tam z entuzjazmem. Jestem dopiero drugim rannym. Sanitariuszki pomagają mi zdjąć kurtkę i obmywają łokieć. Widzę małą krwawiącą dziurkę. Zjawia się jakiś doktor.

– Hm, trzeba to trochę zrównać, wyjąć odłamek kości. – Zaczyna grzebać w narzędziach.

– Może by się obyło bez krajania – wykręcam się, jak mogę.

– Ale uprzedzam pana, że to długo potrwa. Pięć tygodni. A z operacją to może być trzy. Pan przecież chce iść znowu do akcji?!

Tak, do akcji śpieszy mi się bardzo, ale podejrzliwość do rzeźnickiego fachu przeważa. Wobec tego bandażują mnie pięknie i kładę się na łóżku trochę odpocząć.

Wtem błysk i huk. Gdzieś strasznie blisko nas. I znowu huk. Słychać łomot spadających na blaszany dach kawałów gruzu. Okna pokoju, w którym leżę, wychodzą akurat na podwórze za wieżą. Znowu łomot, jeden, drugi. Zrozumiałem, że bombardują wieżę, i zadrżałem o kolegów, którzy tam zostali. Podbiegam do okna. W górze nade mną wznosi się wieża cała spowita w gęsty dym. Spadający wciąż gruz zmusza mnie do odwrotu. Wspominam pozostałych tam. Tacy dobrzy byli koledzy! Straszna szkoda. Drzwi otwierają się z trzaskiem i wpada jakieś monstrum – człowiek zupełnie pokryty kurzem i gruzem. W ręku karabin wygląda jak wykopalisko. Za nim trzej podobni osobnicy. Poznaję kolegów. Sanitariuszki podrywają się, chcą opatrywać rannych.

– Ależ nie trzeba! Myśmy tylko przyszli odwiedzić kolegę – powiada „Piechocki” i zdejmuje hełm. Strasznie się ucieszyłem.

– Jakim sposobem ocaleliście? – pytam się, gdy już trochę upodobnili się do ludzi.

– Ano po prostu – odpowiada „Gram” – pierwszy pocisk uderzył pod nami. Rzuciliśmy się do schodów. W tym momencie uderzył drugi i zwalił nam rusztowanie na głowy. „Piechocki” o mało nie dostał. Patrz!

Rzeczywiście cały płaszcz ma posiekany drobnymi odłamkami.

– Potem okazało się, że pierwszy pocisk zwalił schody pod nami, i musieliśmy skakać cztery metry. Już jak byliśmy w połowie, wyrżnęło w naszą dawną pozycję.

– Mieliście szczęście!

– Ano trochę.

Posiedzieliśmy jeszcze razem z godzinę, po czym koledzy odeszli na nowe pozycje w pałacu Blanka.

4 sierpnia

Całą noc nie mogłem usnąć z powodu bólu ręki. Teraz wszystko ścierpło i czuję się znacznie lepiej. Odpoczywam też za poprzednie dni. Strasznie dziwne uczucie – tak sobie leżeć, nic nie robiąc, podczas gdy tuż obok przebiega linia i słychać ciągłą strzelaninę z barykad. Rozmyślam sobie nad moim pechem. Też się nawojowałem! Na samym początku tak się wykończyć. Pięć tygodni! Do tego czasu to już pewnie będzie całkiem po wojnie.

Właściwie to tu jest całkiem przyjemnie. Prócz mnie jest tu tylko jeden ranny, starszy człowiek, ten, któremu przestrzelono rękę przy zdobywaniu pałacu. Nigdy go zresztą nie ma, bo włóczy się wszędzie i znosi jakieś graty. Po co mu to? Tak więc jestem jedynym przedmiotem do opieki dla dziewięciu przystojnych sanitariuszek i starszej pani będącej ich komendantką. Po dłuższych sprzeciwach pozwolono mi wstać i chodzić, bylebym tylko nie opuszczał punktu sanitarnego. Ano zobaczymy. Przecież nic mi nie jest! Złożył mi wizytę sam komendant odcinka. Był bardzo uprzejmy. Byli także koledzy. Mówią, że mam coś dostać. To chyba lipa, bo i za co?

Na podwórzu tuż pod oknem odbywa się pogrzeb pięciu Niemców wziętych do niewoli w pałacu Blanka. Zostali oni przed chwilą zlikwidowani za przynależność do SA. Gdy wyglądam przez okno, ktoś ofiarowuje mi zegarek po Niemcu. A to mi po co? Za to mój sąsiad przyjął go bardzo chętnie. Oprócz tego jest tu niedaleko p. Frigolin, zastępca

Leista. Leży sobie w zamkniętym pokoju i nie może się ruszyć. Przy aresztowaniu go jakimś dziwnym sposobem wyleciał z okna pierwszego piętra i coś sobie przetrącił. Jest on trzymany dla zeznań przed komendą. Można go oglądać przez dziurkę od klucza.

Wyprawiono mnie do Szpitala Maltańskiego na placu Bankowym w celu prześwietlenia ręki i ewentualnego opatrunku. To moja pierwsza wizyta „w Warszawie", przeto z wielkim zainteresowaniem przekraczam bramę Ratusza. Ulica Hipoteczna to jeszcze przyfrontowa linia, więc jest zupełnie pusta. Dopiero wyszedłszy na Długą, staję olśniony. Ulica jest pełna ludzi, głównie cywilów, choć zdarzają się też żołnierze z opaskami. Wszystkie twarze radosne, każdy dom udekorowany flagami, co krok na bramach widać napisy: Komenda, Skład Wojskowy itp. Wszędzie barwy narodowe i portrety wodzów. Wygląda to bardzo odświętnie.

Pokazują mi drogę do szpitala; przez piwnicę, podwórko, kładkę nad wielką wyrwą i dziurę w murze jestem na miejscu. Widać sporo rannych. Podobno są oni z ciężkich walk, jakie się toczą na Woli. Rozglądam się, czy nie zobaczę kogoś znajomego. Siostra dyżurna prowadzi mnie do pracowni rentgenologicznej. Przy prześwietleniu udaje mi się spojrzeć na ekran. Widzę szkielet własnej ręki. Przez łokieć przechodzi mały, prosty kanał. Polecają mi się zgłosić na salę operacyjną. Wychodzę i zastanawiam się przez chwilę w korytarzu... po czym skręt w lewo, dziura w murze i już mnie nie ma. Przecie sam widziałem, że nic mi nie jest.

Tą samą drogą wracam do Ratusza. Na punkcie dowiaduję się, że patrol sanitarny właśnie wyszedł do pałacu Blanka po jakiegoś rannego. Podążam za nimi. W narożnym pokoju pałacu, wysłanym pięknym, czerwonym dywanem, zastałem sanitariuszki ładujące na nosze jakiegoś człowieka. Głowa zupełnie rozbita, nie można poznać, kto to.

Na pozycjach spotykam kolegów, którzy są zajęci wyczekiwaniem z karabinami przy oknach na Niemców, pojawiających się od czasu do czasu naprzeciwko, w Operze. Podobno Krzysztof rozwalił już kilku Niemców z myśliwskiego sztucera, który stanowił naszą zdobycz z pałacu. Nie widzę go jednak nigdzie.

W chwili gdy przechodzę przez podwórko, w górze rozlega się potężny łoskot wielu motorów. Zadzieram głowę: wysoko na jasnym niebie płyną w kierunku wschodnim eskadry dwumotorowych junkersów. Potężny huk eksplozji dochodzi od strony placu Żelaznej Bramy. Drżą szyby. Rozlega

się świst lecących pocisków. Daję nura do bramy. Jakiś dziwny łoskot dochodzi z podwórza. Ostrożnie wyglądam. Na środku coś plonie jasnoniebieskim światłem. To już znamy z roku 1939 – myślę. Samoloty przeleciały. Niebo znów jest czyste, tylko z niektórych miejsc unoszą się w górę czarne słupy dymu. Wychodzę przez więzienie na Daniłowiczowską. Dwupiętrowa kamienica przy więzieniu stoi cała w ogniu. Ludzie ratują rzeczy z płonącego wnętrza. Ktoś mnie boleśnie potrącił. Nic tu po mnie. Wracam do siebie.

Wieczorem odbył się pogrzeb poległego z pałacu Blanka. Na dziedzińcu wykopano dół i zeszło się kilkanaście osób. Przyniesiono ciało przykryte papierem. W momencie wkładania ciała do grobu zauważam w klapie kurtki małą odznakę „Agrykoli”[6]. W tej chwili przyjrzałem się baczniej ciału. Że też wcześniej nie zwróciłem uwagi. Przecież to Krzysztof. Naumyślnie nie powiedziano mi wcześniej. Szybko zasypano grób. Zebrani odśpiewali hymn. Kapitan powiedział parę słów. Uroczystość skończona. Teraz dopiero zrozumiałem, że ubył nam bliski kolega[7].

„Gram”, „Piechocki” i „Sławek” postanowili udać się na poszukiwanie naszego oddziału. Podobno słyszano o GS-ach[8] na Woli. Ja, niestety, nie mogę iść z nimi, więc się rozstajemy.

---

6 Konspiracyjna szkoła podchorążych.

7 Obszerniejszą relację o powstańczych losach i śmierci Krzysztofa Baczyńskiego ogłosił autor tego pamiętnika – jako jedyny żyjący świadek – w krakowskim „Tygodniku Powszechnym” nr 23/173 z 11.7.1948.

8 Grupa Szturmowa – nazwa nadana batalionom harcerskim Komendy Głównej AK.

5 sierpnia

Rano po śniadaniu nie mam co robić, więc wałęsam się po całym punkcie sanitarnym, który zajmuje parę pokoi na parterze w oficynie Ratusza. Jest zupełnie spokojnie. Pomagam starszej siostrze układać narzędzia w szklanych szafkach. Bardzo to wszystko solidnie i czysto wygląda.

Słychać daleki warkot samolotów. „Alarm! Alarm!” – ktoś drze się na podwórzu. Zostajemy na miejscu: siostra, żeby nie przerywać swej pracy, ja – bo wolę uniknąć bolesnych potrąceń w ciemnej piwnicy, która jest tylko o piętro niżej. Warkot zbliża się i rośnie. Samoloty krążą tuż nad naszymi głowami.

– Nisko latają – zauważam.

Nagle jednostajny szum silnika zmienia się w ostry świst pikującej maszyny. Świst tuż nad głowami przechodzi w wycie i nagle słyszymy szum spadających bomb. Coś trzasło z drugiej strony podwórza. Chwila ciszy i rozlega się przeraźliwa detonacja. Okna wylatują na ziemię, ale oto już nowe świsty i wybuchy wstrząsają domem. Przytuliłem się instynktownie do ściany. Patrzymy na sufit, który w tym momencie w oczach zarysował się i wygiął, jakby cały chciał się zapaść, lecz tylko ogromny kawał tynku opada na podłogę.

Detonacje ucichły i tylko ogromna chmura dymu i kurzu opada i zasłania wszystko. Robi się tak ciemno, że nawet nie można dojrzeć własnej wyciągniętej ręki. W ciszy, która nagle zapanowała, ryczy tylko przeciągle jakaś syrena. Dopiero po kilku minutach trochę się przejaśniło.

Siostra kiwa głową nad swoimi narzędziami, a ja idę zobaczyć zbombardowane miejsce. Tam gdzie było dawniej przejście do pałacu Blanka, wznosi się ogromny stos gruzu. Podobnie wygląda cały pałac. W dawnej bramie spłaszczona na placek limuzyna ryczy bez przerwy. Widać ma zgniecione przewody do klaksonu. Dowiaduję się, że z załogi pałacu nikt nie ucierpiał, gdyż wszyscy zeszli do schronu w momencie nalotu. Mocny schron, umocniony jeszcze przez Niemców belkami, wytrzymał nalot i widzę teraz kilku naszych chłopców zajmujących stanowiska na gruzach pośród potrzaskanych belek i złomów muru.

Postanawiam wyruszyć do miasta, by dowiedzieć się czegoś o naszych. Co prawda nie pozwalają mi się oddalać z punktu sanitarnego. Jednak radzę sobie doskonale, wychodząc przez okno. Jest na szczęście bardzo nisko i nie mam trudności ze swą ręką.

Sanitariuszka i ranny chłopiec w szpitalu polowym kompanii „Koszta”
w kamienicy przy ulicy Moniuszki 1

Ulice wyglądają po dawnemu ruchliwe i bezpieczne, tylko wybudowano znacznie więcej barykad. W okolicy placu Żelaznej Bramy wchodzę na teren ostatnio zbombardowany. Ulice pełne gruzu, że aż trudno się posuwać. Po drodze dowiaduję się, czy ktoś nie widział naszego oddziału. Nikt ze spotkanych żołnierzy nie może mi udzielić żadnej informacji. Okolice Twardej są nietknięte i bez przeszkód dochodzę do Złotej. Tu dopiero widzę tuż przed domem, gdzie zostawiłem drużynę, ogromny lej od bomby. Także sam dom jest mocno uszkodzony. Wypytuję dozorcę, co wie o moich chłopakach. Opowiada, jak ze zdziwieniem zobaczył

wysypującą się z domu całą drużynę z bronią i sprzętem. Od czasu, gdy poszli, nic o nich nie słyszał. Rozmawiam następnie z matką Zbyszka („Zoriana”). Ona też nic nie wie oprócz tego, że zaraz po zaczęciu powstania przyszedł „Mors” i wyprowadził gdzieś wszystkich. Od tego czasu nic nie było słychać. Uspokajam ją, jak mogę, i idę dalej na poszukiwania.

Ktoś poinformował mnie, że można znaleźć oddział GS na ulicy Twardej. Udawszy się tam, rzeczywiście znajduję jakiś oddział zwący się GS. Wartownik wpuszcza mnie do środka jako rannego. Wszędzie jednak widzę same obce twarze, nikogo znajomego. Zniechęcony wracam do Ratusza.

6 sierpnia

Nie daję za wygraną i postanowiłem jednak znaleźć moich chłopaków. Powiedziano mi, że nasz oddział chyba jest na Woli. Coś w tym musi być, bo przecież gdyby „Gram”, „Piechocki” i „Sławek” nie znaleźli naszych, toby wrócili tutaj. Droga to daleka i niewygodna. Zmieniono mi dziś opatrunek i wystarałem się o nowy temblak, tak że ręka nic mi nie przeszkadza, raczej pomaga nawet, bo każdy, widząc powiewający pusty rękaw z opaską, stara się zawsze pomóc.

Wyruszam wcześnie rano. Walki toczą się obecnie na Woli. Stare Miasto jest jakby bazą położoną na tyłach. Jest tu zupełnie spokojnie. Ludność spaceruje po ulicach, widać sporo żołnierzy, którzy przychodzą tu na kwatery, aby odpocząć po kilkudniowych walkach na Woli. Oczywiście wszyscy chodzą bez broni, odchodząc z linii, zostawiają bowiem tak cenną rzecz kolegom.

Idę ulicą Przeskok, wolną na tym odcinku od barykad. Naprzeciw mnie idzie jakieś umorusane niemożliwie indywiduum. Polówka, opaska na niemieckim mundurze, przez piersi „błyskawica”, za pasem dwa granaty, lornetka. Bardzo bojowy gość, myślę sobie, gdy podchodzę bliżej.

– ,,Deivir”!

– „Mors”!

Rzeczywiście, poznaję swego dowódcę plutonu. Wita mnie serdecznie.

– Jak się masz. Myślałem, żeś dostał w czapę.

– Ja nie, ale tobie, Bogdan, toby się należało!

– A cóż ja ci zrobiłem?!

– Jeszcze się pytasz! A jak wyglądał twój pluton z początku akcji bez zastępcy i drużynowych?!

– To, widzisz, było przez pomyłkę. Łączniczka, która do mnie szła z rozkazem, została zatrzymana przez jakąś awanturę, później ja poszedłem sam, ale rozminęliśmy się w drodze.

– Dalej już wiem. Powiedz lepiej, jak tam moi chłopcy.

– O, to długa historia. Zniszczyli czołg. Ale zresztą powiedzą ci sami.

– Tak? A gdzie oni są teraz?

– Chwilowo na kwaterze; właśnie tam idę.

Ruszyliśmy z powrotem na Starówkę. W drodze przewracam w myśli wciąż jedno pytanie i boję się wprost je zadać. W końcu jednak decyduję się.

– Bogdan, a jak tam ze stratami?

– O, są spore straty. – Spojrzałem uważnie. – Zginął Tadek, Maryla, a „Luty” ranny.

– No tak, ale nasi?

– A widzisz, zaraz drugiego dnia „Butrym” został ranny i jest w szpitalu.

– A co mu jest?

– Kula przeszła przez płuco, ale będzie w porządku.

Skręcamy właśnie z Długiej na Podwale, gdy o mało nie wpadamy na jakiegoś wysokiego żołnierza w hełmie. Poznaję Zbyszka i padamy sobie w objęcia. Ale już niedaleko. Wartownik wpuszcza nas wszystkich przez bramę, na której widnieje narysowany kredą parasol.

– To nowe godło batalionu – mówi Zbyszek, widząc moje zdziwione spojrzenie.

Przez długi i dość łagodny ogród dochodzimy do sali dawniej „kinowej”, skąd bucha gwar głosów. To główna kwatera oddziału. Wchodząc do środka, widzę na wszystkich krzesłach rozlokowanych żołnierzy. „Zorian” skierowuje mnie do kąta, gdzie już z daleka rozpoznaję swoich. Powitanie jest bardzo serdeczne, jednak do regulacji[9] nie dochodzi ze względu na moją rękę. Teraz, kiedy wygodnie usadowiłem się pomiędzy starymi przyjaciółmi, czuję się zupełnie inaczej.

Oczywiście wszyscy na wyścigi opowiadają o pierwszych dniach akcji, tak że wprost trudno coś zrozumieć. Wreszcie dowiaduję się ogólnych dziejów drużyny podczas mojej nieobecności. Dowiaduję się, jak nie mając

rozkazów, siedzieli w lokalu, gdy powstanie się zaczęło. Jak już pod obstrzałem niemieckim przybiegła „Jana” z rozkazami. Drużyna pod dowództwem „Zoriana” obsadziła dom i ostrzeliwując się Niemcom w „Astorii”, doczekała się „Morsa”, który ich poprowadził na dalszą akcję na Woli. O Woli mogę zrozumieć tylko tyle, że jest to prawdziwe piekło, pełne pomieszanych oddziałów, obstrzału ze wszystkich stron przez granatniki i czołgi. Na tych to czołgach zostały zużyte wszystkie butelki przygotowane jeszcze przez nas razem. Opowiadaniom nie ma końca i trwają one do późnej nocy, lecz w końcu zmęczenie chłopców, którzy wrócili dzisiaj z akcji, bierze górę i idziemy spać.

---

9 Regulacja – żywiołowa owacja, zwykle połączona z podrzucaniem do góry.

7 sierpnia

Wstajemy dziś bardzo późno. Chłopcy, bo są zmęczeni sześciodniowymi walkami, ja – bo mam nareszcie spokojną głowę o nich. Wybieram się ze Zbyszkiem „na miasto” – rozejrzeć się trochę po naszej Warszawie i odwiedzić rannych.

Plac Krasińskich wygląda odświętnie. Słońce świeci, spacerują tłumy ludzi. Kręcą się karuzele, huśtawki itd. Z daleka tylko dochodzą odgłosy strzałów i wiatr ciągnie po niebie słupy dymu z palącej się wciąż Woli. Czasem nadjedzie od strony frontu samochód znaczony polskimi barwami, po zaopatrzenie, lub sanitarka z rannymi. W szpitalu Jana Bożego ruch ogromny. Wciąż przywożą nowych rannych i szpital jest już przepełniony. Idziemy z wolna przez wielkie sale, szukając swoich. Ranni leżą jeden przy drugim na podłodze. Okropny zaduch i jęki dolatują ze wszystkich stron. Nie brak rannych w bardzo ciężkim stanie. Najgorzej wyglądają poparzeni, gdyż żadne bandaże nie mogą zakryć wielkich, gnijących oparzelin.

Z kąta jednej z sal dolatuje nas cichy szept: „Halo, koledzy”. Rzeczywiście, w samym rogu sali, ściśnięty pomiędzy innymi rannymi, leży „Butrym”. Jest bardzo blady, ale całkiem przytomny. Może tylko mówić szeptem. Czuje się całkiem dobrze, jest na drodze do wyzdrowienia. Posiedzieliśmy przy nim z godzinę i musimy iść, obiecując zawsze wpaść, kiedy tylko ktoś z drużyny będzie miał sposobność.

Halszkę znajdujemy w małym szpitaliku przy Nowym Rynku. Parę dni temu podczas akcji jakiś idiota postrzelił ją omyłkowo z thompsona. Kula

przeszła jej przez nogę w kostce, na szczęście niezbyt ciężko, i jest nadzieja na szybkie wyzdrowienie. „Sławek”, który jest jej narzeczonym, odwiedza ją często, tak że wie dobrze, co u nas słychać.

Po powrocie melduję się do „Lota”, dawnego kompana, z prośbą o przydzielenie mi jakiegoś zajęcia.

– Hm, a drużynowym to już nie możesz być?

– Przecież jestem ranny.

– No to idź do domu czy gdzie chcesz.

– Ależ zrozum, że mogę się na coś przydać. Zresztą ręka jest prawie dobra.

– No to możesz zostać dowódcą warty.

W ten sposób zostałem dowódcą warty. Wyznaczono mi kilkunastu ludzi, samych prawie nowych, ochotników. Przy okazji mam im urządzić trochę ćwiczeń i pokazów broni. Zaciągnąłem posterunki i z resztą urządzam małe ćwiczenia na placu. Przydzielono mi też jakiś pluton nowicjuszy, których mam nauczyć musztry. Po co to teraz? – myślę sobie, ale muszę ganiać tych, teraz już kilkudziesięciu, nieszczęśników po placu. Na ratunek przychodzi im niemiecka kanonierka, która już od dłuższego czasu pływając po Wiśle, zabawiała się strzelaniem do wystających obiektów na brzegu. Jeden pocisk uderza w wieżę kościoła tuż obok, drugi w wystający mur kamienicy pod nami. Sypią się drobne odłamki. Mówię: „Kryj się” i wycofujemy się strategicznie pod osłonę murów.

Koledzy wystarali się dla mnie o nową panterkę, hełm, szelki i pas. Ponieważ jestem na służbie, stroję się w to wszystko z pomocą usłużnego „Kruka”, żeby nie wyglądać na dziada. Zdejmuję temblak, a rękę – już w panterce – zawieszam na pasku od lornetki. Ręka ma się już dużo lepiej, choć wciąż mogę ruszać tylko palcami.

Stałem wieczorem w bramie z wartownikiem, gdy jakiś przechodzący pół cywil, pół eks-policjant podał mi coś i szybko poszedł dalej. Ze zdumieniem rozpoznaliśmy nowego visa z kaburą. Chłopcy bardzo się ucieszyli, bo z bronią jest kiepsko.

Późnym wieczorem robi się nagle ruch. Zarządzają zbiórkę wszystkich z bronią do walki. Podobno na Woli sytuacja przedstawia się bardzo poważnie. „Zorian” zbiera drużynę i wkrótce, stojąc w bramie, żegnam przechodzących długim szeregiem żołnierzy. Idą na pomoc Woli. Moja

drużyna idzie na samym początku, nieźle się prezentuje w jednolitych mundurach i hełmach. Bardzo bym chciał iść z nimi, ale trudno...

8 sierpnia

Rano zdaję służbę. Nie mam teraz co robić, więc plączę się po opustoszałych kwaterach. Jest tu oczywiście sporo ludzi. Ochotnicy, lżej ranni, no i zwykli dekownicy. Nie znam nikogo tutaj. Ze znajomych został jedynie „Kamil”, nasz dawny kolega z kompletów gimnazjalnych, który przyłączył się do drużyny już po zaczęciu akcji. Wczoraj zgłosił się na ochotnika, gdy poszukiwano znających dobrze język niemiecki. Przez całe rano kombinował mundur niemiecki i teraz gdzieś znika. Ciekawe, dokąd go posłali.

Wybieram się do Śródmieścia. Mam tam odwiedzić i uspokoić rodziny kolegów, a oprócz tego zobaczę, co słychać. Znajome przejście koło placu Żelaznej Bramy wygląda dzisiaj całkiem inaczej. Od barykad idzie odgłos strzelaniny. W połowie ulicy zatrzymuje mnie posterunek. Dalej iść nie można. Radzą mi udać się boczną drogą, przez podwórka i piwnice. Wychodzę na jakąś bardzo zrujnowaną ulicę. Nigdzie nie widać żywego, ducha. Zorientowałem się w kierunku i brnę dalej przez gruzy. Przełażę właśnie przez jakąś rozwaloną barykadę, gdy wtem słyszę huk i kula karabinowa przeszła mi tuż koło głowy. Kilka metrów na prawo w ruinach zaszczekał karabin maszynowy. Padłem, boleśnie uderzając się w rękę, i czekam, co będzie dalej. W bramie na pół zrujnowanego domu obok zauważyłem dwu powstańców. Jeden z „czterdziestką” stoi zaczajony za murem, drugi kiwa ręką na mnie. Podpełzam do nich.

– Co kolega tu robi?

– Chcę się dostać do Śródmieścia.

– Co? Tędy? Jesteśmy na bardzo wysuniętej pozycji. Niemcy właśnie atakują.

Jakby na potwierdzenie tych słów niemiecki granat ręczny pada o parę metrów od nas i wybucha ze stosunkowo niewielkim trzaskiem. Żołnierz z „czterdziestką” pociągnął dwie krótkie serie. W tej chwili uświadamiam sobie, że dookoła słychać nieustanną strzelaninę.

– Chętnie bym został z wami, ale jestem ranny.

– No to zjeżdżaj. Wzdłuż tego muru jest najmniejszy ostrzał.

Wracam jak niepyszny na kwaterę. Dopiero w drodze zdaję sobie sprawę z tego, że jesteśmy odcięci od Śródmieścia. Hm...

Wieczorem idziemy wszyscy na uroczyste nabożeństwo dla żołnierzy w sąsiednim kościele Świętego Jacka. Kościół jest pełen żołnierzy; sporo jest na wpół inwalidów, jak ja. Tłoku dopełniają cywile. Nastrój jest niezwykle podniosły. Po raz pierwszy od pięciu lat można oglądać tyle polskiego wojska w kupie. Podczas *Boże coś Polskę* cywile ryczą co do sztuki, a żołnierze też... śpiewają.

9 sierpnia

Już od wczoraj wieczór jestem wciąż tym nieszczęsnym dowódcą warty i jakoś nie widać, by ktoś miał mnie zastąpić. Od rana zaczynają napływać transporty lżej rannych. Jedni przychodzą o własnych siłach, drugich przyprowadzają koledzy. Wszyscy wyglądają bardzo smutnie. Brudni, w poszarpanych mundurach, słaniają się na nogach ze zmęczenia. Opowiadają o niezwykle ciężkich walkach na cmentarzu, o nocnym kontrnatarciu batalionu harcerskiego „Zośka”, zakończonym ciężkimi stratami, a niewielkim rezultatem. Myślę o swoich chłopcach, którzy też tam przecież byli.

Przychodzi „Gram”. Ma zupełnie rozerwaną odłamkiem granatu lewą rękę. Na szczęście rana jest tylko wielka, ale niegłęboka, i ma on nadzieję, że jutro wróci do akcji. Przyniósł z sobą świeżo zdobyty pistolet Parabellum. Próbujemy go w ogródku. Strzelam lewą ręką, ale z kiepskim rezultatem. Zawsze miałem prawą rękę znacznie lepszą. Ale nadchodzą „Gryf” i „Lis”. Nasz nieszczęsny erkaem znów się zaciął i przysłano ich z nim do rusznikarza. Od razu na wstępie dowiaduję się złej nowiny. „Walgierz” zginął dzisiejszej nocy w natarciu na cmentarzu. Dostał kulą w samo czoło i pochowano go na miejscu. Jest to pierwszy poległy z mojej drużyny. Zostawiłem „Gryfa” i „Lisa” na ławce w ogródku, żeby trochę odpoczęli przed powrotem na Wolę, a sam idę do bramy, bo woła mnie wartownik.

Rozmawiamy przez parę minut na temat kryjówki „lunatyka”[10], którego pociski raz po raz trzaskają po ulicy. Nagle gdzieś z daleka zza domów rozlega się przeraźliwe wycie. Jest to właściwie jakby kilka następujących po sobie przejmujących skowytów. Co to było?

Szum czegoś ciężkiego lecącego przez powietrze. Odruchowo upadam. Uskakujemy we wnękę bramy. W tej chwili w głębi ogrodu widzimy oślepiający błysk. Brama wyłamała się z trzaskiem, a podmuch powietrza rzucił nas na ziemię. Leżąc, podczołgujemy się pod mur, bo po pierwszym wybuchu nastąpiło raz po razie pięć dalszych. Każdemu towarzyszy gwałtowny podmuch: czuć, jak powietrze faluje po każdej eksplozji. Leżymy jeszcze przez długą chwilę, oślepieni zupełnie dymem i kurzem, niepewni, czy to już wszystko. Z ciemności słychać krzyki o pomoc. Wreszcie ciemność przerzedza się i widać kontury przedmiotów. Pierwszą rzeczą, jaka rzuca się w oczy, gdy biegnę z innymi do ogrodu, jest nagła zmiana przyrody. Drzewa, które jeszcze minutę temu miały wszystkie liście, stoją teraz nagie zupełnie jak w zimie. Piętrowa oficyna po prawej stronie leży w gruzach. Potykam się o jakąś strasznie rozpłataną górę mięsa. Po wystającym bucie można się domyślić, że był to kiedyś człowiek.

Niosą kogoś na noszach. Z przerażeniem konstatuję, że jest to „Gryf”. Na udzie ma dużą, silnie krwawiącą ranę. Podbiegam do niego.

– A, Zbyszek, widzisz, oberwałem trochę. Poszukaj Bolka, siedzieliśmy razem na ławce.

Rzuciłem się w tamtą stronę i znajduję „Lisa” leżącego pod gałęziami powalonego drzewa. Jest prawie nieprzytomny, ale szybko przychodzi do siebie. Nie jest nigdzie ranny, a tylko ogłuszony bliskim wybuchem. Pomagam mu wstać i rozglądamy się po miejscu katastrofy. Wszystkie budynki dookoła są trochę uszkodzone. Dach w sali, w której spaliśmy, jest zwalony w połowie do środka. Na szczęście nikt z naszych nie zginął, śmierć znalazło tylko dwu cywilów pod ruinami i ten trudny do rozpoznania człowiek leżący na ścieżce. Jest paru lżej rannych.

Przed wieczorem przenosimy się na nowe kwatery w pałacu Krasińskich. Nad wejściem do pałacu wisi otwarty czarny parasol. W ogrodzie pod drzewami dymi kuchnia polowa i odpoczywają żołnierze.

W krzakach paru artylerzystów naprawia zdobyte niedawno działo 75 mm przeciwpancerne. Grupa „motorzystów” rozjeżdża po ogrodzie ciągnik

na gąsienicach zdobyty z działem. Korzystam z małej przejażdżki.

---

10 Niemiecki strzelec wyborowy działający z ukrycia.

10 sierpnia

Od strony Woli dochodzą dziś bardzo złe wiadomości. Natarcie niemieckie trwa wciąż bez przerwy. Niemcy wspierają swe uderzenia bardzo skoncentrowanym ogniem moździerzy. Ich czołgi atakują bez przerwy, pomimo iż poniosły spore straty. W niedużej już odległości od nas słychać nieustanną walkę. Serie kaemów, wybuchy granatów, strzały z dział czołgów, wszystko zlewa się w jedno. Poza ruinami getta wznoszą się wielkie kłęby dymu, jakby wszystko tam stało w płomieniach. W ogrodzie i w pałacu Krasińskich panuje bardzo podniecony nastrój. Ci, którzy z tych czy innych powodów nie są w akcji, krążą niespokojnie, czekając na rozkazy i komentując wiadomości. Z frontu napływa bez przerwy sznur lżej i ciężej rannych. Nasz własny punkt opatrunkowy jest już pełen, ale główne szpitale są jeszcze bardziej przepełnione. Zastanawiam się nad możliwością wzięcia udziału w akcji. Zasadniczo po ostatniej zmianie opatrunku, gdy zauważyłem, że rana już się zasklepiła, mogę ruszać ręką. Jednakże wciąż nie mogę jej wyprostować i każde uderzenie bardzo mnie boli. Wymieniłem swój mały hełm i mam teraz zupełnie dobry, nowy, z płócienną osłoną. Jedna z łączniczek przyszyła mi na lewym ramieniu tarczę z Parasolem. Teraz wszyscy nosimy takie.

Ponieważ nie mam nic do roboty, wybieram się odwiedzić chłopców. Szybko idę z kolumną sanitarną przez getto. Wielka przestrzeń, pokryta tylko stosami gruzu, robi nieprzyjemne wrażenie. Od czasu do czasu nadlatuje pocisk i wtedy padamy szybko, by przeczekać wybuch. Po

przejściu getta gubię się zupełnie w zawikłanej sytuacji na froncie. Dochodzi strzelanina od pierwszej linii. Widzę zniszczone czołgi niemieckie. Przechodzę pod jakimś płonącym domem i już zupełnie nie wiem, gdzie jestem. Gdzieś w pobliżu trwa atak niemiecki, słychać wrzaski i komendy oraz serie peemów. Zaplątuję się w jakiś cofający się oddział i tak znajduję się znowu w pobliżu wejścia do getta. Niedaleko widzę jeden z naszych czołgów strzelający gdzieś w dal. To ostatni, jaki został, a też jest unieruchomiony z powodu braku benzyny czy zepsutego motoru.

Po długiej wędrówce znajduję w końcu swoich chłopców na getcie. Podczołguję się ostrożnie w stronę linii. W dołku wygrzebanym leży kilku chłopaków. Jest tu „Sławek", „Lis" i paru z innej drużyny. Niedaleko wszyscy śpią na jakichś szczątkach koców, czemu wcale się nie dziwię, gdyż od trzech dni są bez przerwy w akcji. W pobliżu za załomem muru jest ukryty nasz erkaem. Właściwa linia przebiega 80 metrów od przodu. Za wałem gruzu, zwanym szumnie barykadą, znajduję w dołku Zbyszka. Na prawo w podobnych pozycjach widzę „Kruka" i wystający hełm „Baszkira". Nie mogę się tam dostać, gdyż trzeba by się bardzo nisko czołgać, co jest dla mnie niemożliwe. „Zorian" opowiada mi o sytuacji tutaj. Niemcy są o jakieś 30 metrów w takich samych dołkach. Żadna ze stron nie może pokazać nosa z powodu kaemów, a mała odległość nie pozwala Niemcom na użycie moździerzy. Walka polega na rzucaniu ręcznych granatów. Przed paru godzinami udało się Zbyszkowi wrzucić granat Millsa w niemieckie dołki. Podniósł się stamtąd straszny krzyk. Niemcy rzucają swoje granaty przeważnie na ślepo. Właśnie teraz pada jeden o jakich pięć metrów od nas. Schyliliśmy się, czekając na eksplozję.

– To nie takie straszne – zauważyłem, gdy pękł.

– I nie mają dużo odłamków – dodaje „Zorian". – Nasze są lepsze pod tym względem.

Spojrzałem na leżący przed nami wielki „gammon" ze zrzutów odebranych zeszłej nocy.

– Tego nie mogę rzucić dalej jak dwadzieścia metrów, więc czekam, aż przyjdą bliżej – mówi Zbyszek. – Ale czy wiesz, że „Kruk" odrzucił niemiecki „tłuczek" przed wybuchem?!

To jest podobne do Wacka. Gdy wycofuję się, macham mu ręką na odległość. Wracam do pałacu.

Powstańcy w większości byli nastolatkami. Drugi od lewej „Baszkir”

11 sierpnia

Koło godziny dwunastej w nocy robi się nagły gwałt na kwaterach. Schodzą się grupy jakichś cywilów. Wszyscy zbierają się w jednej sali na piętrze. Znalazłem się tu i ja, bo nie wiadomo, o co chodzi. Zrobiono zbiórkę w dwuszeregu. Jest około sześćdziesięciu ludzi bez broni. Wywołują starszych stopniem. Tak jakoś wypada, że nie ma nikogo starszego ode mnie, więc mam objąć dowództwo nad całością. Dowiaduję się o zadaniu. Mam prowadzić tych ludzi na Tłomackie, a tam zgłosić się do rozkazów jakiegoś p. „Janka”.

Długim wężem suniemy przez zupełnie ciemne ulice, przełażąc przez barykady. P. „Janka” znalazłem z niemałym trudem. Dostaję rozkaz zbudowania barykady. „Janek” pokazuje mi miejsce, a potem gdzieś znika. Zostaję sam z grupą ludzi. Ulica i sąsiedztwo puste zupełnie. Przed nami o jakieś 100 metrów palą się domy po obu stronach ulicy. Jest zupełnie cicho, słychać tylko trzask ognia.

Zaczynam wydawać rozkazy. Podzieliłem oddział na grupy. Jedni łańcuchem podają płyty chodnikowe i budują czoło barykady, drudzy wzmacniają ją ściągniętymi z zewnątrz gratami. Z tyłu kopie się dodatkowy rów. Mam masę bieganiny przy dopilnowywaniu wszystkiego. Po paru godzinach zupełnie ochrypłem od krzyku. Zaczyna świtać, gdy barykada jest gotowa. Poszły na nią dwa wozy, jeden samochód, kupa różnych gratów i chodniki rozebrane na dużej przestrzeni.

Ponieważ nie ma żywego ducha, zarządziłem odwrót. Zebrałem towarzystwo, wracamy tą samą trasą. Gdy idziemy, ryknęła nagle „szafa”[11]. Pociski zaszumiały tuż nad nami. Ledwo mieliśmy czas upaść, gdy nastąpił pierwszy wybuch, a za nim inne. Wszystkie pociski upadły na dachy domów akurat po przeciwnej stronie ulicy. Podmuch jest spory, zarzuciło nas drobnymi kawałkami drzewa i blachy. Gdy ruszamy dalej, starannie liczę ludzi. Nikogo nie brakuje, nawet nikt nie jest ranny.

Rano dowiaduję się, że nasze oddziały opuszczają Wolę. Teraz już wiem, po co budowaliśmy barykadę na dalekich, jakby się zdawało, tyłach. Ostrzał dział rozmaitego kalibru wzmaga się, a nawet w ogrodzie zaczynają padać pociski moździerzowe.

Około godziny dziesiątej poszukują nagle ochotników do zaniesienia zaopatrzenia i amunicji na linię. Licząc na możliwość zobaczenia się z chłopakami, zgłaszam się i ja. Idziemy w trójkę przez Ogród Krasińskich. Potem już tylko przez Nalewki i w jednym z domów oddajemy przyniesione granaty chłopakom z pierwszej kompanii. Dowiaduję się od nich przybliżonego miejsca, gdzie mogę znaleźć kolegów, i gdy moi przygodni towarzysze odeszli, ruszam na poszukiwania.

Idę Nalewkami pod murem domów po przeciwnej stronie ogrodu. W pewnej chwili słyszę szum lecącego pocisku. Ledwo upadłem na bruk, gdy pocisk moździerza rozrywa się o parę metrów przede mną. Zaraz po nim trzy inne z tej samej serii. Przeczekałem wybuchy i chcę ruszać dalej. Gdy tylko wstałem, nagle huk i seria kaemu wali w mur tuż nad moją głową. Okruchy tynku sypią mi się po hełmie i oczywiście padam. To było bardzo niespodziewane i zląkłem się trochę. W rzeczywistości leżę na odkrytej ulicy bez żadnej osłony, więc jest nieprzyjemnie. Zaczynam czołgać się pod murem. Po kilkudziesięciu metrach znajduję otwartą bramę i włażę do środka.

Jestem teraz w byłym garażu straży pożarnej. Tylne wyjście stąd jest zamknięte. Wobec tego jestem zmuszony zaczekać tu na rozwój sytuacji. Usiadłem przy wejściu i obserwuję ulicę. Jest zupełnie pusta.

Gdzieś z bardzo niewielkiej odległości dochodzą odgłosy gwałtownej strzelaniny. Kilkakrotnie widzę wiązki pocisków smugowych sunących nisko wzdłuż jezdni. Błysk eksplozji na ścianie domu po przeciwnej stronie ulicy – i trochę w bok widzę okrągłą dziurę. Wybuchy powtarzają się regularnie co parę sekund i obserwuję, jak na ścianie zjawia się dziura przy

dziurze, jak gdyby ktoś zabawiał się burzeniem fortecy z klocków. Słyszę teraz odstrzały działa i wiem, że strzelający czołg jest z tyłu za mną: strzela on nad dachem jednopiętrowego domu, w którym jestem. Po wystrzeleniu kilkunastu dziur, co pomimo bliskiej odległości (80 metrów) wygląda całkiem niewinnie, czołg przenosi ogień na inne cele. Słyszę, jak sypie się gruz gdzieś w pobliżu. Na ulicy, tuż obok, rozlega się odgłos biegnących szybko podkutych butów. Gdzieś bardzo blisko wali seria kaemu. W drzwiach zjawia się jakaś postać w polskim hełmie na głowie. Twarz ma zupełnie zamazaną krwią, która z otwartej rany na głowie spływa obficie na mundur i trzymanego w ręce stena. Pomagam mu usiąść na jakiejś pace i zdjąć hełm. W tej chwili poznaję „Bohuna”, jednego z chłopców mojej drużyny. Rozrywam opatrunek osobisty i zabieram się do bandażowania rany na głowie. Widzę, że to nic poważnego, tylko skóra rozerwana na dużej przestrzeni. Krwawi obficie.

– Irek, gdzie cię tak urządzili? – pytam się, gdy już trochę ochłonął.

– A tuż obok. Szedłem właśnie do naszych, gdy czołg rąbnął blisko. Miałem szczęście, że hełm osłonił mnie od części odłamków.

Spoglądam na hełm. Widać głębokie rysy.

– Co to za strzelanina? – pytam po chwili.

– Niemcy atakują, biegliśmy właśnie na pomoc.

– Gdzie są nasi?

– Musisz się dostać na podwórko, potem na lewo przez dziurę w murze i już znajdziesz. Ale ja chyba pójdę do pałacu. Coś zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Zaczekaj, pójdziemy razem. Pomogę ci.

– Ten kawałek przebiegnę. W biegu i tak mi nie pomożesz, a zawsze będziemy stanowili większy cel.

– No, jak chcesz.

– Zbyszek, weźmiesz stena? Po co on mi teraz, jak jestem ranny. Tu masz magazynki. Ten zacina się trochę, ale te dwa są całkiem dobre. Pestek zostało mi coś tylko czterdzieści.

Biorę broń i patrzę za „Bohunem”, gdy z rozpędem przeskakuje ulicę. Seria kaemu idzie w ślad za nim, ale o kilka metrów z tyłu. Już jest po drugiej stronie bezpieczny w ogrodzie.

Zostałem sam z bronią. Sten jest cały aż lepki od krwi. Usiadłem w kącie i szybko czyszczę jakąś szmatą wyjęty zamek i komorę. Złożyłem

z powrotem i doładowałem wystrzelany magazynek. Poruszyłem niepewnie prawą ręką. Opatrunek wciąż noszę i wyprostować jej nie mogę, ale zawsze można spróbować. Nastawiam ogień pojedynczy i walę w pustą beczkę. Wszystko jest w zupełnym porządku. Przypinam torbę z magazynkami, ściągam pas i wybiegam na ulicę. Kaem nawet nie zdążył strzelić, gdy już jestem na podwórzu.

Swoich znajduję łatwo, są w pałacu Mostowskich. Atak niemiecki już odparty, tylko pałac pali się na jednym skrzydle. Z tyłu pracuje motopompka cywilnej straży pożarnej, ale jest bardzo wątpliwe, czy uda się ugasić pożar, bo z drugiej strony są Niemcy i ostrzał nie pozwala pokazać się na zewnątrz.

Obchodzę stanowiska swoich chłopców. Dowiaduję się, że parę godzin temu został ranny „Lis” i odwieziono go nieprzytomnego na tył. Dostał odłamkiem, gdy pocisk czołgu wyrżnął w jego pozycję. To bardzo nieprzyjemna nowina. „Lis” był najmłodszy w drużynie i wszystkim jest go bardzo żal. Zostało nas teraz tylko sześciu razem ze mną, po odejściu „Walgierza”, „Butryma”, „Gryfa”, „Bohuna” i „Lisa”.

– Który to dzień dzisiaj? – pytam Zbyszka.

– Dopiero jedenaście dni, a już nie ma połowy chłopaków. Moja kolej następna.

– Nie kracz, boś nie Wacek.

(Wacek ma usposobienie bardzo pogodne, ale pseudonim „Ponury Kruk”). Zajmuję stanowisko przy oknie na pierwszym piętrze. Przed nami, na dole, ulica przegrodzona przez środek wysokim murem, a po drugiej stronie pusta przestrzeń pokryta stosami gruzu. Tu było kiedyś getto. Pomiędzy kupami cegieł ukryci są szkopi. Często można zauważyć tam ruch, gdy zmieniają swe pozycje lub otrzymują zaopatrzenie. Przeważnie są jednak poza zasięgiem mojego stena i tylko parę razy udaje mi się zauważyć coś bliżej. Strzelam zawsze z namysłem, oszczędzając amunicji. Za to „Zorian”, ukryty przy następnym oknie, ma używanie. Dwa dni temu zdobył na zabitym Niemcu automatyczny dziesięciostrzałowy karabin. Wali raz za razem i kilkakrotnie mogę zaobserwować dobre wyniki.

Budynek ponad nami i obok pali się i jest piekielnie gorąco. Dym i płomienie, zwiewane przez wiatr w naszą stronę, przesłaniają trochę widok. Ma to jednak swoje dobre strony, bo szkopi nie mogą nas obserwować. Z wyjątkiem paru kul, które wyrżnęły w futrynę nad głową,

mamy spokój. Ogień rozszerza się powoli i gdy drzwi dzielące nas od płomieni padają przepalone, bucha taki żar, że musimy wycofać się do następnego pomieszczenia, czyli na schody. Są one kamienne i ogień tu szybko nie dojdzie. Za murem na ulicy słychać jakiś ruch. Widzę, jak od strony pozycji „Kruka” lecą dwa granaty i wpadają za tę zasłonę. Podaję Zbyszkowi dwa moje, gdyż swoje już dawno wyrzucił, a mnie ręka nie pozwala na rzuty. Rezultatów wybuchów nie można zobaczyć, ale musiały być nieprzyjemne dla nieprzyjaciela za murem.

Rozprzestrzeniający się żar zmusza mnie do zejścia na piętro w dół. Tutaj jest ostatnie okno z naszej strony z widokiem na mur. Na oknie stoi torba z piaskiem OPL, tworząc pierwszorzędną strzelnicę. Palące się o trzy metry w górę futryny drzwi promieniują taki żar, że trudno wytrzymać. Czuwamy przy oknie na zmianę ze Zbyszkiem, zmieniając się co pięć minut. Drugi przez ten czas może wyskoczyć na podwórze i zwilżyć rozpalony hełm wodą. Wkrótce jednak musimy skrócić zmiany do trzech i do dwóch minut. „Zorianowi” udaje się trafić Niemca biegnącego do tyłu, widocznie z meldunkiem. Wreszcie i mnie trafia się gratka w postaci wielkiego żandarma, który wylazł z ukrycia nie dalej jak o dwadzieścia metrów ode mnie. W pierwszej chwili nie zauważam go, patrząc raczej na dalszą odległość. Niemiec stoi wyprostowany, pewny, że nikogo już nie ma w płonącym budynku. Ostrożnie biorę go na cel. Strzelam serią. Dwa strzały i... sten zacina się. Niemiec pada, widocznie ranny, czołga się w stronę osłony. Ma nie dalej jak dwa metry. Szamocę się z przyciętą w komorze zamkowej łuską. Niemiec już ma uciec, gdy wtem tuż nad głową rozlegają mi się dwa potężne strzały i naraz drugie dwa. „Zorian”, który właśnie nadchodził, strzela teraz, położywszy karabin na wierzchu torby. Niemiec leży bez ruchu.

– Zdrowo dostał – zauważam, rozcierając na wpół ogłuszone od huku ucho. – Szkoda tylko, że nie można iść po broń.

Wkrótce potem wzrastające gorąco i znamionujące rychłe zawalenie się stropu kawałki gruzu zmuszają nas do opuszczenia pozycji. Dołączamy się do reszty chłopców. Stwierdzam, że z amunicji, którą dostałem od ,,Bohuna”, zostało mi tylko pięć „pestek”. Niestety, nikt z chłopców nie może mnie poratować w tej sytuacji, magazynki wszystkich przedstawiają się bowiem podobnie. Chcę posłać kogoś po amunicję do pałacu, ale okazuje się, że najlepiej zrobię, gdy pójdę sam, bo najwięcej dostanę.

Wobec tego wyruszam zaraz, obładowany jeszcze dodatkowo paroma butelkami wina i paczkami papierosów dla naszych rannych. W pałacu Mostowskich jest dobrze zaopatrzony magazyn rozmaitych dobrych rzeczy. Między innymi znaleźliśmy i zabezpieczyliśmy przed ogniem parę skrzynek z lekarstwami i narzędziami chirurgicznymi.

Dostanie się do pałacu Krasińskich nie jest jednak tak łatwe, jak by się wydawało. Zaraz po wyjściu z piwnic na zalany słońcem plac świszcze mi nad głową kilka nie wiadomo skąd wystrzelonych kul. Ledwo mam czas schronić się do dołu pozostałego po jakimś zburzonym budynku. Mija kilkanaście minut, zanim odważam się na skok dalej. Jestem teraz w krzakach, przy samym skraju Nalewek. Przez dziurę w płocie mierzę niepewnie okiem dystans po drugiej stronie ulicy. Mam już doświadczenie co do tego miejsca. Samotność nie działa też dodatnio na samopoczucie. W końcu zbieram się na odwagę i śmiało skaczę przez jezdnię. Dopiero w połowie ulicy widzę z hukiem migające przede mną iskierki pocisków kaemu. Wpadam do wnęki bramy. Brama zamknięta. Wtulam się, jak mogę, we wgłębienie, bo kilkadziesiąt centymetrów dalej wali w mur seria za serią. Kopię bramę z całej siły. Czas wydaje mi się wiecznością, zanim w końcu usłyszę kroki stróża. Dureń ten, zamiast mi od razu otworzyć, jeszcze się pyta: „Kto tam?”. Gdy wreszcie otwiera bramę, klnę i zabraniam mu ją zamknąć. Wreszcie przez drzewa i krzaki parku Krasińskich dochodzę do pałacu. Idę od razu do magazynu i tu napotykam na niespodziewaną trudność:

– Ma pan kartkę z zapotrzebowaniem?

Zatkało mnie. Ja przychodzę z akcji, muszę zanieść zaraz amunicję chłopcom, a tu mi każą szukać kartek. Wyjawiam, co myślę o tej sprawie, wtrącając przy tym parę uwag o „dekownikach”. Parę pudełek nowiutkich „dziewiątek” znajduje się zaraz na stole. Rozrywam jedno natychmiast i ładuję wszystkie magazynki. W przejściu jedna z łączniczek ciągnie mnie przed wielkie pałacowe lustro. Teraz nie dziwię się wrażeniu, jakie wywieram. Widzę, że jestem cały umazany sadzami i krwią, jeszcze „Bohuna”.

Wstępuję na chwilę do piwnicy zobaczyć rannych. „Lisek” jest wciąż nieprzytomny. Lekarz mówi, że nawet jeśli przeżyje, to prawdopodobnie będzie na zawsze trochę nienormalny. Odłamek pocisku wgniótł mu

czaszkę na samym czole i o mały włos nie dostał się do mózgu. Biedny „Lisek”!

Drogę powrotną do pałacu Mostowskich odbywam teraz trasą trochę dłuższą, ale za to całkiem bezpieczną.

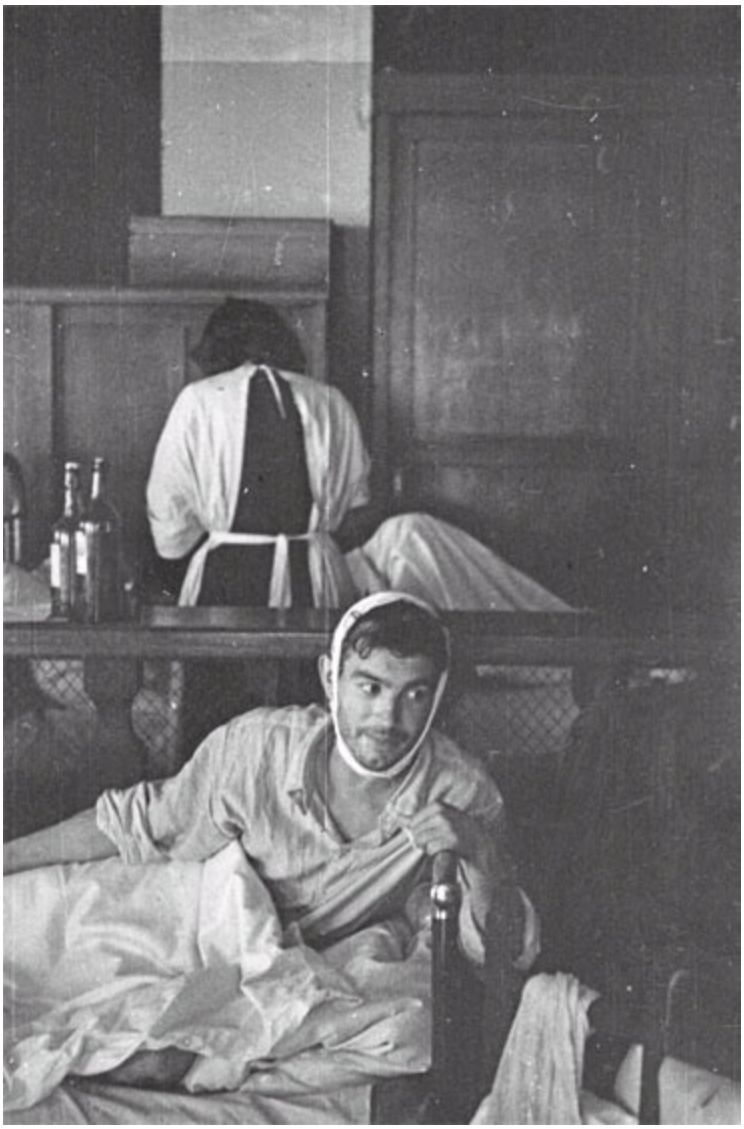

Ranny powstaniec w Szpitalu Maltańskim przy ulicy Zgoda 17

11 Sprzężone miotacze min.

12 sierpnia

Całą noc spędzamy na pozycjach. Pałac powoli przygasa, ale jest wciąż za gorąco, by wrócić na nasze dawne pozycje. Prawie przez całą noc jest względnie cicho na naszym odcinku. Od czasu do czasu tylko strzeli w górę na getcie niemiecka rakieta lub odezwie się seria kaemu. Nasz erkaem odpowiada bardzo rzadko: trzeba oszczędzać amunicję.

Nad ranem słychać bardzo blisko ruch i niemieckie głosy. Tuż koło muru pojawiają się jakieś postacie i przełażą przez wyłomy. Słychać, jak lecą ich granaty ręczne. W większości nie trafiają po ciemku do okien i odbite o mur spadają z powrotem. Do sąsiedniego pokoju wpadł jeden i wybucha, rozrzucając żółte iskierki. Trwa to wszystko parę sekund. Walę na pół wychylony z okna długimi seriami po ruchomych figurkach. Widzę wybuchy naszych granatów koło muru i zaprzestaję ognia, bo cel znikł. Do rana mamy spokój.

Około godziny dziesiątej przychodzi zmiana i możemy zejść ze stanowisk. Dla mnie to trwało tylko 24 godziny, ale chłopcy już dwie doby nie spali. Odnosimy ze Zbyszkiem znalezione materiały sanitarne do szpitalika mieszczącego się w dawnej restauracji Pamfil koło kościoła garnizonowego. Są tam nasi ranni: Halszka i „Butrym”. Przyniesiono ich tutaj wobec ewakuacji zbombardowanego szpitala Jana Bożego. Lekarz – komendant tego interesu – był znajomym mojej matki. Jest bardzo wdzięczny za przyniesione materiały. Radzi nam się zgłosić w razie czego. W normalnych warunkach byłby to tylko żart, ale teraz, kto wie...

Na kwaterach w pałacu Krasińskich odpoczęliśmy parę godzin. „Mors” proponuje zrobienie małej wycieczki w stronę niemieckich czołgów na getcie. Zgłaszamy się na ochotnika ze Zbyszkiem. Prócz nas i „Morsa” idzie jeszcze „Jana”, która bardzo się rozbija ostatnio, a zdobyty świeżo mauzer 9 nie daje jej spokoju. Myślimy o zabraniu piata, ale z powodu, że jedyny kompanijny piat jest na pozycji, a z amunicją pomimo ostatnich zrzutów jest krucho, musimy zadowolić się butelkami i dwoma „plastykówkami”.

Szybko przechodzimy przez Ogród Krasińskich. Koniec ogrodu to także koniec naszych pozycji. Po chwili zastanowienia przeskakujemy po kolei przez ulicę. Nikt do nas nie strzela. Jesteśmy w terenie niczyim. Z bronią gotową do strzału wchodzimy do bramy na pół zburzonego domu. Pusto wszędzie i zupełna cisza. Niemile zgrzytają nasze buty po odłamkach rozbitych szyb. Serce mi bije, co chwila oczekuję serii strzałów zza każdego załomu muru. Ostrożnie wychylamy się na podwórko i rozglądamy się po oknach i dachach. Nikogo nie widać. Przechodzimy na drugą stronę i po zasypanych gruzem schodach wchodzimy na pierwsze piętro. Jakieś otwarte mieszkanie. Jest ono położone na rogu domu i okna wychodzą na gruzy getta. Z tej strony nic nie widać, ale gdy przechodzimy do następnego pokoju, pierwszą rzeczą, jaką widzimy z okna, jest niemiecki samochód pancerny stojący wśród gruzów. Stoi o jakieś 50 metrów, działo wymierzone w naszą stronę, nikogo przy nim nie widać. Jest za daleko na rzut granatem.

– Psiakrew, żeby mieć piata – klniemy po cichu.

Coś poruszyło się na podwórzu za nami.

– ,,Deivir”, zobacz, co tam.

Wyczołguję się do następnego pokoju i przez dziurkę wyglądam na zewnątrz. Jakaś stara kobieta grzebie w gruzach. Pewnie chce coś znaleźć ze swoich rzeczy, a może szuka kogoś zasypanego.

– Nic groźnego – szepczę do kolegi.

Z pokoju, gdzie jestem, mam widok w bok. W pewnej chwili coś poruszyło się między gruzami. Teraz widzę lepiej. Niemiec biegnie w stronę wozu pancernego, niedbale kryjąc się pomiędzy stosami cegieł. Biorę go na cel, ale jeszcze nie strzelam. Z sąsiedniego pokoju słyszę długą serię z „czterdziestki” „Morsa”. Naciskam spust. Szkop pada, musiał dostać dobrze. Poprawiam mu. W tym momencie – nie rozumiem, co się stało –

robi się zupełnie czarno. Odruchowo rzucam się do drzwi i przewracam się w progu. Parę nóg przecwałowało po mnie. W ciemności coś błysnęło potężnie.

Na wpół ogłuszony znajduję się na podwórzu. Z trudem poznaję kolegów, twarze bowiem mają dokładnie czarne, jakby byli od urodzenia Murzynami. Nagle widzę, że „Zorian” słania się pod murem. Po czarnej twarzy ciecze mu strumyczek krwi. Przypadam do niego i zdejmuję mu hełm. Na skroni ma nieznaczną rankę. „Jana”, która ma z sobą opatrunkową torbę, aplikuje kawałek plastra, po czym jak niepyszni ulatniamy się z pechowego miejsca w stronę swoich.

Noc mamy wolną i można trochę odpocząć. Budzą mnie odgłosy niezwykłej strzelaniny. Nie pochodzą one tym razem z naszych linii, lecz ze wszystkich stron dokoła nas. Strzela mnóstwo dział różnego kalibru. Podbiegam do okna wychodzącego na plac Krasińskich. Jest tu już paru chłopców obserwujących niebo. Noc jest ciemna, tylko ponad dachami domów niebo czerwieni się jak zwykle łunami pożarów. We wszystkich kierunkach widać sznury lecących kolorowych paciorków: to pociski działek przeciwlotniczych. Oprócz tego widać lecące pojedynczo tu i tam czerwone punkty. To cięższe działa. Pociski ich pękają na pewnej wysokości, rozsypując się pękiem iskier. Reflektory biegają jak szalone po całym niebie.

Na placu przed nami widać szereg jasnych świateł, tworzących dobrze znany mi znak strzały. Są to żarówki elektryczne połączone kablem. Wszyscy wsłuchują się w odgłosy nocne. Początkowo słyszę tylko nieustanną kanonadę dział. Wkrótce jednak pomiędzy strzałami ucho chwyta daleki warkot silników. Ogarnia nas jakieś dziwne podniecenie. Wreszcie ktoś o nas pamięta! Pomoc idzie!

Wytężam wzrok, usiłując dojrzeć coś w nieprzeniknionych ciemnościach. Raz w świetle reflektora mignęło coś i zaraz znikło.

– Tam, tam! Patrzcie!

Dość wysoko w górze widać teraz srebrną sylwetkę samolotu złapanego w światło reflektora. Wstrzymujemy oddech. Pilot wykręca i samolot znika w ciemności. Wszystkie światła kierują się w tę stronę, ale nic nie widać. Odetchnęliśmy z ulgą.

Znowu przez długie chwile wsłuchujemy się w szum motorów, który to zbliża się, to niknie w oddali. Wtem słychać wyraźny warkot silników, stale

zbliżających się do nas. Reflektory kładą się teraz nisko nad dachami. Wpatrujemy się w ich światło. Łoskot stale zbliża się i rośnie. Nagle tuż nad dachami domów po przeciwnej stronie placu ukazuje się wielki czteromotorowy samolot. Wydaje się cały srebrny w jasnym świetle reflektorów, które go wciąż prowadzą. Leci wprost na nas, jest nie wyżej jak kilkadziesiąt metrów nad dachami. Ze wszystkich stron biją w niego serie pocisków pelot. Z bólem serca widzimy, jak prują po kadłubie, po skrzydłach, silnikach. Zaciskam pięści, żeby nie krzyczeć. Wydaje mi się, jakby wszystkie pociski waliły prosto we mnie. Mignął jakiś biały cień i wpada w ciemność. Trwa to wszystko tylko parę sekund, ale wydaje się nam, że to cała wieczność.

Z hukiem motorów samolot przelatuje nad nami. Jak szaleni rzucamy się do okien z drugiej strony pałacu. Widzimy jeszcze, jak samolot, w ciemności wreszcie, ale za to z warkoczem płomieni buchającym z jednego silnika, oddala się w stronę getta. Nad drzewami parku zamajaczyło coś białego. Do granic widoczności odprowadzamy oczyma czerwoną plamkę płomienia, aż maleje i ginie gdzieś w oddali. Ogarnia nas dzikie uczucie żalu i bezsilnej wściekłości. Czternastoletni łącznik plutonu „Sambo” płacze, choć zawsze bez cienia strachu biega pod najgorszym ogniem.

Rozchodzi się wiadomość, że część zrzutów upadła na getto. Momentalnie organizuję kilka ochotniczych patroli. W ciemnościach szukamy hełmów, zapinamy pasy oporządzenia, bierzemy broń i zbiegamy w dół do ogrodu. Staję na czele małego patrolu składającego się z resztek mojej drużyny. W piątkę puszczamy się prawie biegiem przez park. Obwołujemy nasz ostatni posterunek, ten sam, który minęliśmy, idąc na niefortunną wyprawę na czołg, i jesteśmy wśród gruzów getta.

Cisza i pustka. Możemy teraz lada chwila wpaść na Niemców, ale po chłopcach nie widać żadnego wahania. Przełazimy tu i tam przez kupy gruzu, robiąc niemało szumu. Serce mi bije mocno, ale ściskam uchwyt odbezpieczonego pistoletu maszynowego i idziemy dalej. Podobnie robią inni. Zaglądamy w każdą dziurę, ale nic nie widzimy. Nie wiadomo skąd wyrzucony wybucha tuż koło nas granat ręczny. Za gruzami na prawo poruszyło się coś i rozlega się parę strzałów. Nasze trzy peemy odpowiadają natychmiast krótkimi seriami. Zapadamy wśród ruin.

– Granaty – rzucam rozkaz.

Wszyscy prócz mnie rzucają po jednym. Niemcy musieli się nastraszyć, bo jest zupełny spokój, tylko dalej od nas od strony Stawek strzela świetlnymi pociskami karabin maszynowy. Wali bardzo wysoko i absolutnie nie przeszkadza nam w dalszych poszukiwaniach. Nic jednak nie znajdujemy i zniechęceni wracamy.

W rogu getta, koło rozwalonego bunkra, słychać jakieś głosy. Znajdujemy kilku naszych zajętych przy wielkim blaszanym zasobniku. Leży tuż koło miejsca, skąd wyruszyliśmy na getto. Pomagamy holować go do nas. Dnieje już, kiedy można znowu udać się na spoczynek.

13 sierpnia

Dzień zaczyna się pod złym znakiem. Część serii „szafy” wali w nasz budynek, reszta ląduje w ogrodzie tuż koło niego. Rozlegają się okrzyki: „Pali się! Pali się!”. Z sąsiedniej sali, która musiała być kiedyś balową, wydobywają się kłęby dymu. Momentalnie przypominam sobie, że w piwnicach pałacu widziałem w różnych miejscach przymocowane gaśnice.

Wypadam ze swoimi chłopcami, po drodze przyłączają się jeszcze inni. Przebiegamy piwnice, wyrywając wszędzie gaśnice ze stoisk. Po dwa stopnie pędzimy z powrotem do ognia. Przy płonącej sali zastajemy już sporo ludzi, bezradnie deptających dokoła. Widzę, jak tuż przede mną wpada „Zabawa” z kilogramową filipinką w ręce. Woła:

– Odsuńcie się, bo rzucam, to zdmuchnie ogień.

Mówią, że od czasu zamachu na Kutscherę, w którym brał udział, „Zabawa” jest trochę nieswój.

Powstrzymuję go w ostatniej chwili. Odbezpieczam uderzeniem gaśnicę i kieruję strumień płynu w płomienie. Za mną nadbiegają inni chłopcy. Pomimo tego, że połowa gaśnic ze starości w ogóle nie działa, płomienie szybko znikają. Resztę tlących się mebli wyrzucamy drągami przez balkon do ogrodu.

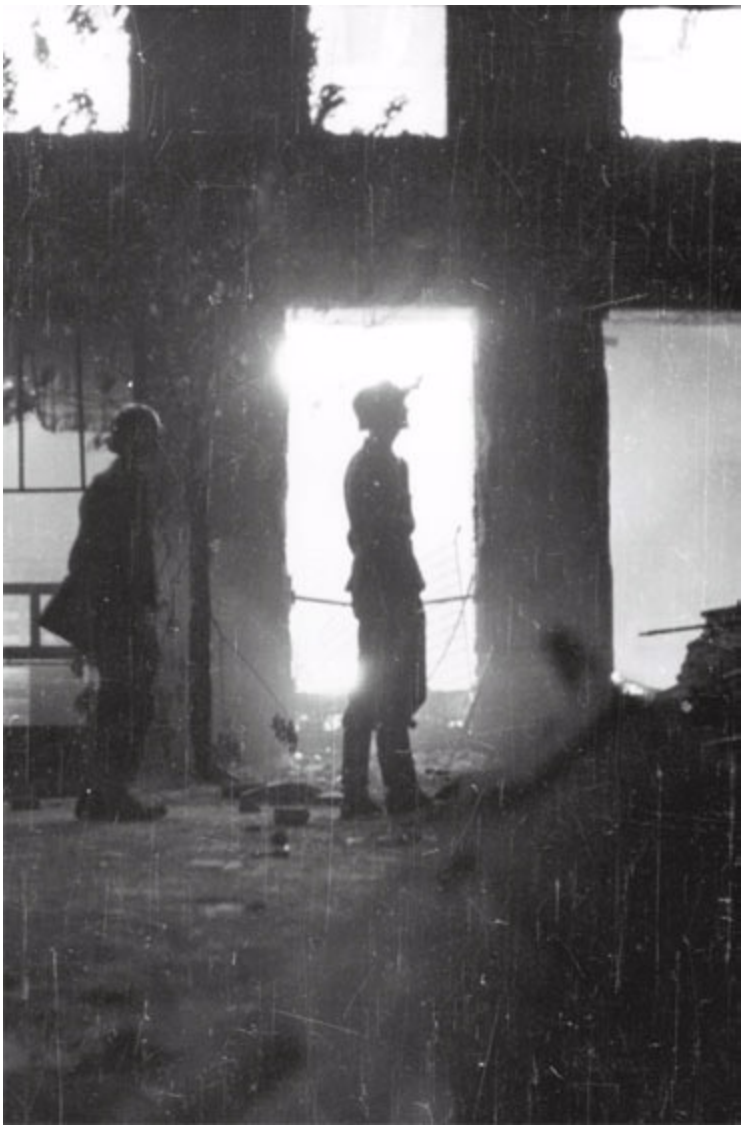

Powstańcy na tle płonącej kamienicy, prawdopodobnie przy ulicy Moniuszki

Właśnie z dumą rozglądamy się po zabytkowym pałacu, gdy znowu rozlegają się okrzyki:

– Ogień! Ogień!

Rzucamy się biegiem po schodach na górę. Kilku chłopców usiłuje wyłamać drzwi prowadzące na strych. Gdy to w końcu udaje się, ręce opadają nam na beznadziejny widok. Cały strych stoi w płomieniach. Przepalone krokwie z trzaskiem załamują się. Bucha taki żar, że cofamy się zniechęceni. Budynek musi się spalić.

Wołają na zbiórkę wszystkich uzbrojonych żołnierzy pozostających w pałacu. W wielkiej sali na parterze schodzą się żołnierze z różnych oddziałów. Jest cała zdolna do akcji kompania trzecia, licząca obecnie około trzydziestu ludzi. Tu należą resztki mojej drużyny. Prócz tego jest rozmaita zbieranina, tak że razem z sanitariuszkami jest nas do pięćdziesięciu osób. Ustawiamy się w dwa szeregi przez środek sali. „Lot” zapoznaje nas z zadaniem.

Mamy uderzyć na getto i wprost przez gruzy dojść do Stawek i zająć je. (Magazyny na Stawkach utraciliśmy bowiem dwa dni temu). Jesteśmy tylko częścią natarcia: z prawej strony ma iść samodzielna kompania „Anna”, z lewej jeszcze ktoś. Przynoszą amunicję i rozdają nam. Jest tego strasznie mało. Z granatami jest trochę lepiej. W czasie gdy ta odprawa odbywa się przed frontem wyciągniętej kompanii, niemieckie granatniki pracują jak zwykle. Nie śpiesząc się, bardzo regularnie, co kilkadziesiąt sekund świszcze jeden pocisk i pada przed nami lub na dach płonącego pałacu. Szereg faluje za każdym wybuchem, ale nie wolno się rozejść. W pewnym momencie granat wybucha na parapecie okna. Wszyscy w szeregu padają, „wodzowie” pierwsi. Jednakże odłamek w plecach ma tylko jeden chłopak z naszej kompanii. Wynoszą go na noszach. „Jeremi” i inni ulatniają się w pośpiechu i zostajemy sami. Leżąc, sprawdzamy broń, amunicję, granaty. Wszystko gotowe, możemy ruszać.

Jest godzina dziesiąta rano. Wychodzimy do ogrodu i długim sznurem suniemy wśród zarośli. Na końcu grupa niewiast z noszami. Bardzo bojowo, trzeba przyznać.

Skokiem przebiegamy Świętojerską i wchodzimy na wielką płaszczyznę getta. Dzień jest pogodny, jak na dłoni widać przed nami cel naszego natarcia: wysokie mury zajezdni tramwajowej, domów i magazynów na Stawkach. By dostać się tam, trzeba przebyć około pięciuset metrów przestrzeni pokrytej tylko stosami tego, co było kiedyś ścianami domów.

Mamy posuwać się skrycie, lecz trudno ukryć przed okiem obserwatorów z wyższych pozycji sporą grupę ludzi obciążonych do tego bronią i sprzętem. Już po przejściu pierwszych kilkudziesięciu metrów odzywają się niemieckie karabiny maszynowe. Leżąc po skoku we wgłębieniu, słyszę nad głową świst i warkot pocisków. Całe powietrze nad nami drga i jęczy bez przerwy i ma się wrażenie, że starczy tylko wysunąć

nos na chwilkę z ukrycia, by zostać momentalnie porwanym na strzępy przez masę lecącej stali i ołowiu.

– Zbyszek, słyszysz, to jest to słynne brzęczenie kul nad głową – odzywam się, gdy leżymy chwilę obok.

– Toś jeszcze tego nie słyszał?

Wyznaję ze wstydem, że nie. Jakoś dotychczas we wszystkich walkach na małe odległości pociski lecące w moją stronę kojarzyły mi się z hukiem broni i trzaskiem kul walących po brukach i murach. Za chwilę też zapominam o tym zjawisku.

Od czasu do czasu musimy przebiegać przez grzbiety pagórków. Wtedy widzę, jak w niektórych miejscach cegły nagle kruszą się i sypią na wszystkie strony drobne odłamki. Widzę, jak padają pierwsi ranni. Sanitariuszki zabierają ich na nosze i znikają z tyłu, by za chwilę pojawić się znowu z pustymi. W następnym wgłębieniu leży zabity chłopak, który skakał tuż przede mną. Trochę w górę widzę Zbyszka walącego raz za razem ze swego automatu. Woła do mnie, bym zabrał amunicję zabitego. Babrając się we krwi, wydobywam kilkadziesiąt naboi z ładownic i z kieszeni. Zbyszek rzuca mi dwa magazynki, które wnet ładuję. Cel jest jasny. O 200 metrów przed nami widać wyraźnie linię stanowisk niemieckich. Obłoczki białego dymu znaczą pozycje karabinów maszynowych. Przy następnym skoku mijam „Sławka”. Nasz lotniczy erkaem dygoce seriami bardzo szybkich strzałów. Nieco dalej „Gąsior” z pierwszego plutonu przepuszcza przez swojego drajzera taśmy pocisków. Żałuję, że nieprzyjaciel jest jeszcze daleko poza zasięgiem mojego stena.

Dochodzimy do miejsca, gdzie była niegdyś ulica. Teren tu jest oczyszczony z gruzów, a środkiem ulicy biegną tory kolejki używanej do wywożenia gruzu. Parę unieruchomionych pociągów-wywrotek stoi jeszcze na szynach.

Zapadamy pomiędzy gruzem nad brzegiem ulicy. Niemcy są niedaleko i mam okazję kilka razy walnąć serię do zauważonych na ich stanowiskach hełmów. Leżymy tu kilkanaście minut, czekając na nadejście sąsiadów. W międzyczasie słyszymy, jak niemiecki ogień zaporowy moździerzy zbliża się do nas. Biły one początkowo za nami, lecz teraz skracają odległość i pociski wybuchają pomiędzy nami ze wszystkich stron. Jedynie temu, że teren dostarcza wiele dobrych zasłon, można zawdzięczać, że nie ponosimy większych strat. Ale i tak co chwila rozlegają się jęki rannych,

ktoś czołga się do tyłu, sanitariuszki w hełmach i panterkach ciągną ciężkie nosze po gruzach. Rozlegają się okrzyki:

– Do szturmu! Szturm! Naprzód!

Widzę, że to jedynie nam zostało, jeśli nie chcemy zostać wytłuczeni na naszych stanowiskach. Widzę przebiegających przez jezdnię chłopaków. Wzdłuż ulicy idą pasma pocisków smugowych i kreślą ich sylwetki. Widzę, jak ktoś pada i podnosi się, inny pada i zostaje już w tej pozycji. Zaciskam podpinkę hełmu i zakładam nowy magazynek do stena.

Ciężko zdecydować się na opuszczenie dołka i wyjście na otwartą przestrzeń. Wreszcie już! Wpadam na ulicę. Biegnę skulony nad peemem. Pomimo ogólnego huku odróżniam bliskie serie cekaemu z lewa. Tuż przed nogami sypią się iskry z bruku. Przebiegam i wdrapuję się na gruz po przeciwnej stronie. Przed oczyma mam błyski i dym naszych granatów. Ktoś przystanął na szczycie ruin i wali z peemu. Widzę kątem oka, jak nagle słania się i pada na swoją broń. O kilkadziesiąt metrów dalej biegną dwaj Niemcy. Z podniecenia walę długimi seriami. Sten zacina się. Padam, wyrzucam zły nabój. Wtem całkiem blisko widzę leżącego Niemca. Seria jedna, druga, widzę, jak moje kule rozrywają mundur na nim.

Z tyłu ktoś krzyczy przejmująco, wzywając pomocy. Rozglądam się po naszych. Jest nas tylko kilkunastu tutaj, a paru leży bez ruchu pomiędzy nami. Zapadamy wśród gruzu, czekając na resztę. Widzę lecące w naszą stronę granaty trzonkowe. Padają tu i tam, wybuchając z trzaskiem. Nie widzę, by były specjalnie groźne. Od każdego odrywa się drewniany trzonek i leci kilkanaście metrów w bok. Jeden wpadł w mój dołek i już chciałem go wyrzucać, gdy zorientowałem się, że to tylko kołek. „Zabawa”, leżący przypadkiem obok, woła do mnie, pytając, czy nie mam granatów. Swoje już wyrzucił. Wysupłuję z kieszeni i chlebaka wszystkie, jakie mam, zostawiając sobie tylko jeden przeciwpancerny. „Zabawa” wyrzuca je jeden za drugim w stronę Niemców.

Przez jezdnię przebiegło jeszcze trzech chłopaków i wołają, że to już wszyscy. „Lot” nakazuje przeskok przez ulicę. Skaczemy pojedynczo. Na przestrzeni tych 30 metrów skoncentrowany jest ogień wszelkich możliwych broni. Najnieprzyjemniejsze wrażenie robi cekaem, walący z prawej wzdłuż jezdni.

Pierwszym skokiem dobiegam do stojącego pośrodku pociągu i kryję się pomiędzy wywrotkami. Blachy wagoników uderzane pociskami wydają

straszny odgłos. Na jezdni leży parę trupów, najbliższy tuż przy pociągu, jakby przestrzegał mnie przed kryciem się tu. Widzę, jak „Gram” pada, przebiegając jezdnię. Ktoś pomaga mu przeleźć na drugą stronę. W tym momencie skaczę znów i szczęśliwie jestem po drugiej stronie.

Większość pozostałych żołnierzy skupia się tu w jednym obszernym i dość głębokim dole. „Tadek”, „Kruk” i ja leżymy z prawej strony o kilka metrów ponad nimi, każdy w małym, płytkim dołku. „Lot” woła do nas, byśmy obserwowali w bok, czy inni nie nadchodzą. Pustynia getta jest jednak pusta, pokryta tylko kurzem i dymkami wybuchów.

Umacniam swoje stanowisko, obkładając się dookoła cegłami. Jestem teraz bezpieczny przed odłamkami granatów. Jest to bardzo ważne, gdyż pociski walą bez przerwy, co kilka sekund jeden albo kilka naraz. Przez strzelnicę zostawioną z przodu zauważam niemieckie hełmy po drugiej stronie ulicy. Strzelam do nich, kładąc stena płasko na gruzie. Jednak już po pierwszej serii kurz powstały przed wylotem lufy zasypuje mi oczy i broń się zacina. Zamek od piachu nie chce ruszyć wcale ze swego miejsca. Leżąc na dnie dołka, rozbieram peem i czyszczę, co jest bardzo trudne w tych warunkach.

Słyszę świst pocisków moździerza i kilka bardzo bliskich wybuchów z lewej strony. Wychylam się i patrzę, co się stało. Mała kotlinka zasnuta jest dymem świeżych eksplozji. Z przedniego zbocza obsuwa się jakieś sześć postaci. To chłopcy ukryci tam strzelali prawie w stojącej pozycji, gdy seria granatów upadła tuż za plecami. Jednym z nich jest Zbyszek.

Sanitariuszki niosące na noszach rannego na ulicy Zielnej. Na pierwszym planie Krystyna Galar

Momentalnie podnoszę się i jednym skokiem dopadam do leżących. Z niepokojem przewracam Zbyszka na wznak. Jest żywy, ale dostał kilkanaście odłamków w lewy bok, od nogi aż do szyi. Oprócz niego jest jeszcze dwóch rannych i jeden zabity. Usiłuję założyć jakiś opatrunek, ale jest to sprawa beznadziejna w tych warunkach wobec dużej liczby ran. Sanitariuszki zabrały jednego rannego, drugi wlecze się sam.

W tym momencie do kotlinki wpada mały „Sambo”. Podaje „Lotowi” jakąś karteczkę. „Lot” czyta i zaklął:

– Natarcie odwołane! Odwrót, chłopcy!

Wszyscy zdrowi wyczołgują się z dołka i znikają w stronę tyłów. Przeniesiono nosze. Na noszach, poznaję nagle, leży „Jacek”. Jest nieprzytomny, krew sączy mu się z ust.

Leżymy chwilę sami, tylko Zbyszek jęczy cicho.

– Zbyszek, możesz iść? Nikt tu już nie pomoże.

– Spróbuję.

Przewieszam sobie przez plecy jego karabin. Oprócz tego mam jeszcze jeden karabin zwykły, przeniesiony z drugiej strony ulicy (wzięty z Niemca), „czterdziestkę” zabitego i swego własnego stena. Zbyszek jęknął i upadł. Pomagam mu powstać znowu. Widzę, że przemaga on straszny ból za każdym poruszeniem. Przewiesił mi rękę przez szyję i tak wpół ciągnąc go, wpół niosąc, ruszam z powrotem.

Cegły usuwają się nam spod nóg, gdy wspinamy się na pagórki gruzu. Nie ma kawałka równego miejsca. Słońce piecze okropnie, pot zalewa mi oczy i nie mam czym go obetrzeć. Pasy różnych broni wpijają mi się w szyję i zaczyna mi huczeć strasznie w głowie.

Początkowo wleczemy się, omijając wyższe punkty, by uniknąć ognia karabinów maszynowych. Wkrótce widzę jednak, że w ten sposób daleko nie zajdziemy. Kilka razy padamy i z najwyższym wysiłkiem przemagam się, by znowu powstać. Idziemy więc bardziej na przełaj, kierując się na widoczny z dala gmach Sądów.

Już na czworakach wdrapujemy się na zwały cegieł dochodzące do pięciu metrów wysokości. Będąc na szczycie, zaciskam za każdym razem zęby, czekając na uderzenie jednej z kul warczących obok. Ale nic takiego nie następuje. Na szczycie jednego z takich zwałów nogi uginają się pode mną i zwalamy się w dół.

Nie mam siły ruszyć dalej. Jestem tak wyczerpany, że z największą przyjemnością leżę na wznak i obserwuję na niebie lecące pociski. Co parę sekund ukazuje się wysoko mały punkcik, szybko rośnie i przybiera kształty małej bombki i ze świstem pada gdzieś koło nas. Ze stanu tego bezwładu wyrywa mnie jęk Zbyszka i szept:

– Zbyszek, nie masz wody?

Nagle uświadamiam sobie, gdzie jestem, i zaczynam szamotać się z manierką, przypiętą do pasów na plecach. Podaję rannemu. Całe szczęście, że zapomniałem przedtem o jej istnieniu, i dlatego jest pełna. Zbyszek wygląda strasznie. Jest całkiem czarny od krwi i kurzu, ma

poszarpany mundur, wielkimi kroplami sączy się z niego krew. Dokończyłem resztę wody i wyrzucam manierkę. Poprawiam pasy karabinów i peemów. Każda sztuka waży okropnie, ale nie można wyrzucić broni.

Ruszamy dalej. Trzymam z całej siły rannego. Byle tylko nie upaść, bo boję się, że nie będziemy mieli siły wstać. Wchodzimy znowu w bardzo silny ogień moździerzy. O kilka metrów od nas błyska się to tu, to tam, i tylko małe obłoczki dymu kłębią się w tych miejscach pod gruzem. Zbyszek jęknął i mówi, że znowu oberwał jakiś odłamek. Stwierdzam, że obcas mojego lewego buta jest przecięty na pół. Również w panterce mam kilka dziurek, ale nie czuję, bym był ranny.

Ktoś leży za odłamem muru. To tylko trup młodej łączniczki z rozpłataną głową. Dochodzimy wreszcie na brzeg Świętojerskiej. Niestety, jesteśmy w złym punkcie. Mur, który odgradzał getto, biegnie tu środkiem ulicy, a dziura w nim jest o kilkanaście metrów w lewo. Widzę przebiegających tam chłopaków. Widzę również smugi pocisków kaemu idące wzdłuż muru od bunkra przy Nalewkach. Żeby dojść na wysokość dziury w murze, trzeba by się cofnąć kilkadziesiąt metrów, by ominąć wielką stertę gruzu. Obaj nie mamy na to siły.

Myślę chwilę nad wyjściem z sytuacji. Przypominam sobie mój granat pepanc. Powinien on rozwalić mur. Wyjmuję z chlebaka wielki (półtora kilo plastyku) granat i odbezpieczam go. Z dna dołu „Zorian” śledzi moje poczynania. Rzucam lewą ręką, bo prawa wciąż nie nadaje się do tego. Mur jest o jakieś 6 metrów oddalony i na pewno bym dorzucił, gdyby nie to, że robiąc zamach zawadzam o coś i granat pada tuż przede mną, na szczęście na zewnątrz dołu. Huk, i już po wszystkim.

Kaem wciąż wali. Wpada mi do głowy zlikwidowanie strzelca w bunkrze. Zdejmuję karabin automatyczny „Zoriana” i ładuję magazynek. Wspinam się na górę i układam się na stanowisku. Strzelający bunkier widać wyraźnie, ale zauważam, że – zapewne ze zmęczenia – muszką karabinu zataczam wielkie koła po celu. Pomimo wszystko walę raz za razem cały magazyn i zakładam nowy. Rezultat oczywiście żaden.

W tym momencie widzę granat wybuchający na jezdni pomiędzy nami a bunkrem. Po wybuchu pozostaje gęsty obłoczek dymu. Jest to dla nas wymarzona okazja. Pomagam wstać „Zorianowi” i wybiegamy na jezdnię. Stamtąd już łatwa droga do dziury. Przełazimy przez nią, gdy dopiero

zorientowany szkop wali serię, oczywiście źle. Wpadamy do ogrodu. Widzę sanitariuszki z pustymi noszami. Oddaję im Zbyszka, a sam kładę się pod krzakiem.

– Co ci jest? Jesteś ranny? – widzę nachylającą się nade mną sanitariuszkę.

– Nie, jestem całkiem zdrów, zaraz idę, tylko trochę odpocznę.

Po powrocie do pałacu dowiaduję się, jak to było z tym nieszczęsnym natarciem. Kompania, która miała iść z boku, w ogóle nie wyszła, bo jej dowódca orzekł, że ogień jest zbyt duży. Łączniczka, niosąca do nas odwołanie rozkazu, zginęła, szukając nas w getcie. Dopiero „Sambo” doszedł, gdy już było trochę za późno.

Chętnie bym poszedł dowiedzieć się o naszych rannych, ale ledwo dochodzę trochę do siebie, wołają nas na stanowiska przy barykadzie, u wejścia do getta. Tu znajduję już „Kruka” i „Baszkira”. Dowiaduję się od nich, że „Gram” zmarł w sali opatrunkowej. Miał odłamek w brzuchu i zanim doczekał się opatrunku, umarł z upływu krwi.

Przychodzi „Sławek”, który odprowadzał rannych do szpitala. Mówi, że Jacek jest bardzo ciężko ranny i nie wiadomo, czy będzie żył. To jest przykre. Jacek był jego dobrym przyjacielem. „Zorian” ma czternaście odłamków w całym ciele, lecz na szczęście żaden nie zaszedł głęboko. Chętnie bym odwiedził rannych. Szpital na Długiej, w którym są, jest niedaleko stąd, ale nie możemy zejść ze stanowisk. Zostało nas tylko czterech z drużyny i smutnie wspominamy niedawne czasy konspiracji. Usadowiliśmy się niedaleko siebie i rozmawiamy głośno o tych, co zginęli.

Nie ma nadziei, żeby nas szybko zluzowano z tych stanowisk. Umacniamy się, jak możemy, gdyż niemieckie granatniki nie próżnują ani chwili. Co parę sekund wybucha coś na dziurawym dachu ponad nami albo obok. Boimy się tylko, by pocisk nie wpadł przez okno, ale to jest mało prawdopodobne, gdyż spada on zwykle prawie pionowo. Mam teraz automat „Zoriana”. Z wyższego piętra budynku można zauważyć szkopów chodzących gdzieś za gettem, więc mam dobry cel. Strzelam bardzo rzadko, zmieniając wciąż stanowiska. Erkaemu nie pozwalam używać, jako że nie można zdradzać stanowiska, a po drugie – nie mamy amunicji na zbyciu. Zapada noc.

14 sierpnia

Noc przeszła spokojnie. Na getcie cisza, przerywana tylko rzadkim ogniem niemieckich kaemów, wysyłających od czasu do czasu długie serie pocisków świetlnych bez wyraźnego celu. Co kilkanaście sekund strzela w niebo biała rakieta. Niemcy boją się natarcia.

Pałac Krasińskich pali się całą noc, oświetlając nas czerwonym blaskiem. Na placu pracują dwie motopompy, pompując wodę z basenu OPL. Dzięki wysiłkom tych ludzi część pałacu – może jedna trzecia – uniknęła ognia. Reszta spaliła się do piwnic i stoją tylko puste mury.

Około południa zmieniają nas na stanowiskach. Najwyższa pora, bo spać się chce po przeszło czterdziestu ośmiu godzinach służby. Przechodząc przez plac, widzę gromadkę żołnierzy w panterkach posilających się czymś. Dołączam się i okazuje się, że w gorących jeszcze ruinach pałacu odgrzebano kocioł z naszej prowizorycznej kuchni batalionowej. Aluminiowa przykrywa stopiła się od żaru, ale spod zwęglonej powłoki można wydobyć dość dobry preparat, który kiedyś był zupą, a obecnie przypomina placek z mięsem.

Dowiaduję się, gdzie leży „Zorian”. Wskazany mi dom na ulicy Długiej wygląda jak stos ruin. Cały front budynku leży zwalony bombą lotniczą. Widzę jednak, że ludzie przełażą przez te gruzy, i gdy idę za ich przykładem, znajduję się w stojącej części domu, w pokoju zatłoczonym leżącymi na ziemi rannymi. Zaraz na początku spotykam Zbyszka. Wygląda bardzo mizernie, leży na garstce słomy w strasznym ścisku,

pomiędzy innymi rannymi. Mówi, że personel szpitala jest dziesięć razy za mały na tę liczbę rannych, i od czasu, jak go tu przyniesiono, nikt się nim nie interesuje. Prosi mnie, czyby nie można go jakoś przenieść do Pamfila. Widzę, że warunki są tu rzeczywiście okropne, więc wracam na kwaterę poszukać pomocy.

Sprowadziłem „Baszkira” i „Kruka”; przenosimy rannego do Pamfila. Jest tu dużo lepiej. Są łóżka, większy pokój, no i kupa znajomych. Między innymi są tu Halszka i „Butrym”. Żałujemy, że nie możemy oddalić się z naszych kwater na dłużej, by odnaleźć innych rannych z drużyny. Nic nie wiemy, co się dzieje z „Gryfem”, „Lisem” i „Bohunem”.

Przebiegamy z powrotem do naszych kwater, które mieszczą się teraz w gmachu Sądu Najwyższego. Tam też nad wejściem wisi otwarty parasol. Z kwater w podziemiach nie wolno się zasadniczo oddalać, gdyż w każdej chwili możemy być potrzebni na linii. Gdy odsypiam nieprzespane noce, zdarza się wypadek. Na podwórko, tuż za oknem, pada granat z moździerza. Podwórko to jest tak wąskie i przypominające studnię, że nikt nie przypuszczał, aby jakiś z pocisków, rozrywających się stale to na dachu, to na placu, mógł wpaść tutaj. Rezultat łatwo przewidzieć. Mamy trzech rannych, a oprócz tego są ranni dwaj jeńcy niemieccy, a dwaj inni zabici. Jeńcy są trzymani pod opieką naszej żandarmerii w sąsiednim budynku i przychodzą czasem do nas do roboty. Jest ich około stu czterdziestu, sam Wehrmacht, bo wszyscy pojmani esesmani zostali rozstrzelani.

Usiłuję spać dalej, pomimo ryku gramofonu i koleżków, którzy rozweselają się przed pójściem do „parku sztywnych”, jak sami mówią. Rzeczywiście, widzę tu może jedną trzecią tych, których znałem z konspiracji.

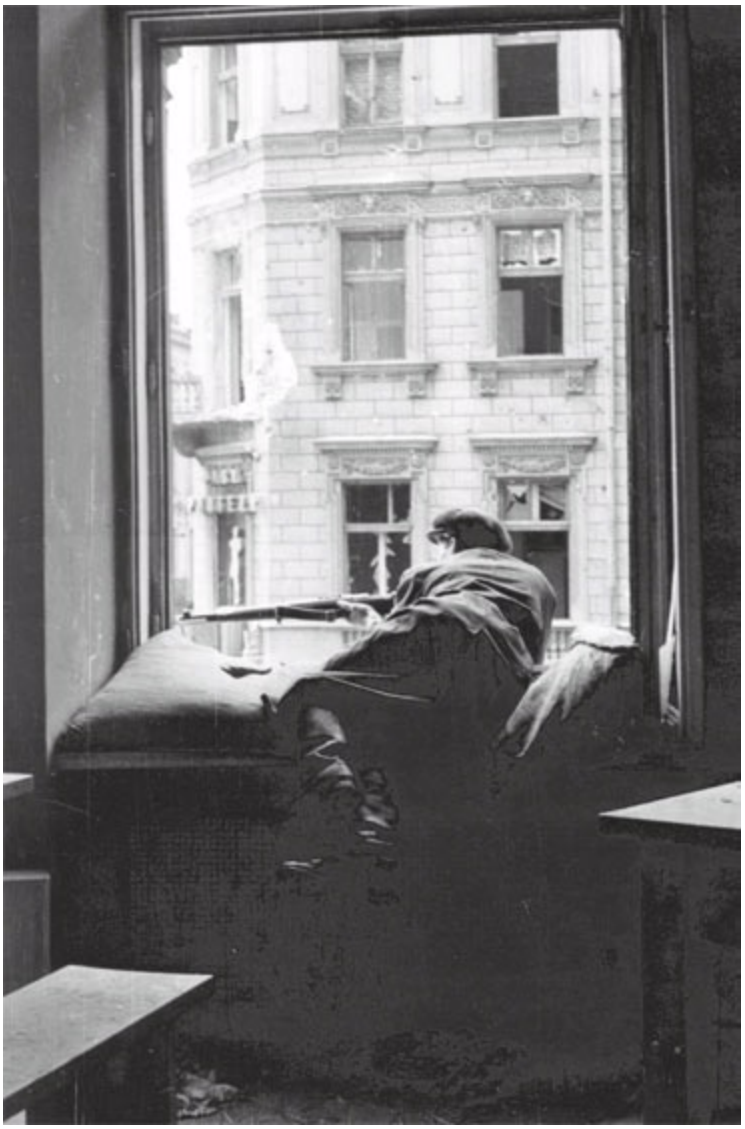

Stanowisko strzeleckie w oknie kamienicy na rogu ulic Marszałkowskiej i Sienkiewicza

15 sierpnia

Jest jeszcze ciemno, gdy podnosi się alarm. Żeby być gotowym do akcji, wystarczy mi tylko włożyć hełm, który mam pod głową, i chwycić broń, z którą śpię. Biegniemy, potykając się w ciemnościach, aby wzmocnić nasze pozycje w ruinach pałacu Krasińskich. Przed nami słychać w parku wielki ruch. Ktoś biegnie po krzakach, padają pojedyncze strzały i parę granatów. Wytężam oczy na szczupłe przedpole przed nami, oświetlone jako tako łunami i błyskami rakiet. W krzakach ktoś krzyczy, wzywając pomocy, ale po polsku. Słychać także jakieś niemieckie głosy. Parę razy mignął jakiś cień. Nie mogę zdecydować się na strzał, bo mogą tam być nasi. Podobno nieprzyjaciel zaatakował na lewo od nas, a w parku jest jakiś nasz patrol. Pozostaje nam tylko czekać.

Po jakimś czasie wszystko się uspokoiło, ale na pozycjach już zostajemy. W ciszy wczesnego świtu rozlega się gdzieś w oddali ciężkie dudnienie dział. To front. Zrobił się dzień, a z nim zaczyna się codzienna zabawa. Pierwsze „wstają” moździerze i zaczynają swym zwykłym „pyk”, gdzieś od niemieckich linii. Za kilka sekund można słyszeć świst lecącego pocisku, albo kilku, i wybuch. Ulubionym ich celem jest plac poza nami. Czyżby nie wiedzieli, że tamtędy nikt nie chodzi? W każdym razie ogień trwa. Czasami nagle zawyje „szafa”. Jej głos wydaje się przejmujący. Liczymy ryki, a później głuche wybuchy gdzieś za nami. Często się nie zgadza i wtedy można wiedzieć, że gdzieś w ruinach leży niewypał, czekając na rozbiórkę i przerobienie na granaty ręczne. Przez wywalone

drzwi na prawo ode mnie bije cekaem. Niemcy zaryglowali go chyba w tej pozycji, bo co kilka minut wali serię w to samo miejsce. Mur kruszy się z wolna na tylnej ścianie, a koło mnie przelatuje pasemko ognia. Gdyby wysunąć rękę, byłoby po niej. Ale po co? Dobrze już po południu zwalniają nas z pozycji. Korzystam z tego i po oczyszczeniu broni i po posileniu się wymykam się odwiedzić „Zoriana". „Butrym" leży na sąsiednim łóżku, a Halszka może już chodzić o lasce, tak że jesteśmy w komplecie. Rozmawiamy długo i wczuwam się w sytuację tych rannych. Muszą leżeć w tej sali z oknami zasłoniętymi tylko workami z piachem, jako jedyną ochroną przeciw wszelkiego rodzaju pociskom, i mogą tylko wsłuchiwać się w odgłosy dochodzące z linii. Do najbliższych pozycji niemieckich jest stąd nie dalej jak 300 metrów. Pojedyncza linia domów za placem stanowi jedyną przeszkodę. Uświadamiam sobie, jak mocno musimy trzymać nasze pozycje, by nie dopuścić Niemców tu i nie wydać rannych stąd i wszystkich szpitali na rzeź.

Zanosi się na bardzo ciężkie walki, toteż oddaję Zbyszkowi na przechowanie wszystkie swoje papiery, filmy ze zdjęciami itp. Tu w szpitalu zawsze mają większą szansę na przetrwanie. Chętnie posiedziałbym dłużej, ale trzeba już wracać.

Po powrocie układam się wygodnie w szafie z aktami sądowymi na pierwszym piętrze. Po zamknięciu drzwi wydaje się tu jeszcze bezpieczniej niż w suterenie. Na zewnątrz słychać wciąż wybuchy, budynek kołysze się od wstrząsów, lecz tu na starych dokumentach jest miło i zacisznie.

Gdy po pokrzepiającym śnie wyłażę ze swego schronienia, jest już ciemna noc. Od kogoś dowiaduję się, że moja kompania wyszła już na linię. Klnę kolegę, który miał mnie obudzić, ale widocznie zapomniał. Podążam w ślad za oddziałem i przy barykadzie na Świętojerskiej dowiaduję się, że trzecia kompania właśnie wyszła na getto. Nie radzą mi tam iść samemu, bo łatwo wleźć na niemieckie linie lub zostać zastrzelonym pomyłkowo przez swoich.

Dołączam się do dowództwa pierwszej kompanii. Cały ten kram, ulokowawszy się w ruinach, składa się z dowódcy, jednej łączniczki i dwóch sanitariuszek. Po paru godzinach siedzenia w ciemnościach wyłania się sprawa wysłania patrolu do parku. Zgłaszam się na ochotnika. W trójkę, z dwoma ludźmi, których nie znam, wychodzimy po cichutku do ogrodu. Mamy przejść przez cały park i dostać się na Barokową. W parku

jest cicho i zupełnie ciemno. Kierunek mamy jasno wyznaczony, gdyż widać z daleka płonący dom przy Barokowej. Idziemy wolno i ostrożnie, starając się robić jak najmniej hałasu. Parę razy słyszymy jakiś ruch i wtedy przystajemy. Często rakiety oświetlają teren: wtedy trzeba paść na miejscu i tylko obserwować.

Jesteśmy już niedaleko celu, gdy o parę metrów od nas z krzaka pada nagle seria szmajsera w naszą stronę. Żołnierz idący za mną rzucił tam trzymany w pogotowiu granat i pędzi naprzód. Rzucamy się wszyscy biegiem przez krzaki. Dokoła rozlegają się strzały. Nie pozostajemy dłużni, waląc intensywnie w kierunku błysków. Robi się dzika strzelanina. W tyle za nami wybuchło parę granatów ręcznych. Wpadamy do swoich. Zdążyli tylko parę razy strzelić w naszą stronę, zanim zorientowali się, kim jesteśmy. Okólną drogą wracamy na Świętojerską.

16 sierpnia

Wyznaczają nas na nowe stanowisko. Idziemy w czwórkę, ale z drużyny jest tylko „Butrym”, bo „Sławek” i „Kruk” zostali wysłani po jakąś amunicję do tyłu i jeszcze ich nie ma. Droga na stanowisko jest bardzo skomplikowana. Najpierw idziemy przez parzące jeszcze gruzy spalonych domów wzdłuż Świętojerskiej, potem trzeba odnaleźć dziurę w pułapie i wślizgnąć się do piwnic. Następnie z piwnicy do piwnicy i wychodzimy prawie na światło dzienne. Jesteśmy w małym jednopiętrowym domku. Jest on do połowy zrujnowany i przez zwalone sufity widać niebo.

Zostaję dowódcą tego interesu, po czym „Lot” objaśnia nam sytuację i odchodzi, obiecując, że przyśle zmianę przed wieczorem. Zostajemy sami. Dookoła pusto i cicho w parku. Nic nie widać, bo krzaki zasłaniają widoczność już na 30 metrów. Dokoła domku był kiedyś ogródek, ogrodzony płotem. Pozostałości tej siatki stoją jeszcze, utrudniając dostęp do budynku. Zawsze można paru przetrącić przy przełażeniu przez siatkę – myślę, układając sobie plan obrony.

Przede wszystkim bierzemy się do porządnego zabarykadowania okien i drzwi. Zakładamy je wysoko gruzem i cegłami, zostawiając tylko małe otwory na strzelnice i w drzwiach od wyjścia. W domku tym mieścił się kiedyś Ośrodek Zdrowia i okna są całe zabite siatką przeciw muchom. Chroni to nas doskonale przed granatami ręcznymi.

Po zrujnowanych schodach wychodzę na pierwsze piętro i znajduję doskonałą pozycję, skąd można obrzucać granatami nieprzyjaciela

usiłującego dostać się do wnętrza. Wyznaczam jednego człowieka z większością naszych granatów na to stanowisko. Z resztą kończymy umacniać dół. Zachowujemy się odruchowo jak najciszej, nawet rozmawiając szeptem. Że ma to swoje dobre strony, przekonujemy się wkrótce, gdy źle zbudowana barykada wali się z hukiem. Natychmiast rozlegają się strzały i kule walą po murach.

Wreszcie wszystko gotowe. Zasiadamy wygodnie na krzesełkach, każdy przy swoim otworze. Broń leży pod ręką gotowa do strzału. Przez całą resztę dnia nie dzieje się nic nadzwyczajnego na naszym odcinku. Za to niemiecka broń nie próżnuje. Bez przerwy pykają odstrzały granatników. Z nudów usiłuję je liczyć, ale doliczywszy do trzystu czterech w ciągu niecałych dwu godzin, daję spokój. Od czasu do czasu ryczy „szafa”. Jesteśmy akurat na szlaku jej pocisków, szumiących nad nami. Jest to dla nas niegroźne, bo jesteśmy zbyt blisko niemieckich linii. Raz tylko seria rakiet pada niedaleko, gdzieś koło pałacu. W kilkanaście sekund po wybuchach zaczynają dopiero spadać warczące odłamki, i między innymi ogromny kawał blachy z dachu – 5 na 5 metrów – ląduje przed nami w ogrodzie.

Zapada mrok, a obiecanej zmiany nie widać. Zjedliśmy już wszystkie posiadane zapasy, a na miejscu nie ma nic jadalnego. Robi się noc, ale żaden żywy duch nie chce nas odwiedzić. Wobec zapadnięcia ciemności trzeba wzmóc uwagę, bo nieprzyjaciel jest z trzech stron. Walczymy z sennością, wpatrując się uporczywie w ciemność przed nami. W krzakach coś poruszyło się. Podnoszę karabin... nic, to złudzenie. Strzela niemiecka rakieta, oświetlając teren. Nic nie widać.

Nagle coś idzie. Słychać wyraźnie szelest krzaków. Ściskam broń, czekając na nową rakietę, ale ciemność panuje nieprzerwana żadnym błyskiem. Jakiś przytłumiony głos. Słyszę od strony „Baszkira”, niewidzialnego w ciemności, lekki szczęk odbezpieczanego stena. On też czuwa. Nagle w ciszy pada strzał karabinowy. To „Pik” z lewego rogu domku nie wytrzymał. W parku robi się ruch. Słychać, jak ktoś biegnie, ktoś szamoce się z siatką o parę metrów przede mną. Naciskam spust, waląc w kierunku odgłosów. Raz, i jeszcze raz. W świetle płomienia padającego z lufy widać jakieś postacie. Naciskam spust – bez rezultatu. Zmieniam pusty magazyn i znów walę. Zauważam błyski przed nami. Seria pistoletu maszynowego wali po mojej osłonie, krzesząc masę iskier.

Słychać jakieś okrzyki. Wytrysk żółtego ognia przede mną oślepił mnie na chwilę. To granat. Za chwilę drugi, trzeci. W strasznym pośpiechu ładuję opróżnione magazynki. Trzaskają kule, wpadające ponad zasłonami okien. Znowu jakieś krzyki i szamotania się. Na lewo słyszę, jak „Baszkir” klnie nad zaciętym stenem. Walę znowu dziesięć strzałów. Po ostatnim zamek zostaje w tylnej pozycji. Przed nami cisza. „Baszkir” naprawił stena i też wpatruje się w przedpole. Kilka naraz rakiet oświetla teren. Nic nie widać. Dość daleko w krzakach błyska wybuch granatu.

– Hej, tam na górze! Starczy! – wołam.

Chwila ciszy. Czekamy niepewni, czy rzeczywiście nieprzyjaciela już nie ma. Nic nie słychać prócz strzelaniny z innych odcinków. Obchodzę swoich, chcąc się upewnić, czy nikt nie ranny. Wszystko w porządku.

– Ile granatów wyrzuciłeś? – pytam posterunek na górze.

– Trzy.

– Było co najmniej sześć, siedem wybuchów. To tamte widocznie niemieckie.

„Pik” twierdzi, że widział leżącego Niemca. Musiał być ranny lub zabity. Trzeba zaczekać do rana. Ja też jestem tego zdania, bo słyszałem okrzyki bólu, lecz przypuszczam, że Niemcy zabrali swoich z sobą. Zasiadamy znów na swych krzesełkach przy strzelnicach.

17 sierpnia

Cisza. Ciemno. Najbliższy pożar przygasa i już nic nie widać. Znów walczę z sennością. Podrywa mnie nagły odgłos. Tak jakby ktoś rzucił kamieniem w siatkę okna nade mną. Pssssss... Dobrze znany odgłos zapalonego granatu. Fontanna iskier strzela tuż przed wylotem strzelnicy. Zaraz po niej druga, trzecia, czwarta...

Odruchowo odsuwam się w bok od otworu. Wszystko drży od wybuchów. W króciutkich przerwach słyszę uderzenia w siatkę okna od Świętojerskiej i upadek odbitych od niej granatów na bruk tuż przy murze. I znowu pssssss...

Wszystko ucichło tak samo nagle, jak się zaczęło. Wpatruję się w przedpole. Cicho. Ciemno. „Baszkir” strzelił parę razy, ale nic nie widać. Cały interes trwał może kilkanaście sekund, ale wybuchło około dwudziestu granatów. Powoli zaczynam rozumieć, co się stało. Prawdopodobnie patrol niemiecki w butach owiniętych szmatami podkradł się pod osłoną muru od strony getta i obrzucił nas granatami. Skóra cierpnie na myśl, co by było, gdyby nie siatki w oknach. Dziwi mnie, czemu po tym grenadierskim ataku nie następuje drugi. Oczekujemy go w każdej chwili, stojąc z odbezpieczoną bronią przy strzelnicach. Nic się nie dzieje.

Dopiero około dziesiątej rano słyszymy, że ktoś się gramoli podziemnym przejściem do nas. Jest to łączniczka z kubłem jedzenia. Posilamy się po kolei, tak że zawsze trzech jest na stanowiskach.

Dopytujemy się o sytuację. Jest bardzo ciężka. Niemcy atakują na wszystkich odcinkach koło nas. Jedna z naszych kompanii odeszła na pomoc zagrożonej PWPW[12]. Teraz nie dziwimy się, dlaczego nie dostajemy zmiany, i tracimy nadzieję na szybkie zluzownie. Zostawiwszy nam jeszcze trochę jedzenia, łączniczka odchodzi. Musi jeszcze obejść inne stanowiska. Jeśli z takim samym dojściem, to współczuję.

Dzień jest pogodny i słoneczny. W parku cisza, tylko od czasu do czasu zaszczeka niemiecki karabin maszynowy, no i niezmordowane granatniki wciąż pracują. Jest bardzo trudno walczyć z sennością. Co kilkanaście minut obchodzę swoich chłopaków, by nie spali, ale mnie samemu też wiele nie brakuje.

Po kolei czyścimy broń i znów siadamy przy strzelnicach. Usiłuję czytać jakąś jedyną w tym lokalu wygrzebaną książkę, o wszach i tyfusie plamistym, ale czuję, że przy tej lekturze jeszcze szybciej zasnę.

Po południu ośmielam się zrobić małą wyprawę w krzaki przed nami. Bardzo dziwne ma się uczucie, wylazłszy za barykady na otwartą przestrzeń ogrodu. Czołgam się wolno wzdłuż muru. Nic nie widać. Wokół cisza i spokój. Po jakichś dwudziestu metrach czołgania się na brzuchu widzę, że na lewo w krzakach coś leży, ale nie mogę rozpoznać, co to. Widzę, że nie dam rady ze swoją ręką, i zawracam.

Z kolei „Baszkir” idzie na ochotnika. Obserwuję go, dopóki nie znika za zaroślami. Nie ma go dosyć długo i czekamy w napięciu, czy mu się coś nie wydarzyło. Nareszcie zjawia się przy barykadzie. W chwili, gdy włazi do środka, parę cegieł spada z łoskotem, wywołując natychmiast serię kaemu od strony Niemców. Na szczęście nie jest to już groźne, bo „Baszkir” jest już w środku.

– Melduję, że w krzakach niedaleko od nas leży zabity Niemiec.

„Baszkir” szukał broni, ale jej nie było w pobliżu. Pytam się, czy trup jest świeży, myśląc o nocnych awanturach, ale nie może mi udzielić odpowiedzi. Podczas czołgania zsunął mi się opatrunek z ręki. Usuwam go już do reszty, widząc, że rana jest prawie zupełnie zagojona.

Przed wieczorem odwiedza nas znowu łączniczka, przynosząc wodę i jedzenie oraz parę ręcznych granatów. Zapada mrok. I tym razem jest całkiem jasno, gdyż palące się domy przy Długiej i placu Krasińskich oświetlają wszystko czerwonym światłem. Z daleka słychać nieustanne

dudnienie. To działa na froncie. Napełnia nas to otuchą. Są tak niedaleko! Może wreszcie przyjdą...

Chłopiec niosący płaszcze

12 Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych – jeden z bastionów powstańczych na Starym Mieście.

18 sierpnia

W pewnym momencie zauważam, że ogień na linii zaczyna się wzmagać. Zwykle w nocy ma on formę pojedynczych serii kaemów ze strony Niemców, a czasem trzaśnie jeden lub dwa strzały karabinowe. Teraz serie karabinów maszynowych zlewają się w jedno, a do tego dochodzą krótkie trzaski peemów i wybuchy granatów. Dochodzi to wpierw z dość dużej odległości, jak myślę – z odcinka Ratusza i banku, lecz wkrótce przenosi się do nas. Na lewo w parku migają błyski pocisków świetlnych, a nawet słychać jakieś krzyki.

Trzeźwieję momentalnie z przytłaczającej mnie senności i wsłuchuję się w ciemność od strony getta, które jest najniebezpieczniejszym z naszych przedpól. Koledzy zaczynają pojedynczo strzelać w stronę hałasów – łamanych gałęzi i odgłosów poruszeń. Wołam, by oszczędzali amunicję, bo nie mamy jej za dużo.

Parę razy słychać coś bliżej, ale nie możemy się zorientować w kierunku. Po kilkunastu minutach wszystko zaczyna przycichać. Ustają peemy i granaty. Najdłużej młócą karabiny maszynowe, ale i one w końcu milkną. Sądząc po odgłosach, mieliśmy do czynienia z niemieckim atakiem, który odparto, bo nie słychać różnicy w odgłosach strzelaniny ze stanowisk.

I znów tylko z daleka odgłos dział, który zdaje się przybliżać z każdą sekundą. Wiem, że to złudzenie, bo tak samo było w noc przed wybuchem powstania.

Już szarzeje, gdy nagle nowa strzelanina rozlega się bardzo blisko nas, tym razem z tyłu. Słychać, jak jeden pistolet maszynowy wali niemożliwie przeciąganymi seriami. Wtóruje mu kilka strzałów karabinowych. Od tyłu biegnie ktoś ulicą. Chwytam karabin, ale nie wiem, jak się zachować w tym wypadku. Ten ktoś jest już bardzo blisko, mignęła mi jakaś sylwetka za oknem. Huk ręcznego granatu. To „Pik” z góry, mając poprzednie awantury w pamięci, rzuca granat. Strzelam kilka razy, prawie nie celując. Cisza.

Czekamy, co będzie dalej, ale nic się nie dzieje. Rozmawiamy w podnieceniu, bo „Baszkir” rzuca myśl, że strzelaliśmy do swego. Ja nie jestem tego zdania, bo żaden swój nie biegłby ulicą, tylko przeszedłby po prostu przez piwnice do nas. Pozostaje nam tylko czekać dnia do wyjaśnienia sprawy.

W bladym świetle poranka leżę na gruzach na wysokości pierwszego piętra, wypatrując, czy co nie leży na ulicy. „Baszkir” trąca mnie, pokazując na jakiś cień leżący na chodniku. Wygląda to zupełnie jak człowiek, toteż zaraz wyłazimy do parku i czołgamy się wzdłuż muru. „Pik” z karabinem mierzy z dachu w leżącą postać, bo nigdy nie wiadomo, co to. Murek, który oddziela park od ulicy, jest może wysoki na pół metra, bo kiedyś były na nim sztachety, zanim ich Niemcy nie ukradli na złom. Łatwo docieramy na odpowiednią wysokość, ale powstaje kwestia, jak przedostać się przez murek, za którym po otwartej przestrzeni ulicy nic nie zasłania od pocisków kaemu, dobrze mi znanego od czasu natarcia na Stawki. Ostrożnie decydujemy się na wyjrzenie za mur w miejscu, gdzie jest wyszczerbiony jakimś pociskiem. Na trotuarze twarzą do ziemi leży w kałuży krwi jakiś mężczyzna. Zabity – to widać od razu. Jest ubrany w wojskowe spodnie, panterkę i ma gołą głowę. Przez szyję przewieszony leży koło niego peem „czterdziestka”. Wyciągnąwszy rękę, można dostać do buta zabitego, z czego korzystam, by przyciągnąć go bliżej. Ciągniemy obaj, drżąc ze strachu, że lada chwila szum, jaki robimy, spowoduje serię kaemu z bunkra. Wreszcie jest tak blisko, że mogę odpiąć torbę z magazynkami, a w chwilę potem „Baszkir” ściąga peem. Nie zważając na krew, macam po kieszeniach za jakimiś papierami, ale nic nie ma. Tylko na ręku jest duży zegarek, wyglądający na złoty. Zostawiamy go; to nie dla nas.

Wracamy do siebie. Oglądamy broń: jest prawie nowa. Jedno jest tylko interesujące, że zarówno w pistolecie, jak i w zapasowych magazynkach

nie ma wcale amunicji.

Wkrótce przychodzi „Mors” i sprawa się wyjaśnia. Był on akurat na barykadzie przy placu, gdy zauważył jakichś dwóch ludzi przełażących w stronę Niemców. Ponieważ nie chcieli się zatrzymać, otworzył ogień. To była jego „czterdziestka”, którą słyszeliśmy. Jeden z tych ludzi padł zabity niedaleko, drugi dobiegł aż do nas. Sprawa jest jasna: to dywersanci, „gołębiarze”, wracający do swoich po wystrzelaniu amunicji. Zyskałem parę nowych butów na miejsce starych, rozwalonych na getcie.

Koło południa odwiedza nas sam „Jeremi” – dowódca batalionu. Obejrzał stanowiska, wyjrzał na przedpole, ale na moją wzmiankę o zmianie nie może nic obiecać. Batalion jest bardzo przetrzebiony, tak że stan bojowy nie liczy więcej niż jedną trzecią tego, co było z początku na Woli. Wszyscy są stale na linii.

Ze strachem myślę o nadchodzącej nocy, już czwarty dzień bez snu. Nie mogę pozwolić, by ktoś w nocy zasnął na stanowisku. Decyduję się, póki jest jeszcze jasno, urządzić spanie pojedynczo, po dwie godziny każdy. Śpiący kładzie się na podłodze obok posterunku, oczywiście w oporządzeniu i z bronią tak blisko, żeby w razie czego można go było zbudzić kopnięciem.

Tak schodzi dzień bez żadnego ważnego wydarzenia. Pogoda jest wykorzystywana przez niemieckie sztukasy. Co jakiś czas słyszymy ich warkot nad głowami. Czasami przez dziurę w dachu przesunie się sylwetka samolotu. Nieprzyjemnie wyglądają podwieszone pod kadłubem bomby. Potem gdzieś niedaleko słychać wycie pikujących maszyn, świst bomb i głuche odgłosy eksplozji.

Z nastaniem ciemności musimy znów wszyscy być na stanowiskach. Jest akurat tylu, by mieć zabezpieczone jako tako wszystkie strony, skąd grozi nam niebezpieczeństwo. Oczywiście dwie godziny snu nikomu nie pomogły i walka z sennością staje się bardzo mozolna. Próbujemy rozmaitych sposobów, z których żaden jednak nie jest zadowalający. Zapałki, którymi podpieramy powieki, powodują po pewnym czasie taki ból, że trzeba je wyjmować. Tymczasem oczy zamykają się same i ciężko zdobyć się na wysiłek otwarcia ich znowu. Pewne rezultaty daje polewanie otwartych oczu wodą z manierki. Parę razy łapię się na granicy nieświadomości. Widzę, że koledzy przechodzą te same męczarnie. Gdy cichną chwilami odgłosy strzelaniny, znów słychać działa radzieckie.

19 sierpnia

Na szczęście tej nocy Niemcy nie próbowali żadnych ataków, a nie ręczę, czy któryś z chłopców nie zdrzemnął się na chwilę. Raz tylko gdzieś blisko nas huknął strzał i od nas odpowiedziała nań seria peemu. Nie wiem, czy to na wpół senny posterunek pociągnął za spust, czy też rzeczywiście coś zobaczył.

Dzień przynosi pewną ulgę w walce ze snem, lecz nie usuwa tej zmory, która wisi nad każdym z nas. Nie można myśleć o niczym, nie chce się rozmawiać. Tylko spać, spać i spać!

Gdy słońce stoi wysoko, lekkie powiewy wiatru przynoszą z przedpola mdły, wstrętny zaduch. To trupy. Leży ich tu w pobliżu niepogrzebanych sporo, szczególnie na getcie, od czasu pamiętnego natarcia. Łączniczka, która przynosi nam w południe coś do zjedzenia, mówi, że u nas śmierdzi wprost niemożliwie, i dziwi się, jak wytrzymujemy z tym. Ano, przyzwyczailiśmy się.

Odwiedza nas „Zabawa”. To bardzo porządny jegomość. Siedzi z nami i rozmawia przez dość długi czas. Czujemy się na duchu znacznie lepiej. Daje nam on także po jednej z tych angielskich tabletek przeciwko snowi. Jesteśmy mu za to wdzięczni, tym bardziej że na odchodnym zostawia mi jeszcze po jednej na noc dla każdego.

Po jego wyjściu humory się bardzo poprawiają. Powiększamy barykady w oknach i drzwiach, tak że nasz domek zmienia się w małą twierdzę. Nieprzyjemną nowością dzisiaj jest to, że moździerze zmniejszyły

odległość i biją teraz całkiem blisko nas. Póki jesteśmy pod dachem, nie zrobią nam szkody nawet najbliższe wybuchy. Moja pozycja przy oknie jest właśnie w takim miejscu, ale w tyle pokoju wznosi się stos gruzu i widać gołe niebo. Trzeba liczyć na szczęście, że nic tam nie wpadnie, bo nie można na to nic poradzić.

Po zapadnięciu ciemności rozdaję chłopakom resztę pigułek i mam nadzieję, że tę piątą już z kolei noc przebędziemy. W nocy w parku jak zwykle rozlegają się tajemnicze szmery. Mam wrażenie, że Niemcy w ciemności wysuwają dobrze czujki i że patrolują w ogrodzie.

Czujemy taki napływ energii, że postanawiam zrobić małą wyprawę, by przekonać się, co się właściwie koło nas dzieje. Wybieram moment najspokojniejszy i najciemniejszy i we dwójkę z „Pikiem” wyślizgujemy się przed domek. Dochodzimy do miejsca, w którym leży zabity Niemiec. Widzimy wyraźnie jego wzdęty brzuch i zalatuje nas trupi zaduch.

Leżymy tu dość długo, pokonując podniecenie i nasłuchując. Gdzieś niedaleko w ciemnościach słychać jakiś ruch. Coś jakby kopanie, przytłumiona rozmowa; trzasnęła gałązka, ktoś idzie przez krzaki. Widzę, jak „Pik” składa się do strzału. Pomimo ciemności widać, jak broń drży mu z emocji. Kładę mu rękę na ramieniu, zapobiegając w ten sposób niepotrzebnej strzelaninie. Gdy nie jesteśmy za swoją osłoną, lepiej nie ryzykować bezcelowej rąbaniny. Po ciemku się nikogo nie trafi, a można samemu oberwać, no i szkoda amunicji. Wracamy do ośrodka.

20 sierpnia

Nowy nawrót zmęczenia jest bardzo przykry. Szumi mi w głowie i wszystko miga przed oczyma. Podobnie jest z kolegami. Organizujemy znów po dwie godziny snu. Wypada mi spać ostatniemu, więc nie mogę się doczekać swojej kolejki. Poprzednie pięć nocy i dni nieprzespanych ciążą bardzo nad każdym z nas.

Ktoś gramoli się przez piwnicę. Słychać szczęk broni i rozmowę. Wyłazi z dziury „Lot”, a za nim jakichś trzech ludzi. Zmiana! Nareszcie! Sam nie wiem, co plotę, meldując zdanie pozycji. W końcu jesteśmy wolni i możemy iść na tył.

Obecnie droga przez ruiny jest już pod obstrzałem, ale mało zwracamy na to uwagi, mając przed oczyma perspektywę spokojnego kąta, gdzie by można się położyć i spać, spać, spać! W gruzach pałacu kłębi się właśnie dym i kurz po pocisku, który przed chwilą wybuchł. Przebiegamy na oślep w ciemności, co zresztą dobrze się składa, bo teraz tu trzeba nurkować pod każdą dziurą po oknie, taki jest ostrzał.

Na kwaterze w suterenie Sądu Najwyższego jest prawie pusto. W kącie na rozrzuconych papierach ktoś leży. Bez namysłu zrzucam hełm i kładę się obok. Teraz poznaję „Bohuna”.

– Co, już jesteś zdrów?! Jak głowa?

– Można wytrzymać. W szpitalu tak okropnie, że zgłosiłem się znów do akcji.

Dowiaduję się jeszcze o innych chłopakach z drużyny. „Zorian” i „Butrym” mają się znacznie lepiej, podobnie jak „Gryf” i „Lis”, którzy są w jakimś szpitalu koło Rynku. To daleka droga, myślę, ale obiecuję sobie iść tam, gdy tylko będzie to możliwe. Za to „Sławek” i „Kruk” gdzieś się zapodzieli. Podobno ostatni raz widziano ich na tej wyprawie z pomocą PWPW. Musieli tam zostać; ciekaw jestem, w jakim stanie – żywi czy umarli. To byłoby straszne... Patrzę na leżących obok dwóch chłopaków – wszystko, co zostało z drużyny – i myślę sobie, że coś inaczej to wszystko wygląda, niż przypuszczałem. Każdy liczył się z tym, że będą ranni i zabici, ale żeby tak nas wytłukli! Zastanawiam się, ile ja za to ponoszę odpowiedzialności. Właściwie to moje „dowodzenie” znaczy teraz tyle, co nic.

Zmęczenie przerywa te smętne rozmyślania i zasypiam.

– Wstawaj! Wstawaj! Pogotowie!

Ktoś szarpie mnie za mundur. Z wolna otwieram oczy i trzeźwieję. Dokoła ciemna noc. Za oknem łuna jak zwykle i grzechot karabinów z linii. Spoglądam na zegarek: spałem prawie 10 godzin. Czuję się znacznie lepiej, choć w głowie jeszcze trochę szumi.

Przygotowanie do wyjścia jest nieskomplikowane: zacisnąć mocno pasek, włożyć hełm i magazynek do broni; jestem gotów. Przy wyjściu ktoś jeszcze wciska mi w rękę pół bochenka chleba. Idziemy zmienić posterunki w getcie.

Noc jest chłodna i dżdżysta. Na niebie palą się tylko rakiety, na ziemi domy, gdzieś po drugiej stronie placu. Wchodzimy na teren getta i ruchome zwały cegieł zaczynają się usuwać spod nóg.

– Ciszej! – upomina „Mors” prowadzący naszą małą grupę. – Ciszej, bo jak Niemcy usłyszą, zaczną walić z moździerzy.

Część z nas czeka na swoją kolejkę w dużym zagłębieniu, gdzie pewnie było kiedyś podwórko domu. Reszta z „Morsem” zniknęła w jakiejś norze. Białe rakiety z niemieckich linii strzelają raz po raz, lecz nie trzeba padać, bo i tak nas nie zobaczą. Jedna z nich spada, sycząc, tak blisko, że gdybym nie uskoczył, wylądowałaby mi na hełmie.

Wreszcie moja kolejka. Pnę się na stromy pagórek, korzystając z chwili ciemności. Na szczycie z małego dołka podnosi się jakiś człowiek, a ja się wślizguję na jego miejsce. Sytuacja jest jasna i nie ma o czym dużo gadać. Przede mną pomiędzy cegłami tworzącymi przedpiersie widać rozległy

obszar getta. Często płaskim łukiem przeleci pocisk świetlny, czasami cała ich seria.

Już po upływie pół godziny zaczyna mi cierpnąć to ręka, to noga i czuję się bardzo niewygodnie. Cegły pode mną robią wrażenie, jakby każda z nich stała na sztorc. Zaraz też biorę się za „umeblowanie” stanowiska na sposób zapewniający maksimum komfortu. Wszystkie cegły pode mną układam na płask, robiąc równiutką podłogę. Prócz tego zostawiam miejsce na granaty i amunicję. Wreszcie mogę się wziąć za jedzenie. Przy tej czynności zdaję sobie sprawę, że od rana nic nie jadłem, i chleb z lemoniadą nabiera jeszcze lepszego smaku.

Dziewczyna przegląda się w lusterku; w tle zbombardowana Złota nieopodal ulicy Zgoda

21 sierpnia

Od czasu do czasu moździerze, bijące zwykle nad nami na plac Krasińskich i okolicę, skracają odległość i pociski ich wybuchają całkiem blisko. Odłamki świszczą nad moim prawie odsłoniętym dołkiem, wobec czego zabieram się do generalnego przebudowania pozycji. Kopię rękami w gruzie, starając się, by wyrzucane cegły nie zmieniły wyglądu pagórka, na którym się znajduję. Trzeba pracować cicho i robić przerwę przy każdej rakiecie, toteż dopiero rano jestem jako tako zabezpieczony. Dołek jest teraz głęboki na przeszło pół metra, z niewidocznym dla nieprzyjaciela wejściem od tyłu i wygodnymi strzelnicami z przodu. Korzyść z tej pracy daje się szybko zaobserwować, gdy parę salw z moździerzy pada jedna za drugą pomiędzy naszymi stanowiskami. Robi się taki dym i kurz, jak gdyby gruzy się nagle zapaliły.

Punktualnie o ósmej rano składają nam pierwszą dzisiejszą wizytę cztery sztukasy. Z mojego stanowiska mam wspaniały widok także w stronę Starówki. Widzę, jak samoloty krążą nad dachami, szukając swego celu. Następnie, lecąc jeden za drugim na trochę większej wysokości, nurkują na obrane miejsce. Od maszyny będącej tuż nad dachem odrywa się podłużna bomba, a samoloty z wyciem silników wyrównują lot. Teraz można liczyć wolno do sześciu i wreszcie zaczynają się wybuchy. Nad zbombardowanym miejscem wykwitają raz po raz czarne słupy dymu, tworząc wielką chmurę znoszoną z wolna przez wiatr. Samoloty, zatoczywszy koło, zawracają znów, tym razem zrzucają każdy po dwie

mniejsze bomby. I znów jęczy ziemia i czarny dym wznosi się nad nieszczęsnymi domami. Jednak to bandytom nie wystarcza. Trzecie koło i słychać dudnienie serii z działek pokładowych. W tym momencie wyobrażam sobie uciekających z zawalonych budynków ludzi, na których jeszcze sypie się grad rozpryskowych pocisków.

Samoloty odlatują, lecz niedługo są znów z powrotem. Za każdym nalotem spoglądam na zegarek. Zawsze mija 45 minut od poprzedniego. Różnica wynosi najwyżej kilka minut. Tyle czasu im potrzeba na przelot na lotnisko, uzupełnienie amunicji i paliwa oraz powrót. Zapamiętuję sobie numery i litery na kadłubach samolotów. To są wciąż te same. Przewracam się na wznak i obserwuję ich manewry. Widowisko jest tak wyraźne i przejmujące w swej grozie. Na swoim stanowisku czuję się zupełnie bezpieczny, ale robi mi się strasznie na myśl, co czują ludzie tam o 200–300 metrów ode mnie, gdzie te bomby spadają.

Leżąc tak, wyraźnie czuję kołysanie ziemi za każdym wybuchem. Mam wrażenie, że gdybym nie leżał w dole, stoczyłbym się gdzieś w dół. W pewnej chwili robi mi się nieprzyjemnie, gdy samoloty za nowym nawrotem zataczają koło tuż nad nami. Maszyny widać z okropną wyrazistością. Podwieszone szarozielone bomby, wylot działka w piaście śmigła... W wirażu mignęła mi za szybą twarz pilota, zupełnie jak gdyby się patrzał na mnie. Od strony niemieckiej linii strzelają białe rakiety. Przejmuje mnie nagły strach, gdyż jestem zupełnie odsłonięty od góry. Szybko posypuję mundur garściami piasku, by upodobnić się do otoczenia. Samoloty przeleciały. Odetchnąłem. Warkot znów się zbliża. Wyglądam. Cztery maszyny lecą w szyku jedna za drugą prosto na nas. Zamykam oczy i staram się wprost wcisnąć pomiędzy gruz. Huk silników i świst tuż nad nami... to już...

I cisza. Samoloty przeleciały. Liczę jeszcze: pięć, sześć – nic... dziesięć, jedenaście – nic. Więc jednak nie zrzucili! Otwieram oczy. Na niebie płonie co najmniej sześć białych rakiet jednocześnie. Strzelone z niemieckich pozycji, są także nad nami. Zrozumiałem, że lotnicy nie mogli się zorientować w sytuacji.

Do południa było sześć nalotów, po południu już przestałem liczyć. W kilku punktach Starego Miasta płoną domy i dym ich zlewa się w jedno, przesłaniając czasem słońce.

Z tyłu słyszę, jak ktoś gramoli się po cegłach do mojego stanowiska.

– Ostrożnie, granatniki wciąż walą! – ostrzegam.

Ktoś jest tuż przy wejściu do mojej dziury. Widzę głowę Hanki, naszej łączniczki. Chce się dostać do mnie, ale widocznie pełza zbyt wysoko, bo seria kaemów znów obtłukuje górne cegły nad stanowiskiem.

– Cała jesteś?

– Cała, ale nie mogę się dostać do ciebie. Podaj hełm!

Zdziwiony zdejmuję mój rozgrzany garnek i podaję. Za chwilę dostaję go z powrotem pełny pierników, cukierków i czekolady. Widzę, że zdobyte niemieckie magazyny wreszcie trafiają w dobre ręce. Po podaniu manierki przerwa. Hanka złazi na dół do kubła, którego nie można dalej donieść, i po chwili dostaję manierkę już z kawą. Za chwilę widzę ją przy sąsiednim stanowisku „Baszkira”.

Spoglądam na zegarek. Już jestem tu osiemnaście godzin, choć była obiecana zmiana po ośmiu. Ha, trudno.

Dopiero koło szóstej przychodzi zmiana. W Sądach nadarza mi się dobra okazja: jeńcy przynieśli wody i można się umyć! Przewody są zerwane od dawna, a oprócz tego nie miałem ostatnio czasu. Usiłuję przypomnieć sobie, kiedy się ostatni raz myłem. W ciągu ostatniego tygodnia na pewno nie. W lustrze mogę obejrzeć wszystkie pyły getta i innych stanowisk.

Nieoficjalnie jak zwykle wyrywam przez okno i przez plac w stronę Pamfila. Sam plac wygląda dziwnie. Oprócz większych lejów po bombach i pociskach nieustanne bombardowanie przez moździerze zostawiło tu swe ślady. Co pół metra leży metalowa gwiazdka – lotki od granatu. Niewypałów też jest sporo, choć są zbierane do przeróbki. Także i mnie nie omija zwykła seria, którą przeczekuję, leżąc.

U Pamfila widać od razu, że przybyło sporo nowych pacjentów. W kącie widzę całą ferajnę znajomych z Kedywu: Wacuś, Kazik, „Biały” – wszyscy w komplecie. Jakoś docisnąłem się do Zbyszka i chowam karabin pod łóżko, bo tu nie wolno przychodzić z bronią.

Zbyszek czuje się znacznie lepiej i może już siadać. Przyjemną niespodziankę robi mi „Butrym”, który już chodzi, acz chwiejnie. Nastrój tu panuje serdeczny, prawie rodzinny. Wszyscy wypytują o nowiny, sanitariuszki zawsze znajdą coś dobrego, co muszę przyjąć, bo wiem, że szpital jest dość dobrze zaopatrzony. Ze swej strony przynoszę parę butelek wina, które zapobiegliwi koledzy znieśli na kwatery, a nie schowali dobrze. Przyjemnie się tu siedzi, gawędząc, i nie chce się wychodzić. Zajęty

rozmową, nie zauważyłem, jak wesołe towarzystwo wyciągnęło z kąta mój automat i zaczęło oglądać. Za to zauważył to od razu wchodzący lekarz i robi się awanturka familijna. Widzę, że lepiej będzie spłynąć po cichu, co też uskuteczniam.

Walki na Krakowskim Przedmieściu, ujęcie z wnętrza kościoła Świętego Krzyża przez wyburzoną ścianę

22 sierpnia

Grzmot wybuchów... jeden, drugi, trzeci... Podłoga Sądów, gdzie śpimy, leżąc pokotem, kołysze się, jakbyśmy byli w jadącym samochodzie. Z brzękiem spadł w ciemności czyjś hełm. To obudziło mnie do reszty. Krztuszę się gorącym dymem, który napełnia lokal. Znowu się pali? Wypełzam na korytarz, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Parter budynku zawalony gruzem, trudno poznać, czy jest go więcej, czy mniej. Przez wyszczerbione okna pada drgające światło. Na placu coś się pali. Domy? Tak, a oprócz tego dogasają stosy mające dać sygnał samolotom zrzutowym. Bez rezultatu, jak mi wiadomo.

Spoglądam na zegarek: trzecia, spałem pięć godzin.

– Psiakrew, spać człowiekowi nie dają! – klnę na głos.

W cieniu poruszyła się jakaś sylwetka. Poznaję „Bohuna”. Stoi, patrząc przed siebie na płomienie.

– A ty co tu robisz?

– Tak sobie wyszedłem, nie mogę spać.

– A co to było z takim swądem?

– „Szafka” ryknęła. Dwa w nas, jeden obok, a reszta na plac.

– Aha.

Chwila ciszy, przerywanej zwykłą nocną strzelaniną, po czym podejmuję na nowo rozmowę.

– A czemu nie możesz spać, „Bohun”?

– Jak mam spać, kiedy tak... kiedy wiem, że i tak jutro dostanę w czapę.

– Irek! Zwariowałeś?!

– Wiem na pewno.

– Daj spokój z przeczuciami, każdy tak mówi!

– Kiedy to prawda, Zbyszek.

Z dołu ktoś drze się:

– Trzeci pluton! Wstawać! Zbiórka!

To nam przerwało rozmowę. Szykujemy się do wymarszu.

Znowu getto. Niemcy widać usłyszeli idącą zmianę, bo seria granatów wali koło nas zaraz po wejściu na gruzy. Zaszumiało, tryskają wkoło blade błyski. Przypadłem do ziemi. Ktoś jęknął.

– Co tam?!

– Już nic, tylko draśnięcie.

Idziemy dalej. Zajmuję dziś trochę inne stanowisko na najwyższym wzgórzu. Jestem czegoś zły i podniecony. Chwilami ogarnia mnie dzika wściekłość. Nie wiem dlaczego. Może to skutkiem tej rozmowy z „Bohunem” lub wizyty w Pamfilu. Patrząc w tył, z mojego stanowiska widać w świetle łuny plac, wieże kościoła garnizonowego, a obok dom i potężny stos worków z piaskiem: Pamfil. Gdyby Niemcy tu przyszli... Lecz nie. Oni tu nie przyjdą. Postanawiam jakoś dać się szkopom we znaki. Teraz nie można. Ciemno, a tylko ich pociski suną górą nad nami. Czekam do świtu. Wreszcie szarzeje. Najlepsza pora na różne awantury, toteż od czasu do czasu nagłe strzelaniny przechodzą po liniach. Jest zbyt jasno, by dojrzeć błysk strzału, a zarazem zbyt ciemno, by zauważyć dymek czy kurz przy lufie.

Jest przeraźliwie zimno, jak zawsze rano, i trzęsę się cały pomimo ciepłego munduru. Wpatruję się usilnie w gruzy, tam gdzie wiem, że są Niemcy. Parę razy coś się ruszyło. Nie, to zbyt niewyraźne, by marnować amunicję. Słońce już musi wschodzić, bo co wyższe ruiny za gettem błyszczą w nowym oświetleniu.

Wreszcie jest! Coś we mnie ścisnęło się z emocji; podobno to serce, ale raczej żołądek. Dwa cienie podnoszą się za „ich” stanowiskami. Wolno ruszają do tyłu. Coś niosą. Może ranny? Już ja wam dam za Wolę! Sprawdzam celownik i czekam, aż wejdą w lepsze miejsce. Już! Raz! Raz! Raz! Wspaniałą bronią jest mój automat! Ledwo lufa opadnie po strzale, już można znowu walić. Patrzę uważnie na rozwiewający się dymek. Coś ciemnego leży na gruzach. Raz! Raz! Raz! Sypią się łuski. Wtem huk tuż

nad głową. Sypią się odłamki cegieł. Obsuwam się na dno dołka. Z cekaemem lepiej nie żartować. Następne serie walą górą i po bokach. Potem znowu przez moją strzelnicę. Odruchowo podkurczam nogi. Uspokoił się. Ostrożnie wychylam pół lornetki i jedno oko. Na wiadomym miejscu pusto. Jednak nie, jest coś. Co to? A, już wiem, to hełm leżący na gruzie. Hm...

Niemcy zrobili się bardzo ostrożni. Nic nie widać godnego strzału. No i poza tym... po prostu boję się. Co jak co, ale taki cekaem walący tak na wprost... W cegłach rozbijanych na pył czuć taką straszną energię pędu... Zawsze stoi mi przed oczyma ten Niemiec rozwalony niedawno w pałacu Blanka. Tak chlupnęło dookoła z jego głowy coś czerwonego. Brrrr...

Znacznie później odważam się jeszcze na parę strzałów, ale to nic specjalnego. Samoloty przylatują dziś jak zwykle. Prócz tego jakoś bardziej aktywne są „szafy”. Co kilkanaście minut słychać ich przejmujące ryki. Potem szum i gdzieś za nami zaczynają się wybuchy. Ziemia nie kołysze się tak bardzo jak przy bombach sztukasów, ale za to powietrze faluje strasznie. Z dachów lecą kawałki desek, blachy i inne gruzy. Oczywiście widać to tylko przy pierwszym wybuchu, bo potem wszystko zasnuwa się nieprzeniknionym dymem.

Wkrótce zauważam, że świstom nad głową towarzyszą realne pociski, łatwe do zauważenia. Lecą na niedużej wysokości jakby stadkiem liczącym przeważnie sześć sztuk. Szlak pocisków idzie zawsze nad nami. Widocznie „szafa” stoi w tamtym kierunku. Z odgłosów wnioskuję, że musi to być gdzieś koło Pawiaka.

Przy jednej z takich serii nagle zauważam coś dziwnego. Pięć pocisków leci razem, a szósty w tyle daleko za nimi. Wygląda, jakby je gonił. Nagle widzę, że coś tu nie w porządku. Pocisk koziołkuje w powietrzu i jest całkiem nisko. Leci wprost na nas. Jest tuż. Z ciężkim świstem mignął stalowy cylinder, spadając pomiędzy nami a Bonifraterską, nie dalej jak osiemdziesiąt metrów od nas. Chowam się głębiej, zaciskając uszy.

Cisza.

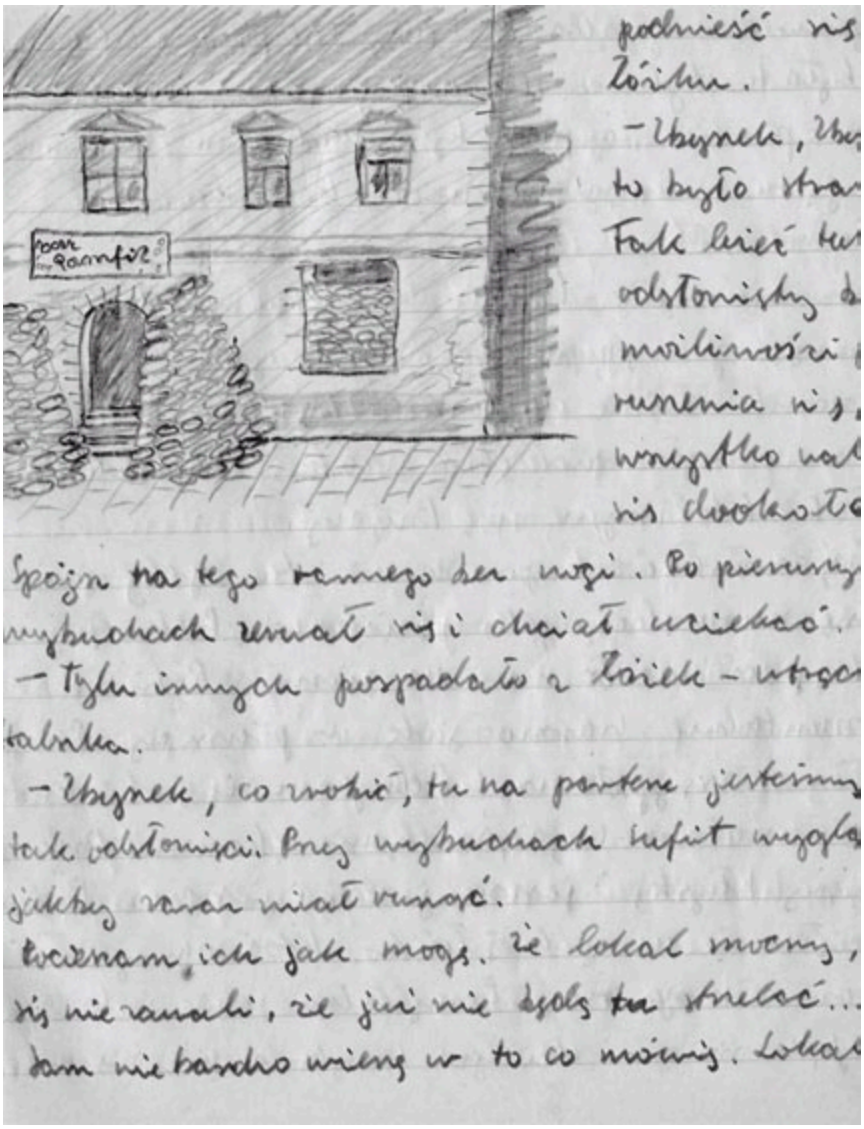

Kartki z rękopisu Dziennika powstańca z rysunkami Autora

– Co to było? – rozlega się głos tuż obok. To łączniczka, która właśnie przyniosła nam obiad.

– To? Niewypał – zaczynam objaśniać zaobserwowane zwyczaje „szaf”.

W zamian dostaję kupę wiadomości. Przy Długiej zasypało sześćdziesiąt osób. Przy Freta dwudziestu zabitych. Przy Kilińskiego trafiony szpital... Długa litania innych miejsc. Nagle uświadamiam sobie cały ogrom znaczenia tego widowiska.

Po obiedzie bombardowanie nie ustaje w nasileniu. Tego jeszcze nie było. Na dodatek z prawej słychać gwałtowną walkę. Znowu muszą

atakować. Robi się ciepło...

W pewnej chwili, obserwując lecące „szafy”, wstrzymuję oddech. Kierunek mają wprost na skrzyżowanie Długiej i Miodowej. Strzelił czarny dym na narożnym domu. Na dachu przyległego kościoła garnizonowego bluznął żółty płomień i rozlał się szeroko. To mina zapalająca. Kościół się pali, wszystko pogrążone w jednym dymie. Pamfil jest tuż obok, zupełnie niewidoczny w dymie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przychodzi akurat zmiana. Gdy wracamy przez gruzy pałacu do siebie, urywam się od swej grupki i pędzę na przełaj przez plac do Pamfila. Wpadam do środka. Wielki hałas i zamieszanie. Ranni leżą na łóżkach przykrytych grubą warstwą tynku. Wszystko jest zakurzone i poprzestawiane. Dostaję się do łóżek, gdzie leżą „Zorian” i „Butrym”. „Zorian” jest bardzo blady i usiłuje podnieść się na łóżku.

– Zbyszek, Zbyszek, to było straszne. Tak leżeć tutaj odsłoniętym, bez możliwości poruszenia się, gdy wszystko wali się dookoła. Spójrz na tego rannego bez nogi. Po pierwszych wybuchach zerwał się i chciał uciekać.

– Tylu innych pospadało z łóżek – wtrąca Halszka.

– Zbyszek, co robić? Tu na parterze jesteśmy tak odsłonięci. Przy wybuchach sufit wyglądał, jakby zaraz miał runąć.

Pocieszam ich, jak umiem: że dom mocny, że się nie zawali, że już nie będą tu strzelać... Sam nie bardzo wierzę w to, co mówię. Dom co prawda wygląda mocno, sklepienie łukowe, bo była tu stylowa restauracja, ale jednak to nie piwnice, a poza tym widziałem, że Niemcy celują tu, mierząc na wieże kościoła.

Co robić? Sam nie wiem. Na razie krzątam się dokoła, usuwając gruz, poprawiając, co mogę. Wracam właśnie do łóżka Zbyszka, gdy wtem zawyła piekielna „szafa”. Na sali popłoch. Ktoś zrywa się, krzyczy. Chcę zawołać: „To pewno nie tu”, gdy już słyszę szum lecących pocisków. Piekielny huk, coś rzuciło mnie na ziemię. Robi się momentalnie czarno jak w piwnicy. Pomyślałem: zasypało nas. Podrywam się, robię krok w ciemności z wyciągniętymi rękami. Oślepiający błysk. I jeszcze jeden, i jeszcze. Podrzuciło mnie na jakieś łóżko. Ktoś chwycił kurczowo moją rękę. Pomyślałem sobie: „To tak wygląda śmierć” i chciałem krzyknąć: „Nic się nie bój, Zbyszek”, lecz zakrztusiłem się wstrętnym, duszącym dymem.

Zupełnie ogłuszony nie słyszę już następnych wybuchów. Mur zaczyna się sypać dookoła, sporo spada mi na plecy. Pochyliłem się nad leżącym, czekając na zawalenie się reszty. Czekamy. Ułamki sekund długie są jak wieczność. Wszystko ucichło. Cisza aż w uszach dzwoni. Jesteśmy zasypani. Nagle słyszę, że otacza mnie nie cisza, lecz straszne kłębowisko krzyków, jęków, płaczu i jakichś słów bez związku. Odzywam się do „Zoriana”:

– Zbyszek, nic się nie bój, już przeszło.

– Ja się nic nie boję.

W ciemności zamajaczył jakiś jaśniejszy punkt. Zarysowuje się kontur czegoś jaśniejszego. To okno, już bez worków, lecz częściowo zawalone. Zaczynam rozumieć: nie jesteśmy zasypani, lecz tylko dym powoduje ciemność. Powoli się rozjaśnia. Na sali kłębowisko rannych, zdrowych, łóżek i sprzętu. Ktoś przeraźliwie jęczy, inny wzywa pomocy, pod oknem ktoś leży zabity przez odłamki czy gruz. Dookoła zerwane opatrunki i krew świeżych ran. Sufit popękany, w rogu wali się, a całość wygląda, jakby lada moment miała runąć na leżących. Wszystko czarne i okopcone. Dłonie rąk, które trzymałem przed sobą przy drugim wybuchu, są kompletnie czarne, lecz tylko od spodu.

Przy wyjściu do tyłu tłoczą się w ucieczce ranni, którzy mogli się zerwać z łóżek. Wpada jakiś lekarz i na rękach wynosi pierwszego z brzegu rannego. Chcę unieść Zbyszka, ale pierwsza zaraz próba wywołuje straszne boleści w poszarpanym ciele.

– Zbyszek, nie dasz rady, leć po nosze i pomoc.

Zrozumiałem, że jest to jedyny sposób. Przeskakuję przez leżące na drodze ciała, brnę przez gmatwaninę gruzu i worków z piaskiem przy wyjściu i już jestem na placu. Z daleka na rozbitym częściowo budynku Sądu zwisa nasz parasol, niemożliwie wprost poszarpany odłamkami. Biegnę na przełaj w jego kierunku.

Wpadam między kolumienki. Zawyła „szafa”. Padam za najbliższą kolumną. Szum. Świst. Wybuch jeden za drugim. Nie mam odwagi podnieść głowy zza hełmu, ale i tak aż za dobrze słyszę, z jakiego to kierunku. Ostatni huk. Chmura dymu przyszła i zakryła mnie. Podnoszę się na łokciu i wytężam wzrok w kierunku Pamfila. Powoli zarysowują się kontury. Kościół. Kamienica. Mur zburzony. To tu. Załomy sterczą od

pierwszego piętra. Przez wyrwę w miejscu, gdzie były drzwi, wypełza na ulicę stos gruzu, najeżony strzaskanymi belkami.

Jestem strasznie zmęczony. Kładę się znów na bruku, w tym samym miejscu.

23 sierpnia

Już od wczoraj wieczorem jestem wciąż na pozycji na getcie. Zajęliśmy stanowisko nagle, zaraz po odparciu niemieckiego natarcia o zmroku. Słyszeliśmy tylko gwałtowną strzelaninę i wybuchy granatów. Gdy dobiegliśmy naszym na pomoc, już było po wszystkim. Z naszych zginął jeden i był jeden ranny. Co stracili Niemcy, trudno ustalić, w każdym razie paru zabitych, no i zdobyliśmy karabin maszynowy drajzer.

Całą noc pozycje były wzmocnione wszystkimi ludźmi. Leżeliśmy w jednym dołku z „Rebem”, ale nic specjalnego nie nastąpiło. Rano „Rebe” poszedł, a ja wciąż leżę.

Szkopskie cekaemy są dziś złe jak wściekłe psy. Gdy tylko nieostrożnie spowodowałem obsunięcie się cegły na zewnątrz, zrobiła się zaraz kilkuminutowa rąbanina. Górne krawędzie mojej pozycji są już zupełnie skruszone w drobny pył. Bardzo często kule wpadają przez strzelnicę. Całe szczęście, że nie potrzebuję jej używać, bo do obserwacji zrobiłem dwa małe otwory poniżej, dobrze zamaskowane. Nasz erkaem, z którego po zaginięciu „Sławka” strzelał jakiś chłopak z pierwszego plutonu, dostał kulą w nasadę bębna, wobec czego odniesiono go do rusznikarza.

Sztukasy wciąż składają nam wizyty. Ich ostatni cel to domy po drugiej stronie Bonifraterskiej, nie dalej jak 120 metrów od nas. Aż za wyraźnie widać, jak bomby odrywają się od samolotów i zapadają w głąb budynków. Na wszystkie strony rozlatują się deski i kawałki muru. Sporo spada koło

naszych stanowisk. Przy jednym wybuchu widzę wylatujące w górę ciało ludzkie, ale może to tylko złudzenie.

Jestem strasznie zmęczony, niewyspany i głodny. Co chwila patrzę na zegarek, tak jakby obowiązywały u nas jakieś godziny zmian. Staram się nie myśleć o niczym i wpatruję się przez swój otwór w przedpole lub odwracam się i patrzę na ruiny przy placu Krasińskich i dalej w głąb Starówki, gdzie wciąż wznoszą się kłęby gęstego dymu.

Zachrzęściły buty na ścieżce w dole między gruzami. Zmiana idzie. Ktoś czołga się do mojego stanowiska. To „Bohun”. Wygląda strasznie mizernie i w niczym nie przypomina tamtego gwałtownego chłopaka sprzed paru tygodni, który pilił mnie wciąż o akcje. Twarz popielata z brudu, oczy zaczerwienione od niewyspania, brudny bandaż wystaje spod hełmu. Wyłażę tyłem, by zrobić mu miejsce do wejścia.

– Granaty tam gdzie przedtem. Zresztą nic się nie zmieniło. Uważaj tylko, bo walą dziś zdrowo!

– Dobra.

Złażę po rumowisku w dół. W Sądach na naszej kwaterze pusto, to znaczy – wszyscy śpią.

– „Baszkir”, gdzie masz tę konserwę, co miała być do szpitala? Teraz to ją chyba sami zjemy.

Bagnetem otwieramy puszkę, jedną z tych lepszych, których sporo było z początku, ale teraz zaczynają się kończyć.

Ktoś wsadził głowę przez okno.

– Dwóch ochotników do przeniesienia rannego z getta.

„Baszkir” zgłasza się, ja nie mogę, gdyż stan mojej ręki nie pozwala mi na noszenie ciężarów. Po chwili wychodzę zobaczyć z ciekawości, kogo znowu raniono. Przejściem od gruzów pałacu idzie „Baszkir” z drugim chłopakiem i niosą kogoś na noszach. Trudno poznać, kto to, bo całą twarz ma umazaną krwią. Z tyłu głowy wypełza na płótno noszy jakaś krwawo-biała masa. Nagle poznaję. Kosmyk kręconych blond włosów nie jest zmoczony krwią. To „Bohun”!

Wchodzę za noszami do sali opatrunkowej. Przychodzi nasz lekarz batalionowy. Ogląda ranę i kręci głową.

– Tak, kula przez szczękę, wyszła tyłem mózgu. Będzie żył jeszcze piętnaście minut.

Wyprostowuje się i odchodzi do innego rannego. Stoję obok noszy z „Baszkirem” i nie możemy przemówić ani słowa. „Baszkir” i „Bohun” byli dobrymi przyjaciółmi.

Ranny poruszył się i zaczyna jęczeć. Widać, że strasznie cierpi.

– Panie doktorze, może jednak da się coś zrobić – wybucham wreszcie – może opatrunek...

– Już wam mówiłem. Sprawa beznadziejna. Najdalej za pół godziny musi umrzeć, a opatrunków brak.

Zabiera się do swojej pracy. Siadamy z obu stron noszy. Ranny zaczyna jęczeć coraz bardziej, woła jakieś słowa bez związku. Parę razy wymienia mój pseudonim. Zaczyna krzyczeć i wyć z bólu. Nie mogę patrzeć w stronę głowy i tego, co wypływa z rany na nosze. Odwracam się. Krzyki rannego doprowadzają mnie prawie do nieprzytomności. W końcu zrywam się i wybiegam ze sali.

Za drzwiami robi mi się strasznie wstyd. Jak tak można opuścić kolegę. Jestem świnia. Za każdym razem jednak, gdy głośniejszy krzyk wydobywa się zza drzwi, coś odrzuca mnie z powrotem i nie mogę się przemóc, by wrócić.

Drzwi otwarły się, wybiega „Baszkir”. Rzucił mi tylko: „Jest nieprzytomny”. Zaczynamy obaj krążyć koło drzwi sali. Krzyki rozlegają się coraz głośniej. Nie mogę wytrzymać i uciekam z pobliża tych drzwi. W całym gmachu jednak, do najdalszej sali przez rozbite okna dolatuje mnie ten krzyk. Zbiegam do sutereny. W kącie, widzę, leży „Baszkir” z twarzą schowaną w stos mundurów i płacze. Uciekam na ulicę. Błądzę gdzieś bez celu, sam nie wiem gdzie, parę razy włażę w ostrzał. Wreszcie wracam do Sądów. Znalazłem „Baszkira”.

– Już po wszystkim.

Długa chwila ciszy. Wreszcie odzywa się „Baszkir”:

– To już nas tylko dwóch zostało z drużyny. Trzymajmy się, Zbyszek.

Tak, rzeczywiście. Uświadomiłem sobie, że nie ma już tej naszej jedenastki, w której tak dobrze się wszyscy znaliśmy. Przypuszczam, że obaj pomyśleliśmy sobie jednocześnie: który z nas następny? Ale nikt z nas tego nie powiedział.

24 sierpnia

Pustawo się zrobiło na naszych kwaterach. Gramofon nie ryczy, paru amatorów, rozweselających się chronicznie ze stojącej w kącie stulitrowej beczki z winem, wczoraj przetrącił moździerz w pałacu. Wszędzie leży pełno plecaków i części ekwipunku po rannych i zabitych. Właśnie dowiedziałem się, że w nocy został ranny na getcie „Mors”. W ten sposób zostało nas z dawnego plutonu czterech, bo „Tadek” odszedł na gońca do Komendy Głównej. Znikł podział na plutony i drużyny, pozostałością kompanii trzeciej dowodzi „Lot”. Kompania liczy teraz dwudziestu paru ludzi razem z resztą „motoryzacji” – szoferami.

Rano pogrzebano na podwórku Archiwum „Bohuna” i jeszcze jednego zabitego. Pociski waliły bez przerwy jak na złość w naszą okolicę i niemało namęczyliśmy się z „Baszkirem”, popędzając szkopów kopiących grób.

Właśnie wracaliśmy po schodach do siebie, gdy coś wyrżnęło z hukiem nad nami. W dymie i ciemności, jaka zwykle panuje w takim wypadku, uskoczyłem do małej niszy na klatce schodowej. Z wielkim łoskotem sypie się z góry gruz. Czuję, jak kawałki cegieł zasypują mi nogi, lecąc na szczęście już tylko siłą własnego ciężaru. Gdy rozjaśnia się znowu, mamy możność zaobserwować w ścianie nowe, wielkie na dwa piętra, okno. Sądząc po rozmiarach, wyrżnęło tu chyba 220-milimetrowe działo.

Około dziewiątej strzelanina na linii wzmaga się i jak zwykle w takim wypadku następuje natychmiastowy alarm. Wypadamy biegiem w stronę pałacu, po drodze dopinając pasy i szelki. Jestem w głupiej sytuacji, bo po

wystrzeleniu wczoraj na getcie i „pożyczeniu” jednemu gościowi czterdziestu „pestek” zostałem z dwoma magazynkami i garstką luzem. O dostaniu amunicji nie można było marzyć, a co dopiero teraz, gdy biegniemy do akcji.

Jednakże głupim szczęście sprzyja. Przebiegając przez spalone ruiny pałacu, dostrzegam w kącie dwu bliżej nieznanych mi gości pochylonych nad skrzynką, z której wypełzają błyszczące taśmy z nabojami do drajzera. Czasu nie ma dużo, więc bez gadania przykucam obok nich i jak oni wyłuskuję pestki z taśm. Za chwilę biegnę już za resztą kompanii z chlebakiem i kieszeniami dobrze wypchanymi.

Na gruzach za pałacem strzelanina, że można ogłuchnąć. Tuż nade mną stoi nasz elkaem i pruje bez przerwy.

– Gdzie trzecia kompania? – wołam do jakiegoś typa, usiłując przekrzyczeć hałas. Pokazuje mi ręką na budynek Sądów. Dobrze, że nie na getcie tym razem – myślę sobie i wpadam na schody. Dom jest niemożliwie porozbijany i wszędzie leżą kupy gruzu. Sytuacja jest jasna, tak że nie potrzebuję się nikogo pytać o zadanie. Włażę na drugie piętro i przełażąc przez strzaskane meble i kawały muru, znajduję sobie stanowisko z obstrzałem na getto.

Widok jest potężny i zarazem straszny. Przez ruiny getta rozwija się zupełnie prawidłowe natarcie piechoty niemieckiej. Biegną, padają, kryją się, znów skaczą, z ogólnym kierunkiem na szpital Jana Bożego, a więc bokiem do nas. Nad wszystkim wznosi się taki dym i kurz, że czasami przesłania widok.

Nie ma czasu do namysłu. Szarpnięcie zamka, pierwszy nabój wchodzi do komory, celownik. Jakiś szkop skoczył, widzę, gdzie się ukrył. Raz, raz, raz... „Ośle, nie za szybko, bo cię wymacają” – strofuję sam siebie, ale trudno się opanować, gdy coraz coś nowego, godnego kuli, włazi mi na widok. Ani się spostrzegam, gdy dwa magazynki już poszły i ładuję na nowo. „Wolno, spokojnie, wezmą cię za erkaem” – wciąż powtarzam sobie. Niedługo potrzebuję czekać. W górę otworu, skąd strzelam, bije seria kaemu, przypominając mi o konieczności zmiany miejsca.

Gdy czołgam się, dopiero teraz zauważam, że nie tylko my strzelamy. Z hukiem walą niemieckie kule po ścianach, świszczą wciąż rykoszety i sypie się tynk z sufitów. Po pociskach smugowych stoją w powietrzu cienkie pasemka mgły, które szybko się rozpływają.

Znajduję pierwszorzędne stanowisko w drugim rzędzie pokoi. Stąd przez wywaloną futrynę drzwi i otwór w zewnętrznej ścianie można pierwszorzędnie strzelać, będąc samemu mało widocznym. Układam się na przyciągniętym stole i rozpoczynam ogień. Niemcy zaczynają często skakać do przodu. Są już całkiem niedaleko szpitala, a także nas. Szpital i barykada obok, widziane stąd, wydają się wymarłe, czasem tylko można zaobserwować odprysk muru uderzonego kulą. Obrońców oczywiście nie widać, ale że są, można sądzić po tym, iż niemieckie natarcie jakoś stanęło. W niektórych miejscach można nawet widzieć skaczących do tyłu. Karabin mój oczyszczony należycie i z dobrą amunicją bije bez zarzutu. Celów nie brak, ale skuteczność strzałów trudno oczywiście zaobserwować.

Zmieniam stanowisko. Czuję dym palącego się drzewa. Po chwili rozumiem co to, gdy widzę niebieskawy dymek nie tylko z zamka karabinu, ale i unoszący się spod okładki. Rozgrzana lufa zaznacza już na czarno drewniane części broni. Przerywam na chwilę ogień i znów zmieniam stanowisko. Niemcy w pierwszej linii przylegli jakoś na chwilę. Za to w oddali koło domów na Muranowskiej widać spory ruch. Nastawiam celownik na 500 i rozpoczynam strzelanie wolne i staranne. Widać szkopów, jak wycofują rannych na noszach lub prowadząc. Również pełno jakichś jakby łączników oraz ludzi ze skrzynkami, pewnie amunicyjnymi.

Raz, raz, raz...

Psiakrew! Ale mnie wymacali! Seria kaemu bije tuż koło mnie. Rykoszety poszły w bok. Całe szczęście. Wracam na dawne stanowisko na stole.

Z daleka na getcie coś drgnęło. Widać obłoczek kurzu i coś porusza się. Odkładam karabin i sięgam po lornetkę. Nic nie widać, bo szkła brudne... Jest! Czołg! Pomiędzy stosami gruzu sunie jego wieża. Wyjeżdża na bardziej odkrytą przestrzeń. Widać go w całej okazałości. Ogarnia mnie jakieś uczucie nie tyle strachu, ile dziwnej emocji. Koło czołgu widać pieszych. Rzucam lornetkę i podnoszę karabin. Razem z kółkami sześciokrotnego powiększenia przeszło i wrażenie doznane na widok czołgu. Odnajduję mój cel. Musiałbym strzelać tam z celownikiem 600. Po co, widzę coś lepszego bliżej.

Raz, raz, raz... Nic się nie rusza.

Wracam do czołgu. Jest, przewala się ciężko po nierównościach gruntu. Co gorzej, nie jest sam. Za nim wyłania się drugi, trzeci. W przerwach pomiędzy strzałami słychać już warkot potężnych motorów. Jadą szeroką ulicą, gdzie niedawno załamało się nasze natarcie. Środkiem ulicy idą jak dawniej tory z wagonikami. Pierwszy czołg z rozmachem wjeżdża na stojący pociąg i staje. Tego się nie spodziewałem. Czołg cofa się, nabiera rozpędu, wpada znowu na wagoniki, wspina się w górę... i znowu nic. Blaszane wywrotki pospadały z szyn, wygięły się. Czołg staje prawie pionowo, ale łańcuchy łączące pociąg nie puszczają. Z wyciem motoru, dolatującym aż do nas, daje za wygraną i cofa się, by objechać dookoła, a pozostałe czołgi za nim. Muszę się przyznać, że zagapiony na niezwykłe widowisko zapomniałem o sytuacji. Czołgi osiągnęły już linię, gdzie jak wiem, leży ich piechota. Z dala nadjeżdża jeszcze jeden czołg. Wyjeżdżają przez gruzy jednym rzędem, frontem do szpitala. Są już całkiem blisko nas. Poznaję je, to wielkie „tygrysy”, zniekształcone trochę nałożeniem dodatkowych blach przeciwpancernych.

Stają. Z wolna obracają się ciężkie wieże. Zniżają się lufy dział. Robi mi się nieswojo i przepuszczam bezczelnemu szkopowi, który ukrył się za cielskiem najbliższego czołgu.

Przykry moment, gdy wylot działa był skierowany w moją stronę, przeszedł. Czołgi zaczynają bić w szpital, od którego są nie dalej niż 150 metrów. Raz po raz błyska ogień z luf, które skaczą po każdym strzale trochę do tyłu. Strzelające czołgi przesłonięte są przez obłoczki dymu, co utrudnia mi celowanie do dość odważnie poczynających sobie Niemców. Co prawda, ja też, przekonawszy się, że chwilowo nie do nas biją, nie żałuję amunicji.

Po każdym strzale czołgów widać, jak z budynku szpitala i z barykady sypie się gruz i odłamki desek. W kilku miejscach naraz bucha płomień i gęsty dym przesłania widok. W ogóle panuje taki dym i kurz, że trudno coś dojrzeć. Niemniej jednak walę do każdej zauważonej sylwetki.

Najbliższy czołg przerwał ogień. Poruszyły się wielkie gąsienice, jedzie bliżej w moim kierunku. Wstrzymuję oddech. „Tygrys” jest już tak blisko, że widzę wszystkie szczegóły blach oblepionych glinką, otaczających go dookoła. Stanął wreszcie tak blisko górki na getcie, gdzie było moje stanowisko, że można by z łatwością dorzucić najcięższym granatem.

Jednak na pozycji nie widać żadnego ruchu. Musi być opuszczona lub leżący tam nie ma granatów przeciwpancernych, lub jest zabity.

Czołg wykręca w miejscu i zaczyna ogień do szpitala. Coś rusza się w oddali. Widać jadące dwa nowe czołgi. Wydają się jakieś inne, mniejsze. „Goliaty”?! Chyba nie, bo na to są za duże. Jeden z nich nie może przeleźć przez gruzy getta, drugi odjechał dalej i ginie mi z oczu w gęstniejącym dymie.

Ktoś biegnie przez sąsiednią salę. Wyglądam. Jakiś chłopak wlecze po podłodze piata, biegnie łączniczka z tekturowymi rurami, w których są pociski.

– Tutaj, tutaj, stąd dobry ostrzał – drę się w ich stronę, usuwając się z własnego stanowiska.

Budynek zatrząsł się od huku.

– Walą do nas, prędzej, prędzej – pomagam usadowić się gościowi z piatem.

Nowe wybuchy. Wyjrzawszy na mgnienie oka, widzę czołg odpalający właśnie w naszą stronę. Pociski walą poniżej nas i na prawo. Czuć dym eksplozji. Kolega mierzy z piata, ale dostrzegam w tym momencie, że granat w lufie jest nieuzbrojony.

– Stój, stój! – spojrzał na mnie – zapomniałeś zapalnik!

Widzę, że jest podniecony, bo dopiero co przyszedł do akcji. Stanowczo odbieram mu piata i zakładam zapalnik. Przyciskam mocno ciężką broń do ramienia. Przede mną jak na dłoni czołg. Widać jego potężne blachy i dymiącą po strzale lufę. Nasuwam okienko przeziernika. Wolno, starannie. Czołg strzela. Nieco niżej nas. Mierzę w pancerz za wieżą. Już. Naciskam spust. Piat rzucił, pocisk leci, leci, jest tuż... przelatuje nad pancerzem i wybucha z tyłu.

– Psiakrew!

Teraz kolega wyrywa mi piata. Nie bronię. Sam zakładam nowy granat. Znowu dwa strzały. Chyba nas nie zauważyli. Nagle rozumiem: jesteśmy przecież na drugim piętrze!

– Mierz niżej, niżej, pod gąsienicę, jesteśmy w górze!

Wylot piata skłania się niżej. Zapominam o wszystkim, przylepiony do szpary w murze. Szczęknęła broń... Błysk białego światła miga z boku „tygrysa”.

Dostał! Czołg zasłania momentalnie dym. Błysk i huk tuż obok.

– Uciekajmy, będą walić!

Rzucamy się do wyjścia. Jeszcze jeden pocisk i jeszcze jeden. Wszystko wypełnia gęsty, biały dym. Po trzy stopnie walimy w dół po schodach.

Nagle biegnący przodem staje. W pasmach kłębiącego się dymu widać poszarpaną czeluść urwanych schodów. Z powrotem!

Pół piętra w górę, potem przez długość budynku po drugich schodach. Wreszcie jesteśmy na parterze, przy wiadukcie. Tu jest bezpiecznie. Przez długą chwilę łapię oddech. Wszystko trwało może parę minut, ale wydaje mi się, że to parę godzin. Na górze huk za hukiem i łomot spadającego gruzu. Parę razy usiłuję wrócić na górę, ale nie mogę się odważyć z powodu bliskich strzałów.

Jakoś ucichło. Opuszczam moje parterowe okno, z którego nic nie widać, i wracam na górę. Pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest „nasz” czołg i drugi stojący tuż koło niego. Z tyłu inny „tygrys” wycofuje się. Piechoty nie widać, w każdym razie w pobliżu. Przyglądam się trafionemu czołgowi. Jakoś nie widać wielkich uszkodzeń. Inna sprawa, że stoi teraz jakoś odwrócony.

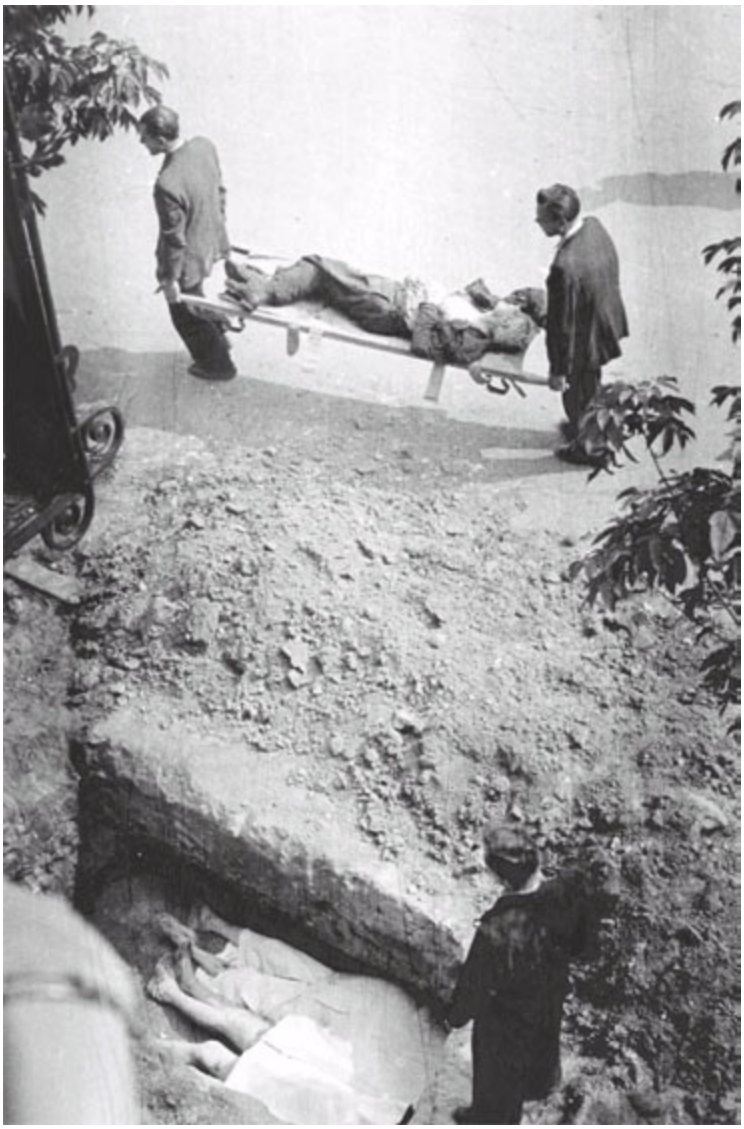

Składanie ciał w zbiorowej mogile przy ulicy Sienkiewicza róg Zgoda

Nagle... O zgrozo! Warczy całą mocą motor drugiego czołgu. Drgnęły oba. Jeden ciągnie drugi. Jadą. Już wyszły z zasięgu... już są na ulicy... już są całkiem daleko i znikają z widoku. Psiakrrrew!

Stare moje stanowisko przykrywa metrowy gruz, więc układam się gdzie indziej. Zaczynam zwykłe polowanie na rzadko ukazujących się szkopów. Ryknęła gdzieś blisko „szafa”. Przy jej wybuchach spostrzegam, jak kołyszące się ściany budynku rozstępują się gdzieniegdzie na parę centymetrów i zamykają się znowu. Nie mam świadomości, że jestem ukryty w budynku, tym bardziej gdy sobie pomyślę o wiadukcie pod nami.

Przy każdej eksplozji oczekuję, że ściany się rozlecą, ale nic takiego nie następuje.

Nadchodzi noc. Tu nie ma co pisać. Jak zwykle rakiety, jak zwykle palą się domy w pobliżu, jak zwykle suną nad gettem sznury kolorowych pocisków kaemów.

25 sierpnia

Dziś przyjemna niespodzianka: wrócił ze szpitala „Gryf”. Jakoś tak się składało, że od czasu gdy wszedłem powtórnie do akcji, nie mogłem się ani razu oddalić bardziej niż do Pamfila, tak że nawet nie wiedziałem, czy Romek żyje, czy też go zasypało gdzie pod gruzami. Mamy trochę czasu przed południem, który spędzamy w trójkę, czyli „całą drużyną”.

Idziemy odwiedzić Jacka. Sporo czasu zajmują poszukiwania pomiędzy zwalonymi domami na Długiej. Wreszcie znajdujemy norę zwącą się którymś tam oddziałem któregoś tam szpitala. Lokal składa się z paru piwnic pod zwalonym budynkiem. Ciemno tu zupełnie, palą się tylko jakieś ułomki świec. Prócz tego zaduch niesłychany z gnijących ran. Rannych za to pełno: leżą w niesłychanym ścisku jeden koło drugiego.

Znajdujemy Jacka na brudnym barłogu pośrodku piwnicy, pomiędzy jednym rannym, który strasznie jęczy i krzyczy bez przerwy, a drugim, który leży cicho i tylko cuchnie okropnie z wielkich wypalonych ran na całym ciele. Myśleliśmy, że to trup, ale podobno jeszcze żyje. Sam Jacek jest również w bardzo mizernym stanie. Postrzał w płuco nie chce się goić, tylko zaognił się i ranny ma dużą gorączkę. Z trudem nas poznaje, ale bardzo się ucieszył. Obiecujemy wpaść znowu, ale wiemy, że to prawie beznadziejne, bo nie wiadomo, kiedy będziemy mogli się znów oddalić z linii.

Wykop i barykada przegradzające Długą na wysokości wylotu ulicy Kilińskiego. Po lewej dawny pałac Raczyńskich (szpital powstańczy)

Wracając, zauważyłem w rozwalonej bramie ciekawe ogłoszenie cywilnego komendanta dzielnicy: wzywa się wszystkich dozorców domów do starannego przejrzenia dachów itp. i usunięcia leżących tam ewentualnie kawałków ciał dla uniknięcia zarazy. Ma to zdaje się związek z niedawnym wybuchem czołgu-pułapki na Kilińskiego. Ciekawe, co to pomoże, kiedy przed liniami leży wszędzie pełno trupów? – zastanawiamy się.

Wróciliśmy w samą porę, bo właśnie trzeba iść na linię. Znowu zanosi się na całą noc – rzadko kiedy można odpocząć w nocy. Czuję się strasznie zmęczony na całym ciele, choć przeważnie nie mamy uciążliwych

marszów ani innych wysiłków. Po prostu długie, minimum dwunastogodzinne wystawania na stanowiskach w stanie ciągłego napięcia bardzo wyczerpują.

Pozycje zajmujemy te same, to znaczy w narożniku Sądów z przedpolem na getto i Bonifraterską. Przez całą noc nic specjalnie ciekawego, wyjąwszy małą awanturkę z bardzo nachalnym szwabskim patrolem. Z lewa poszło parę granatów, u nas trochę strzelaniny do niezbyt wyraźnych celów i znowu jest cisza. Na placu palą się stosy znaczące zrzutowisko. Nic jednak dziś do nas nie przyleciało.

Łącznicy w oczekiwaniu na rozkazy grają w warcaby

26 sierpnia

Po powrocie z linii dziś rano mieliśmy zaledwie trzy godziny odpoczynku. Zbiórka – wymarsz. Idziemy na zagrożony odcinek, którym jest tym razem Pasaż Simonsa. Chłopaki są już trochę zmęczeni, ale gdy rozwijamy się w długiego węża, by przebrnąć gruzy po drodze, robi się bardzo szumnie i buńczucznie.

Sam Pasaż jest ogromnym siedmiopiętrowym budynkiem. Przez środek idzie dwupiętrowe przejście – właściwy pasaż – obecnie zamknięty solidną barykadą wzmocnioną 75 mm działem pepanc. Skierowują nas na pozycje na wyższych piętrach. Ogromne sale zamienione zostały przez Niemców na magazyny rzeczy ogromnie wartościowych. Na półkach od podłogi do sufitu spoczywają tony materiałów na ubrania, płótna, gotowych ubrań, koców itd. Barykady w oknach zrobione są z worków napełnionych cukrem w kostkach, jak się o tym szybko przekonuję. Trochę tego rozszabrowano oczywiście, ale to nic nie znaczy wobec ogromu składów. Korzystam ze sposobności, by zmienić sobie całą bieliznę na nową i czystą. Niektórzy wpychają rozmaite rzeczy do chlebaków, ale ja nie uważam, by warto było zabierać cokolwiek prócz cukru.

Pozycje nasze wychodzą na Nalewki. O kilkadziesiąt metrów od nas, w ruinach, siedzą Niemcy. Uważnie wypatrujemy, czy się któryś nie pokaże, ale oni nie tacy głupi. Parę razy wydaje mi się, że coś widzę, i strzelam. Oczywiście trudno coś powiedzieć o skutku. Niemieckie zamaskowane kaemy i strzelcy odpowiadają – słowem typowy pozycyjny

spokój. O mały włos byliby przyuważyli „Baszkira” przy sąsiednim oknie, ale na szczęście uprzejmy worek z cukrem wziął całą serię w siebie.

Jestem tu dowódcą małego odcinka i pięciu ludzi. Po południu przychodzi „Lot” i jeszcze paru „wodzów”. Pytają, czemu nie obrzucamy szkopów granatami. Łatwo to powiedzieć, ale w każdym razie można spróbować. Wyznaczam „Gryfa”, który miał rekord w mojej drużynie w rzucie granatem na odległość. Pierwszy rzucony mills pada o dobre 5 metrów za blisko. To nic, próbujemy drugi raz, tym razem niemieckim „tłuczkiem”, który jest dużo lżejszy. „Gryf” bierze wspaniały rozmach ze środka sali, wodzowie i ja obserwujemy. Zawleczka, zamach, granat leci ponad barykadą w oknie... trafia w poprzeczkę pozostałą z wywalonej ramy, odbija się i pada na stół.

Sssssss...

Wodzowie pierwsi prysnęli do drzwi, „Gryf” za szafę, a ja, gdzie miałem najbliżej, to jest padam pod stół. Na sąsiednim stole wciąż: sssssss... Coś za długo już. Zatykam uszy i kulę się, jak mogę.

Wreszcie huk i pełno białego dymu. Wyłażę spod stołu i obmacuję się. Nikomu nic się nie stało, tylko stół trochę nadłupany. Na razie starczy doświadczeń.

Pod wieczór część z nas usadawia się w tylnej izbie, by trochę się posilić. Właśnie najspokojniej zajmujemy się łowieniem truskawek w wielkim słoju konfitur za pomocą drutów do robót ręcznych, gdy wtem rozlega się na zewnątrz krótki świst. Odruchowo padamy na podłogę. W tym momencie potężny błysk za oknem i huk eksplozji. Sypie się tynk.

– Chodu, chłopaki – krzyknąłem, ale już i tak wszyscy jesteśmy w następnej sali.

Ledwo zamknęliśmy wielkie żelazne drzwi, gdy za naszymi plecami rozlega się nowy huk i łoskot spadających szaf i gruzu. O rany, co to było? – zdziwił się ktoś.

– Co by nie było, w samą porę żeśmy zwiali.

Chwilę przysłuchujemy się, jak czołg przestawia meble na piętrach ponad nami. Jedno tylko trudno zrozumieć: skąd on strzela? Jakim sposobem wali z boku, kiedy na przedpolu, które obserwujemy starannie, nic nie widać.

Wreszcie wszystko ucichło. Zaglądamy do bocznej sali: pełno gruzów od pocisku, który wybuchł wewnątrz. Pierwszy pocisk wylądował na

ścianie trochę poniżej okien. Ciekawe, że nie przebił muru, co mogłoby być nieprzyjemne.

Płonąca wieża kościoła Świętego Krzyża i komenda policji przy Krakowskim Przedmieściu

27 sierpnia

Noc. Cisza. Czuwamy przy strzelnicach, usiłując przy każdym błysku rakiety przebić oczyma cienie ścielące się wzdłuż ruin na przedpolu. Druga już doba spędzona na pozycji i walczyć trzeba z narastającym zmęczeniem i sennością. Rozmawiamy trochę szeptem od strzelnicy do strzelnicy i znów wytężamy słuch w ciemność. Niedługo będzie świtać.

W dole coś się poruszyło. Jakby jakieś kroki, rozmowa... Kieruję lufę automatu w tamtą stronę i czekam.

Nagle trzask stena. Na to hasło z kilku naraz stron rozlegają się jednocześnie strzały i serie broni maszynowej. Nie namyślając się wiele, walę parę strzałów w podejrzanym kierunku. Widać jakieś błyski i rozlega się dziki niemiecki wrzask. Orientuję się, że coś niedobrze: szkopy są tuż, tuż, na placyku.

– Chłopcy, granaty, szybko – wołam. Sam walę trochę na oślep w dół. Strzały i wybuchy w dole tworzą ogłuszający hałas.

– Wielkie granaty! – dodaję jeszcze, ale widzę, że i tak jest to zrozumiałe.

Walą się w dół kilowe filipinki, sam podaję „Baszkirowi” ogromną plastykówkę, bogato faszerowaną starymi gwoździami. Budynek zatrząsł się od huku potężnych eksplozji, szerokimi płomieniami tryskających w dole. „O rany! Co to?” – przebiegło mi przez myśl, ale w tej samej chwili zrozumiałem, że to nasze własne granaty. Skutek musi być doskonały, bo poprzez strzały dochodzą nas jęki i skowyty. Chór

niemieckich wrzasków przebija się przez hałas nieustannej rąbaniny, a szczególnie jeden głos wołający wciąż:

– *Hilfe! Hilfe! O mein Gott!*

– Boga teraz wołasz, s...synu! – rozlega się w ciemności z lewa.

Hałas przycicha i domyślam się, że Niemcy musieli się wycofać. Wołam, by przerwano bezużyteczną strzelaninę. Strzały milkną i również z dołu od czasu do czasu tylko pada seria. Za to od niemieckiej strony biją wszystkie kaemy odcinka. Bez przerwy również rozlegają się wołania o pomoc z przedpola. Widać Niemcy musieli dobrze oberwać.

Taka sytuacja trwa do samego rana. W szarzejącym brzasku poruszają się jakieś sylwetki. Z kilku miejsc naszego budynku padają strzały. Mierzę i ja, ale wtem rozróżniam głosy wołające po polsku. Z tyłu od klatki schodowej ktoś woła:

– Nie strzelać, nie strzelać! To nasi!

Powtarzam ten rozkaz i przylepiam się cały do mego otworu. Robi się coraz jaśniej i odróżnić możemy kobiety poruszające się to tu, to tam i ciągnące jakieś ciężkie przedmioty. Upiorne wrażenie robią ci cywile przesuwający się w ciszy po placyku pomiędzy gruzami w miejscu, na które z obu stron wymierzonych jest tyle luf. Kobiety są stare i młode, w odzieży brudnej i poszarpanej. Starają się nie patrzeć w naszą stronę. Widzę, jak przynoszą nosze i kładą na nie zabitego czy nieprzytomnego Niemca. Skądś rozlega się głos wołający po niemiecku, ale osoby wołającego nie widać. W pewnej chwili zza załomu muru ukazuje się głowa w hełmie. Starannie biorę ją na muszkę, ale nim zdążyłem nacisnąć spust, pada gdzieś z boku seria peemu i szkop znika.

Około dziewiątej przychodzi drugi pluton, by zluzować nas ze stanowisk. Gość, który zajmuje moje miejsce, jest uzbrojony w „czterdziestkę”. Ponieważ stąd nie można wiele zdziałać peemem, przeto postanawiamy na czas tej zmiany zamienić się bronią. Przypinam torbę z magazynkami i zbiegam w dół piwnicy. Po dłuższym szukaniu znajduję kawałek wolnego miejsca i układam się do snu.

Nie wiem, jak długo spałem, gdy budzi mnie potężny huk. Poprzez grube mury dochodzi tu warkot motorów lotniczych. W tej chwili zmienia się on w potężniejące ciągle wycie pikującej maszyny. Robi mi się nieprzyjemnie, bo słychać, że wprost na nas. Wycie przechodzi o ton wyżej – samolot wyrównuje, a jednocześnie rozlega się świst bomby. Parę sekund

ciszy i wszystko zakołysało się. Słychać, jak gdzieś w górze obsuwa się gruz. Trafili nas!

Wciskam się głębiej w swój kąt i usiłuję znów zasnąć. Oczywiście bez rezultatu, gdyż to jeszcze nie koniec. Po paru wybuchach następuje wreszcie spokój, ale za to rozlega się krzyk:

– Wszyscy na górę!

Wybiegam razem z innymi. Trudno coś rozpoznać w gęstym dymie i kurzu. Krztuszę się i zawiązuję sobie na ustach niebieską „apaszkę”, jaką każdy z nas nosi na szyi.

– Prędko tutaj! Tu są zasypani!

Kieruję się na ten głos i znajduję kupę gruzów, przy której pracuje gorączkowo kilku ludzi. Odrzucam pospiesznie cegły w miejscu, gdzie spod gruzu sterczy noga w bucie. Obok układają na noszach jakieś krwawe strzępki. Kopiemy, jak tylko możemy najszybciej, ale to trudna sprawa, bo gruz wciąż się usuwa. Po kilkunastu minutach wyciągam ciało. Jest to, niestety, już tylko zmasakrowany trup.

Dzięki mocnej konstrukcji siedmiopiętrowego gmachu nie zawalił on się całkowicie, a tylko został nieco wyszczerbiony. Trudno ustalić na razie, ile ludzi straciliśmy, bo większa część zaginionych leży pod gruzem.

Biegniemy na wyższe piętro opanować pożar, który tam wybuchł. Palą się dwie sale z materiałami. Gęsty, duszący dym utrudnia akcję. Udaje nam się zapobiec rozszerzeniu pożaru na dalsze sale. Stropy wsparte na żelaznych belkach wytrzymują ogień, który musi zgasnąć. Tu spotykam kolegę tego gościa, z którym zamieniłem się bronią. Dowiaduję się, że „Janek” – taki był jego pseudonim – zginął i że ciała nie znaleziono pod gruzem. A więc i mój karabin wsiąkł razem z nim. Zajmujemy stanowiska na parterze. Jakimś dziwnym sposobem ogień przeniósł się do części piwnic od frontu budynku, które palą się teraz. Dym i płomienie buchają przez okna, tak że nie można wytrzymać z przodu i musimy przenieść się do drugiego rzędu pomieszczeń. Tu stoję w drzwiach i przez szerokość frontowego lokalu, gdzie mieścił się sklep, mogę obserwować przedpole. Tu buchający żar już tak nie razi, a firanka dymu i płomieni przesłania nas przed obserwacją, pozwalając jednak samemu dobrze widzieć.

Pewne urozmaicenie przynosi podłoga pod stopami, która z ciepłej staje się stopniowo gorąca. Rozpalone kafelki zaczynają parzyć stopy, nawet

przez grube podeszwy wojskowych butów. Komicznie wyglądają w gęstniejącym dymie sylwetki przestępujące wciąż z nogi na nogę.

Ale nie mam czasu na zajmowanie się takimi sprawami, bo oto od strony nieprzyjaciela zaczyna się dziać coś ciekawego. Za ruchomą zasłoną dymu widać na prawo ode mnie ciągnącą się prostopadle opuszczoną barykadę. Jest to właściwie niewysoki wał kamieni. Tam poruszyło się coś. Jakaś zgięta sylwetka przebiegła i zapadła za gruzem. Podnoszę uważnie peem. Znów ktoś biegnie. Seria. I znów dwu tym razem. Dwie krótkie serie. Znowu jakiś szkop w przeciwną stronę. Cóż się tam dzieje? – myślę sobie i walę serię za serią w tamtym kierunku. Zmieniam próżny magazynek. Dobrze bije, bestia. Żar wzmaga się i dym coraz bardziej przesłania mi widok. Robi się niemożliwie gorąco. Stopy palą aż do bólu. Jestem cały mokry od potu, wypiłem resztę wody, a tu nie ma żadnej nadziei na więcej.

Wtem coś pluszcze za mną. Oglądam się i widzę w wielkim hallu, jak gdzieś z góry, widocznie z rozbitego zbiornika, spływa kaskada wody i rozlewa się po podłodze. Wspaniała okazja do zwilżenia rozgrzanego hełmu i wierzchniego munduru! Odstawiam na chwilę broń i obiema nogami wskakuję pod orzeźwiający prysznic. Znacznie szybciej jednak wyskakuję z powrotem. Pfu! Świństwo! To nie woda, lecz coś niemożliwie cuchnącego i żrącego. Prawdopodobnie amoniak lub inny taki specjał. W tym budynku wszystko jakieś dziwne: barykady z cukru, strzelnice z bel papieru, nawet zamiast wody płynie amoniak!

Wracam na swoje miejsce. Jest piekielnie gorąco, hełm parzy i najchętniej bym się wycofał o parę metrów do tyłu. Jednak obok majaczy sylwetka kolegi wciąż drepczącego na swoim miejscu, a ja nie mogę być pierwszym, który się cofa.

Staram się skupić uwagę na przedpolu. Na wprost mnie wznosi się zrujnowany jedno- czy dwupiętrowy budynek. Tam są Niemcy. Starannie przyglądam się oknom. Nagle... wprost nie chce się wierzyć oczom: w oknie pierwszego piętra prawie do połowy widoczna sylwetka Niemca. Odległość na peem spora – około 50 metrów, ale to nic. Podnoszę wyższy celownik i mierzę jak najstaranniej. Pociągam serię. Padł na twarz w moją stronę! Walę jeszcze jedną serię, ale w podnieceniu obawiam się, że poszła za nisko. Szkop znika, jednak co dostał swoje, to dostał. „Gryf”, który również go widział, jest tego samego zdania.

W naprawdę najgorszej chwili, gdy zaczyna mi się już kręcić w głowie z gorąca, zjawia się „Lot” i zabiera nas ze stanowiska na pierwszym piętrze. Pożar wyżej przygasa, po wypaleniu się wszystkiego palnego materiału w objętych nim dwu salach. Zapada mrok. Słychać gwałtowną strzelaninę w parku na prawo od nas. Nie wiem, co się tam rozrabia.

28 sierpnia

Wszyscy z „Parasola” na dół, do bramy!

Może to nareszcie powrót na odpoczynek? Uradowani taką miłą perspektywą zbiegamy szybko po schodach. Wielki pasaż przedstawia nieprzyjemny widok. Barykady częściowo rozwalone, jedna, zrobiona z bel papieru, pali się. Palą się również domy po drugiej stronie Długiej, tak że jest jasno jak w dzień. Gdzieś w pobliżu od strony ogrodu terkocą zawzięcie strzały. Co chwila razi ucho jęk lecącego przez bramę rykoszetu.

W jednym końcu, na wpół leżąc, zebrała się już część naszych ludzi. Gdy widzę ich podniecenie, moje nadzieje na odpoczynek wnet się rozwiewają. Jakoż dowiaduję się prawdy: za chwilę wyruszamy do kontrnatarcia. Gorączkowe sprawdzanie broni, uzupełnianie amunicji, ktoś rozdaje dodatkowe granaty. Serce bije mi mocno, gdy zakładam najlepszy magazynek do broni. „Lot” półgłosem wydaje instrukcje.

Sprawa jest bardzo prosta, aż za prosta, rzekłbym. Jednym skokiem mamy dopaść do obiektu znanego jako „biały domek”. Następnie salwa granatami przez okna i mamy go zająć. Nie wygląda to zbyt przyjemnie w jasnym oświetleniu płonących budynków. Pada niemiła komenda:

– Peemy naprzód!

Z kilkoma innymi wysuwam się naprzód. Czuję się nieswojo i cały wysiłek kładę w pokonanie ogarniającego mnie strachu. Oświetlona migocącym światłem, pusta i rozbrzmiewająca odgłosami bliskich strzałów przestrzeń nie wygląda zachęcająco. Upływa trochę czasu i przemagam

pierwszy odruch. Jestem teraz zdecydowany i tylko czekam na komendę: „Naprzód! Do szturmu!”. Nic podobnego nie następuje. Napięcie nerwowe się wzmaga. Każdy tylko powtarza sobie: kiedy wreszcie? Co ma być, niech będzie, byle szybciej.

Biegnie „Lot”. To już! Ściskam z całej siły rączkę peemu, gotując się do skoku.

– Rozładować broń! Natarcie odwołane.

To było niespodziewane. Wprost nie wiem, czy się cieszyć, czy smucić. W każdym razie idziemy „do domu” na odpoczynek, a to jest ważne!

Wyruszamy z powrotem długą kolumną, tylko że tym razem na końcu niosą cztery czy pięć par noszy. To nasi zabici, ci, których dało się odgrzebać. Po posiłku na kwaterach znowu rozlega się wołanie:

– Wszyscy z bronią wychodzić!

Tym razem nie idziemy jednak na akcję, lecz tylko na uroczysty pogrzeb kolegów. Byli to chłopcy wyjątkowo cenieni i lubiani, jak np. „Gąsior” z naszego plutonu.

Wychodzimy przez okno na podwórze Archiwum. Już dnieje. Obok innych grobów nowy dół, a w nim ciała poległych. Na piersi każdego kładą butelkę z dokumentami. Stajemy w dwuszeregu.

– Baczność! Prezentuj broń!

Łopaty zaczynają zsypywać ziemię i gruz. Ktoś, komu wydało się to mało uroczyste, wydaje nową komendę i z podniesionych w górę luf pada salwa honorowa. Niezbyt jednocześnie, ale zawsze... Rozchodzimy się.

Cały dzień śpimy doskonale, pomimo dość bliskiego bombardowania. Przed wieczorem wychodzimy na stanowiska w ruinach pałacu Krasińskich.

Przy sąsiednim oknie ma stanowisko cekaem. Jego obsługa jest z grupy tych sześćdziesięciu ludzi, którzy kanałami przedostali się do nas z Żoliborza. To są niezwykle mili ludzie, w większości z Wileńszczyzny. Dowodzi nimi pewien sierżant, z którym nawiązuję długą rozmowę, ciągnącą się przez całą noc. Opowiada mi o swoich walkach w partyzantce w Nowogródzkiem i o całej drodze stamtąd do Kampinosu, a później do nas. Ja ze swej strony mówię o konspiracji i dotychczasowym przebiegu powstania. Są to niezaprzeczenie bardzo odważni ludzie, lecz w obcym sobie terenie miasta czują się nieswojo. Nic dziwnego – przez poprzednich parę lat byli na wsi i w partyzantce po lasach, a to zupełnie inna historia.

Ta noc schodzi wyjątkowo szybko. Od Niemców prawie mamy spokój.

Budowa barykady na rogu ulic Jasnej i Zgoda; w tle widoczne kamienice przy ulicy Zgoda

29 sierpnia

Strzelanina dochodzi z niewielkiej odległości ze wszystkich stron. Teraz dopiero uświadamiam sobie, na jak wąską przestrzeń jesteśmy zepchnięci. I na naszym odcinku spodziewamy się lada chwila natarcia, które jednak na szczęście nie następuje. Niemcy wstrzelani są przeklęcie dokładnie na nasze stanowiska, waląc przez krzaki i od strony getta prawie bez chwili przerwy. Walki ogniowej nie możemy z nimi prowadzić z powodu niewielkiej ilości amunicji. Z magazynu nic już nie można dostać, bo nic nie ma, i każdy jest skazany na własne siły. Dziś w nocy wyczołgałem się parę metrów na przedpole do leżącego tam zabitego naszego chłopaka. Przyniosłem trzy magazynki do stena i trochę amunicji. Udało mi się je zamienić na magazynki do „czterdziestki”, tak że mam teraz dwie torby zapasowych magazynków. Liczę „pestki”. Mam około 240 sztuk. To musi mi wystarczyć do końca. Do jakiego końca – nie wiem i nie zastanawiam się. Takie pytanie jednak nasuwa się wszystkim, bo „Baszkir” właśnie się mnie pyta:

– Zbyszek, kiedy się to skończy?

Nic mądrzejszego, a raczej nic głupszego nie mogę mu odpowiedzieć nad:

– Wszystko się kiedyś musi skończyć.

Po południu możemy wrócić na kwaterę. Już i tu leży paru rannych. Oprócz tego dwu gości z „motoryzacji” pijanych „w drobną kaszkę”. To

straszne, żeby pić jeszcze teraz, ale oni uważają, że to właśnie dlatego trzeba pić. Robi się mała awantura, ale co to pomoże.

Posilamy się chlebem i konserwami, a przez ten czas słucham ostatnich wiadomości. Ktoś tam z kąta czyta rozkaz, a wszyscy słuchają, na wpół leżąc. Długa lista odznaczeń i awansów, w ogromnej większości pośmiertnych. Jest m.in. dla „Zoriana” (Zbigniew Romaniszyn). Paru kolegów, którzy teraz dowiedzieli się o odznaczeniach, przyjmuje gratulacje, ale mają bardzo kwaśne miny. Przyjęło się u nas za pewnik, że każdy, kto dostaje KW[13], musi niedługo potem dostać w „czapę”. Może to przypadek, ale prawie zawsze jest to regułą.

Odwiedza nas „Jeremi” i śpiewamy na to konto parę piosenek. Robi się zaraz weselej.

– Wstawać! Zbiórka!

Cóż znowu się stało? – myślę sobie, ale chcąc nie chcąc, wstaję i poprawiam oporządzenie. Broń i hełm pod głową, więc nie ma trudności z przebieraniem się do wyjścia.

Już ciemno. Robimy zbiórkę na górze w przedsionku. Cała trzecia kompania – obecnie 22 ludzi. Idziemy na wypad, tym razem na dość daleki odcinek do Ratusza, gdzie wdarli się Niemcy.

Ruszamy. Z trudem tylko można poznać teraz ulicę Długą. Domy z obu stron leżą na jezdni i idąc rodzajem ścieżki pośrodku, trzeba się nieraz wspinać na wysokość pierwszego piętra. Podobnie wygląda Hipoteczna. Jakiś stojący po drodze posterunek ostrzega nas, by iść możliwie cicho, gdyż Niemcy są tuż i na każdy hałas otwierają ogień. Trudno to jednak wykonać w nieznanym terenie i po ciemku, toteż co chwila ktoś wpada na kawał zerwanej z dachu blachy lub trąca nogą parę cegieł. Pośród ciszy nocnej robi się spory szmer. Na rezultaty nie potrzebujemy długo czekać. Gdzieś za nami lekki szum i huk pocisku z granatnika.

Dochodzimy do Daniłowiczowskiej. Na wprost nas błyskają wśród gruzów małe płomyki, jak gdyby palące się świece. To dopala się gmach więzienia. Czuć spaleniznę i trupy. Tylne mury Ratusza stoją puste i wypalone. Włazimy do środka. Ani żywego ducha. Idę na początku, jako że niby znam tę okolicę. Ale widzę, że od czasu gdy tu byłem, wszystko się gruntownie zmieniło. Stoimy jakiś czas wśród gruzów, wreszcie komuś udało się odnaleźć wejście do piwnicy. Wyłazi stamtąd jakichś paru typów, z których jeden jest tu dowódcą. Rozmawiają chwilę z „Lotem” i ruszamy

w określonym kierunku. Niemcy zajęli przednią część budynku i idziemy ich stamtąd wyrzucić.

Ja z „Baszkirem” dostajemy stanowiska przy oknach wychodzących na podwórze, skąd mamy zwalczać nieprzyjaciela w kierunku bramy naprzeciwko. Reszta naszych biegnie na prawo. W tej chwili słyszymy okrzyk „hurra!” i parę strzałów pistoletowych. W bramie po drugiej stronie błyskają strzały. Rozpoczynamy ogień w tamtym kierunku. Przy drugim magazynku peem zacina mi się dość poważnie z winy niemieckiej amunicji. Macam dookoła za kawałkiem drutu, którym mógłbym oczyścić zagwożdżoną lufę. Po dłuższej chwili udaje mi się z pomocą jakiegoś nieznanego gościa usunąć zacięcie.

W tej chwili wołają na nas. Biegniemy do przodu i z dala już widzimy jasne światło padające z drzwi jednego z pokojów. Wygląda to tak, jakby paliła się tam elektryczna żarówka, czyli zgoła niezwykle. Okazuje się, że to palą się drewniane ramy drzwi i inne palne materiały w pokoju. Na szczęście podłogi są kamienne i nie przeszkadzają w poruszaniu się. W następnym pokoju paru ludzi ciągnie wielkie żelazne szafy z kartotekami. Pomagamy im w zabarykadowaniu przejścia dalej. Jesteśmy na samym przodzie. Niemcy wycofali się. Na prawo pożar nie pozwala na poruszanie się. Huk strzałów i wybuchy granatów cichną dokoła, szczeka tylko niemiecki elkaem z pozycji na placu Teatralnym.

Po jakimś czasie spędzonym przy tej barykadzie „Lot” wyznacza mi nowe stanowisko na ubezpieczeniu przy wyjściu na podwórze. Stoję właściwie na samym podwórzu koło narożnika spalonej bramy. Tuż nade mną sterczy kikut rozwalonej wieży – wspomnienie z pierwszych dni powstania. Sytuacja jest niewyraźna. Tuż za rogiem, gdzie stoję, jest brama, przez którą wali bez przerwy szkopski elkaem. Po drugiej stronie bramy jest wśród gruzów ukryta grupka naszych, która tam doszła wzdłuż lewego brzegu podwórza. Są oni właściwie odcięci, gdyż tamta strona Ratusza jest kompletnie rozbita i przedostanie się tamtędy jest niemożliwe, zwłaszcza za dnia, pod ogniem Niemców od strony ruin pałacu Blanka.

---

13 Krzyż Walecznych.

30 sierpnia

Do świtu już niedaleko. Grupa z drugiej strony dostaje rozkaz wycofania się w kierunku na mnie. Koledzy zaczynają przebiegać. Przestrzeń niebezpieczna nie jest długa – około sześciu metrów, ale trzeba ją przebyć pod ogniem drajzera bijącego z jakichś 20 metrów.

Pierwsi żołnierze przebiegają nietknięci. Mrużę wprost oczy, gdy przy każdej sylwetce sunie z hukiem seria kaemu. Już pięciu minęło mnie, gdy biegnący właśnie wydaje okrzyk bólu. Zataczając się przybiega do mnie. Podtrzymuję go i prowadzę w stronę okna do budynku. Chlusnęło na mnie coś ciepłego. Czuję krew.

– Co ci jest, kolego? – pytam.

Żadnej odpowiedzi, tylko z gardła rannego dobywa się jakiś charkot. Włażę pierwszy przez okno wysokiego parteru i wciągam go za sobą. Zatoczył się, oparł się na mnie i pada na podłogę. Wydaje wciąż takie chrypienie, że aż mi mrówki przechodzą po grzbiecie. Nic mu nie mogę pomóc w tej ciemności, więc tylko wołam:

– Sanitariuszka, szybko tutaj! Ranny!

Leżący umilkł. Nadbiega sanitariuszka. Pokazuję jej rannego, a sam w pośpiechu wracam na dawne stanowisko. Przełażąc przez okno, wołam za siebie:

– No, co mu jest?

– Zabity. Dostał w krtań.

Przebiegło jeszcze dwu. Z drugiej strony wołają, że został tam ranny. Podaję dalej do tyłu. Za chwilę przybiega sanitariuszka „Waligóra”. Pseudonim ma bardzo słuszny, bo jest wyższa ode mnie i wyjątkowo mocna. Pokazuję jej, jak ma skakać na drugą stronę. Przechodzi prawie wyprostowana. Może to właśnie dobrze, bo świetlna seria wali tuż przed nią.

Naprzeciw z otworu drzwi wytacza się jakaś postać. Jest zgięta pod wielkim ciężarem, jaki dźwiga na plecach. Domyślam się, że to ranny, ale kto ośmieli się przebiec z nim pod tym ogniem? Postać zbliża się, jest już po drugiej stronie. Skacze. Właściwie trudno tak nazwać wolne poruszanie się człowieka obciążonego takim ładunkiem. Widzę, jak kule biją w bruk, krzesząc snopy iskier. Druga seria. Trzecia bije w róg, za którym jestem schowany, już gdy oboje są przy mnie. Poznaję „Waligórę”. Pomagam jej wciągnąć rannego przez okno. Wracam na stanowisko. Przebiega szczęśliwie jeszcze jeden człowiek i to już wszyscy z tamtej strony.

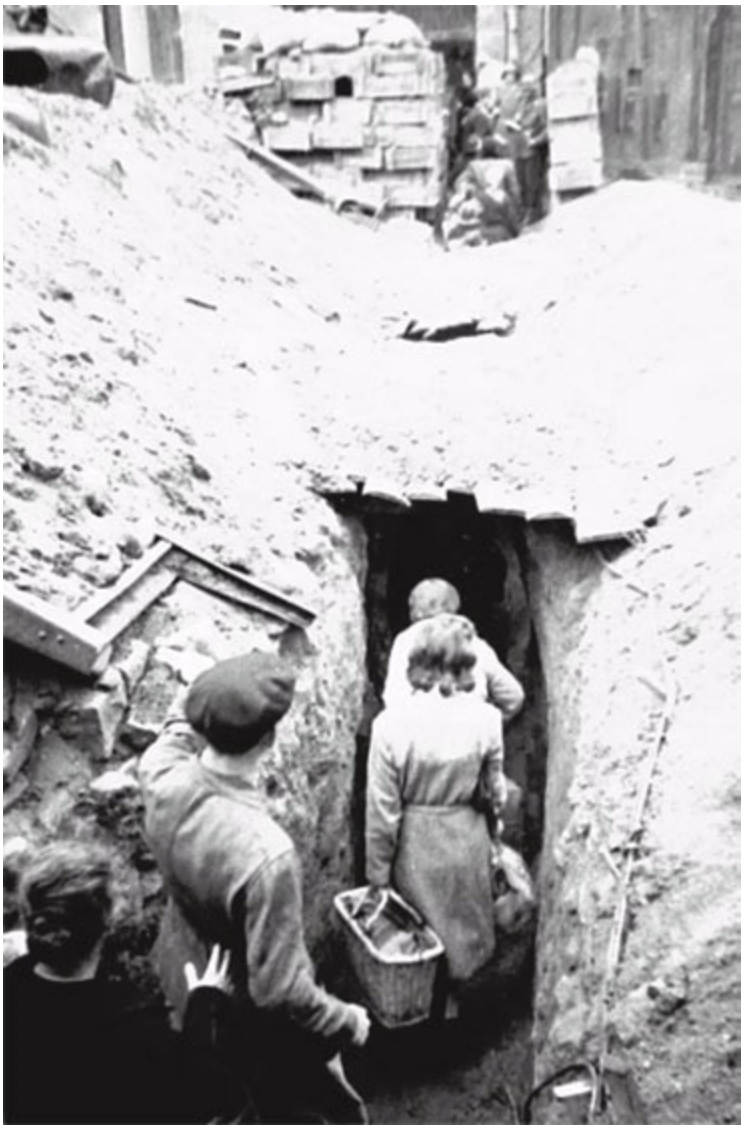

Wejście do tunelu pod ulicą Czerniakowską

Robi się jasno. Niemcy widać zauważyli, jak przedstawia się sytuacja, bo na podwórze pada parę granatów ręcznych. To zmusza mnie do wycofania się poza osłonę okna. Tu, na tej mało ciekawej, bo bocznej pozycji spędzam większą część dnia. Rozglądam się dookoła i z trudem mogę przypomnieć sobie dawne kąty. Pierwsze piętro nad nami jest wypalone, ale strop trzyma się jeszcze. Pożar ominął pokój, gdzie się znajduję, głównie z powodu, że jest tu mało do palenia. Jednakże podłoga tli się powolutku, pomimo zadeptywania żaru. Gdy się o tym zapomni, ogień podsuwa się bliżej i parzeniem w pięty daje znać o sobie.

W pewnej chwili zauważam, że w oknie pierwszego piętra, w tyle podwórza, coś się poruszyło. Trysnął mały dymek i huknęła seria strzałów. To nasi! Ale jak tam wleźli? W sąsiednim oknie pokazuje się głowa w hełmie, w której poznaję kpr. „Kiera” z „mot”. Widać, że cel ma wyraźny, bo bije raz za razem z „czterdziestki”. Domyślam się, że „złapali” Niemców przy elkaemie w bramie. Chwila pierwszego zaskoczenia jednak mija i elkaem odzywa się w odpowiedzi. Widzę kłąb dymu w miejscu, gdzie jego pociski biją w mur. Nasi zniknęli, ale tylko by zaraz pojawić się w innym oknie. Ku mojemu zdziwieniu strzały niemieckie milkną. A więc musieli dobrze oberwać!

Przez cały dzień na moim stanowisku raz tylko mam okazję do strzału. Około wieczora wracamy do siebie. Pomimo nieprzespanej doby nastrój jest bardzo dobry. Może to dlatego, że podczas całej akcji straciliśmy tylko jednego zabitego i jednego rannego.

Kompania nasza idzie jednym szeregiem i robi dobre wrażenie na nielicznych zastrachanych twarzach cywilów, wyglądających tu i tam zza muru. Przodem idzie „Lot”, podpierając się wielkim, czarnym parasolem. To niby nasze godło. Dalej wielki „Długi” z drajzerem na ramieniu, a za nim mały „Sambo” obwieszony taśmami z błyszczącymi nabojami. I tak dalej reszta ferajny. Ktoś zaintonował *Parasola* i piosenka niespodzianie chwyciła.

Na Długiej mija nas paru wyższych oficerów, m.in. płk „Radosław”. Zatrzymali się i podziwiają naszą bandę. Któryś rzucił:

– Czołem, chłopcy!

Siedzę pod ścianą w naszej kwaterze i czyszczę broń. Dookoła koledzy odpoczywają po powrocie z Ratusza. Toczą się rozmowy na aktualne tematy: Niemcy w katedrze... oddano Fiata... zbombardowali dziś „Jacka”... itd. W kącie wynikła różnica zdań na temat, jak długo możemy się jeszcze trzymać. Jedni twierdzą, że tydzień, drudzy, że najwyżej dwa dni.

Mało mnie to wszystko wzrusza. Cóż to ma za znaczenie w porównaniu z sennością i ogromnym zmęczeniem, które siedzi w każdym kawałku ciała. Nic nie chce się robić, o niczym myśleć, nic mnie nie obchodzi wszystko, co się dzieje dokoła. Ach, żeby tak się położyć i spać!

Broń i magazynki oczyszczone, można pomyśleć o sobie. Upatrzyłem wygodne miejsce na wielkiej szafie z aktami, tuż pod sufitem. Tam nikt nie

będzie przeszkadzał. Wciskam się w wolną przestrzeń pełną kurzu. O parę centymetrów od twarzy pułap robi niemiłe wrażenie. Gdzieś w pobliżu upadł pocisk i mury zakołysały się, jakby zaraz miały się zawrzeć nade mną.

– Zbyszek, wstawaj, zbiórka. – Ktoś ciągnie mnie za nogę.

– Daj spokój, dopiero co wróciliśmy! – mruczę niechętnie, ale muszę się obudzić.

– Co się stało, „Baszkir”? – pytam się, złażąc z góry i widząc opustoszałą kwaterę.

– Wielka akcja. Przebijamy się!

W hallu dwuszereg ciemnych postaci z bronią: trzecia kompania. Dołączam się. Wytrzeźwiałem momentalnie z senności. Koledzy milczą, również widać przejęci ważnością chwili. W ciszę padają słowa „Lota”:

– ...kierunek natarcia... dojście... porozumiewać się szeptem... sygnały latarkami...

Zabieramy z sobą wszystek sprzęt i amunicję. Tej ostatniej dostaję tylko kilkadziesiąt sztuk, ale za to mam teraz czternaście granatów, które nieźle mi ciążą. Noc jest bardzo ciemna i żeby nie pogubić się przy dojściu na podstawę wyjściową, mamy iść wszyscy trzymając się długiego sznura.

Wychodzimy. Przez gruzy Długiej włazimy do piwnic po drugiej stronie ulicy. Jest tu pełno cywilów, na drodze leżą jakieś graty i tylko z wielkim trudem można się przecisnąć przez tę ciżbę. Kręcimy w podziemnych przejściach na wszystkie strony, raz w górę, raz w dół, wszystko w kompletnej ciemności, gdyż tylko gdzieniegdzie w niszy tli się jakieś światełko. Potykam się i obijam o ściany, trzymając się tylko kurczowo sznura, który sunie stale naprzód. Stajemy i znów ruszamy. Wreszcie dochodzimy na miejsce.

Nie idziemy już dalej, więc chłopcy powoli zaczynają siadać. Ktoś zapalił kawałek świecy. W jej świetle widzę długi piwniczny korytarz i kolegów siedzących rzędem pod ścianą. Kilka metrów do tyłu jest wejście do piwnicy pełnej ludzi. Niedaleko do przodu widok się kończy na załamaniu korytarza. Po powiewach świeżego powietrza idącego stamtąd wnioskuję, że musi tam być wyjście na świat. Przez sklepienie nad nami dochodzi wciąż odgłos strzałów. Przytłumione grubością murów, odbijają się echem w podziemiu serie karabinów maszynowych. Jesteśmy właśnie pod linią.

Czekanie jest niemiłe, ale każdy chętnie korzysta z chwili odpoczynku. Ktoś kraje chleb, ja otwieram puszkę doskonałego niemieckiego pasztetu. Dużo gorzej jest z wodą. Cywile w pobliżu nie mają ani kropli, my zaś nie mieliśmy możliwości zaopatrzyć się. W myśl zasady „po co oszczędzać, gdy za chwilę można dostać w czapę” wypijamy z „Baszkirem” resztę wina z mojej manierki. Pragnienie pozostaje.

Lektura prasy powstańczej w piwnicy

31 sierpnia

Czas wlecze się nieznośnie, mija godzina za godziną bez żadnej zmiany. Podniecenie minęło i zapadam w niespokojny sen.

Spoglądam na zegarek: 2.30. Chyba nic z tego, pewnie odwołali, bo to przecież niedługo zacznie świtać. Gdy dzielę się tą uwagą z kolegą, koło nas przeciska się łącznik do przodu, gdzie jest dowódca. Zaraz też słyszymy podawany z ust do ust rozkaz: „Przygotować się! Pobudzić wszystkich!”. Serce bije mi mocno. Zakładam magazynek do broni. W napięciu mijają minuty. Co chwila przechodzą wzdłuż linii rozkazy i pouczenia. Nasza kompania naciera w drugim rzucie. Kompania druga, która uderzy najpierw, właśnie przeciska się koło nas. Przeszli.

Odgłosy ognia nad nami wzmagają się. Z przodu dochodzą okrzyki i komendy: „Naprzód!”. Ruch, bieganina, dochodzi do nas okrzyk: „Hurra!”. Zaczęło się. Zbieram się w sobie i ściskam mocniej hełm i pas. Za chwilę nasza kolej.

Tymczasem jednak wloką coś do tyłu. I znowu ktoś gramoli się, jęcząc przeraźliwie. Otarł się o mnie i na twarz kapnęło mi coś ciepłego. Brrr. Pułap nad nami jęczy od wybuchów: granaty ręczne. Znowu przebiegło koło nas paru ludzi. Strzelanina w górze wzmaga się. Tu w podziemiu słychać to jak jeden nieustający głuchy grzmot.

Nasza kolej nadchodzi.

– Trzecia kompania naprzód!

Ruszamy początkowo powoli. Tam na przedzie jest wąskie wyjście i tylko pojedynczo można wydobywać się na zewnątrz. Zupełna ciemność. Idę schylony, trzymając się pasa kolegi przede mną. Coraz szybciej, szybciej, potykam się o jakieś stopnie, owionęło mnie świeże powietrze. Z boku stoją jacyś ludzie i każdego przechodzącego popychają w dobrym kierunku. Inaczej nigdy bym stąd nie wylazł. Przez jakiś wyłom daję się wyciągnąć na zewnątrz. Huk jest spory i nic nie widać. Ktoś jeszcze wskazuje mi kierunek i krzyczy: „Naprzód!”.

Ze wszystkich stron błyskają wybuchy i lecą żółte smugi pocisków świetlnych. Trudno się zorientować w sytuacji. Przebiegam parę kroków, potykam się i padam. Przyciąłem sobie boleśnie prawą rękę pomiędzy trzymanym w niej peemem a jakąś cegłą. Ktoś woła z prawej strony:

– Strzelaj, strzelaj śmiało!

Poznaję głos „Zabawy”.

– Gdzie? Do czego?

– Tam... za podwórzem... w oknach... Niemcy!

Zaczynam coś widzieć. Znajdujemy się w gruzach spalonego domu. Przede mną wyrwa byłego okna, a za nią widać kontury jakichś murów. Coś tam błysnęło. To pewnie o to chodzi, domyślam się. Walę tam parę krótkich serii. Widzę, jak moje kule małymi iskierkami znaczą miejsce uderzenia o mur. O żadnym celowaniu nie ma mowy.

– Szybciej, szybciej! Czy nie masz amunicji?

Zmieniam magazynek i walę szerokimi seriami.

Może to kogo trafi. Słychać, jak przed nami padają granaty ręczne. Widać niebieskie błyski o parę metrów przed nami. Za daleko. Następne padają całkiem blisko. Wtulam się w swoje wgłębienie i rozryw nie robi mi żadnej szkody. Ktoś woła z boku:

– Tędy, tędy, naprzód!

Znowu biegnę, potykając się o gruzy. Jasne ściegi pocisków prują powietrze tuż obok. Ma się wrażenie, że nie można się poruszyć, by nie zostać zaraz trafionym. Gdzieś zza muru wylatuje parę niemieckich granatów jajowych. Widać ich lot po sypiących się z każdego iskierkach. Jeden pada mi wprost pod nogi. Przeskakuję go z rozpędu, ale w tym samym momencie granat wybucha, przewracając mnie na twarz. „To nie takie groźne” – myślę sobie, gdyż nie czuję żadnego bólu.

Nikt już nie krzyczy „hurra”, za to dokoła pełno jęków i wołań o pomoc. Pada parę strzałów prosto nam w twarz. Przed nami coś się porusza, widzę jakieś sylwetki. Niemcy. Mój peem tłucze jak zwariowany, z biodra. Złożyłem znowu kolbę, bo tak jest dużo wygodniej. Dopadam tam. Nikogo nie ma, tylko jakiś trup zagradza przejście dalej. Ktoś zwołuje paru chłopaków z granatami i idą gdzieś jakimś bocznym przejściem. Nie mogę iść z nimi, więc tylko wciskam komuś parę granatów z mojego chlebaka.

Na lewo jakieś inne podwórze, a jedyne wyjście na prawo prowadzi na korytarzyk, wzdłuż którego wali z niewielkiej odległości niemiecki kaem. Dwóch czy trzech chłopaków wpada tam, ale jednemu z nich pomagam wyleźć z powrotem, bo zaraz oberwał. Ukryty za rogiem muru strzelam w kierunku Niemców. Usiłuję zorientować się w sytuacji. Dom, w którym jesteśmy, jest mniej wypalony, w każdym razie część sufitu nad parterem trzyma się jeszcze. Tam poszli nasi chłopcy z granatami. Korytarzyk, przy którym jestem, ma o parę metrów dalej, po przeciwnej stronie, drzwi, w których można się schronić przed pociskami.

Ktoś ciągnie mnie za ramię. To „Jeremi”. Poznaję go po białym bandażu na szyi. Pyta się o przejście dalej, ale nim zdążyłem mu należycie objaśnić, bez słowa włazi do niebezpiecznego korytarzyka. Pada seria strzałów. Na szczęście chybili tym razem. „Jeremi” idzie dalej. Wołam za nim:

– Na prawo, na prawo, w tamtą dziurę!

Wreszcie zniknął mi z oczu. Odetchnąłem. Przybiega paru chłopaków i razem przeskakujemy dalej. Ku naszemu zdziwieniu Niemcy za korytarzykiem milczą. Wycofali się. Posuwamy się dalej ruinami spalonego domu. Nową przeszkodą jest dość szeroka brama, przez którą bije szkopski kaem. Pierwszy, który tam wszedł, zostaje zabity. Zatrzymujemy się w wąskim przejściu i przez otwory w murze zaczynamy ostrzeliwać szkopów, którzy są w garażu naprzeciw. Mamy raczej niekorzystną pozycję, gdyż pożar szalejący gdzieś na lewo oświetla naszą stronę, pozostawiając nieprzyjaciela w cieniu.

Strzelam wyłącznie na błyski z luf. Trochę lepiej widać, gdy któryś z naszych zaczyna strzelać zapalającymi pociskami, które palą się przez parę sekund na drzwiach i ścianach oficyny, gdzie są Niemcy. Zaczynają nas obrzucać granatami ręcznymi. Są to niemieckie „jajka” o dosyć słabej sile wybuchu. Słychać syczenie lontów i uderzenia granatów w mur, za którym jesteśmy schowani. Parę wpada przez otwory, ale chociaż

wybuchają o dwa, trzy metry, nie robią na mnie większego wrażenia niż snop rozpryskujących się kolorowych iskierek. Przyzwyczaiłem się już do huku.

Natężenie ognia wzrasta, bo Niemcy zdradzają ochotę przyjścia do nas. Parę razy zauważam ich na podwórku. Lufa peemu parzy od strzałów. Granaty padają coraz gęściej i celniej. Ledwo ma się możność, przy jednoczesnym strzelaniu, zauważyć toczący się granat i uskoczyć trochę w bok. Sam się dziwię, jakim sposobem nie jestem jeszcze ranny. Z kolegów, którzy tu byli, większość już oberwała i wycofała się. Nie widzę w pobliżu więcej niż dwu ludzi.

Powietrzem wstrząsają wybuchy, potężniejsze od zwykłych granatów. Ktoś woła: „Moździerze!”, ale mogą to być równie dobrze wiązki granatów lub ręczne miny. Uskakując za róg ściany, widzę, że jest tu ktoś siedzący, skulony pod murem. To jedna z łączniczek, która przyniosła nam parę granatów. Widząc, jak mozolę się w ciemności z ładowaniem magazynka, ofiarowuje mi swą pomoc. Podaję jej wszystkie puste magazynki i chlebak z amunicją. Za chwilę mam je wszystkie naładowane.

Dziki taniec z granatami trwa bez przerwy. Nie można na to nic poradzić, bo rzucający je Niemcy są ukryci za ścianą. W pewnej chwili słyszę upadający za mną granat. Nie mając czasu na uskoczenie, wtulam się tylko głębiej pomiędzy gruz na swoim stanowisku. W tym samym momencie widzę, jak coś podskakuje w moją stronę po cegłach, sycząc i sypiąc małe iskierki. Drugi granat! Jest nie dalej jak pół metra od mojego hełmu. Zaciskam zęby i zatykam uszy. Huk i nagła cisza. Czuję jeszcze, jak jakiś miękki ciężar zwala się w tej samej chwili na mnie.

Przez chwilę nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję, jak ktoś, jęcząc, gramoli się na mnie. Ktoś targa mnie i pyta, czy nie jestem ranny. To uświadamia mi sytuację. Czy jestem ranny? Nie czuję żadnego bólu, tylko w głowie szumi i nie mogę zebrać myśli.

– Nie, nic mi nie jest. Dajcie mi na chwilę spokój, zaraz dojdę do siebie.

– To chodź tu za róg do łazienki. Tam jest bezpiecznie.

Wyczołguję się we wskazanym kierunku. W małym rozwalonym pokoiku pełno ciał leżących na podłodze. Siadam w jakimś wolnym kącie i podpieram się peemem. Nic nie czuję i nic mnie nie obchodzi. Ktoś mówi mi, że ktoś tam został ciężko ranny na mnie. Tak? To źle... Patrzę tępo przed siebie. W zupełnej ciemności poruszają się jakieś dwie sanitariuszki.

Czemu takie iskierki lecą z rozdzieranych opatrunków? – przebiega mi jeszcze przez myśl i znów zapadam w odrętwienie.

Błysk i piekielny huk. Zapachniał proch. Nic nie słyszę i czuję ból z lewej strony głowy. Co się stało? Od razu dochodzę do przytomności i uświadamiam sobie, gdzie jestem. Jak z wielkiej odległości dochodzi do mnie głos wołający: „Co się stało? Czy ktoś strzelał?”. W tej chwili coś zrozumiałem. Macam ręką peem. Zamek spuszczony. Znajduję też przyczynę, dla której strzelił tylko raz: zaciętą w wylocie łuskę. Gdy znalazłem też małą szczerbę w brzeżku hełmu, robi mi się niedobrze: trzy centymetry w bok, a miałbym kulę w mózgu. Klnę siebie za niezabezpieczenie broni, ale byłem przecież prawie nieprzytomny, gdy siadałem tam pod ścianą, oparty na peemie. Czuję ostry ból w lewym uchu i nic a nic nie słyszę.

Wracam do przejścia, gdzie walka wciąż trwa. Właśnie przed chwilą „Góral”, przeskakując przez otwartą przestrzeń w stronę bramy, oberwał kulą w rękę. Siedzi teraz po drugiej stronie wyrwy, a koledzy wołają do niego, by przeskoczył z powrotem. Przestrzeń nie jest duża, ale gdy przebiega, miga znowu seria świetlnych pocisków kaemu i nieszczęśliwy pada. Niemcy widzą leżącego i biją do niego bez przerwy. Musimy na to patrzeć bezsilnie z odległości jakichś czterech metrów, gdyż ogień nie pozwala na zbliżenie się. Zresztą leżącemu koledze i tak nic już nie pomoże. Po tylu seriach Niemcy wiedzą przecie, że mają już tylko trupa, ale pomimo to nie przestają strzelać zapalającymi pociskami. Na leżącym zaczyna się palić mundur. Nie mogę patrzeć na to świadome znęcanie się nad zabitym i zajmuję się ostrzeliwaniem stanowiska niemieckiego kaemu. Jestem teraz oszczędny, bo amunicja zaczyna się wyczerpywać.

Zaczyna się robić jasno. Co jest z natarciem? Czemu nie idziemy dalej? Sądząc po liczbie pozostałych kolegów, musieliśmy ponieść ciężkie straty, ale co jest z innymi? Odpowiedź nadchodzi wkrótce w postaci podawanego od ust do ust rozkazu: „Natarcie na innych odcinkach załamało się również. Utrzymać zajęte pozycje”.

Zajmujemy bardziej planowe stanowiska. Przy dziennym świetle upiorny w nocy korytarzyk wygląda całkiem inaczej. Nie padają tu już nadlatujące nie wiadomo skąd granaty. Pomagam wleźć na górę celowniczemu z elkaemem. Sam ciągnę pudełko z amunicją, bo obsługa została bardzo przetrzebiona tej nocy. Z wysokości pierwszego piętra nie

widać wiele więcej niż na dole, ale w tym momencie woła nas ktoś siedzący wyżej na zrębie muru. Podobno widać stamtąd Niemców. Celowniczy wyłazi tam pierwszy po prawie pionowej krawędzi. Podaję mu drajzera i zaczynam sam się wspinać po wystających cegłach i jakiejś rurze wodociągowej. Wyglądam ostrożnie na zewnątrz. Po drugiej stronie podwórza widać w gruzach stanowisko niemieckie. Dwu szkopów leży przy elkaemie, trzeci jeszcze jest trochę z boku. Tyle zobaczyłem jednym rzutem oka i zaraz się chowam. Ostrożnie podnosimy do pozycji naszą maszynkę. Serce bije mi wciąż mocno, żeby nie zobaczyli nas przedwcześnie. Wszystko gotowe. Trzask strzałów. Wyglądam. Smuga pocisków wali prosto na Niemców. Równo warczą długie serie. Niemcy zwijają się jak w ukropie, dwu pozostaje nieruchomo na miejscu. Żałuję, że nie mogę użyć mojej „czterdziestki”, gdyż muszę się trzymać. Ale już zauważono nas. Coś wali po murze. Wśród odprysków rozbijanych cegieł spadam raczej, niż złażę na dół.

Wyznaczono mnie na stanowisko od strony ulicy Długiej. Są tu gorące jeszcze gruzy spalonego domu. Wysoko sterczą nagie ściany z otworami po oknach. Przy jednym z nich, gdzie pewnie było kiedyś wejście do sklepu, klęczę ze swoim peemem. Ostrożnie wyglądam na ulicę. Nic się nie dzieje. Czuję się bardzo nieszczególnie. W głowie mi szumi nieznośnie, w uszkodzonym uchu coś stuka, przygnieciony, a nieopatrzony i brudny palec spuchł do niezwykłych rozmiarów. Najgorsze jednak ze wszystkiego jest pragnienie, które daje się potężnie we znaki i przygłusza wszelkie inne uczucia.

Z wielką radością przyjmuję wołanie dochodzące mnie z tyłu. Może będzie coś do picia? Zostawiam „Baszkira” samego i wyczołguję się za tylną ścianę. Jakoż widzę, że przedsiębiorczy koledzy przebili dziurę do piwnicy spalonego domu i właśnie wyciągają stamtąd butelki z wodą mineralną Vichy. Ogień nie doszedł do piwnicy, lecz zdążył porządnie ogrzać wszystko, co się tam znajdowało. Obtłukuję jak inni szyjkę butelki o najbliższą cegłę i próbuję zawartości. Wstrętny, gorzki płyn, do tego ciepły, w niczym nie przypomina wody. Ktoś radzi stary, gęsty od cukru sok malinowy, którego jest również pod dostatkiem. Ulewam trzecią część butelki i dopełniam tym sokiem. Teraz można to z trudem pić. Takiego świństwa co prawda, jak długo żyję, nie piłem. W pobliżu ktoś, kto

nieopatrznie zbyt pofolgował swemu pragnieniu, oddaje teraz z powrotem to, co wypił.

Wracam na stanowisko i znów walczę z sennością. Niemcy jednak starają się, żeby nam się nie nudziło, bo oto już słychać warkot i niezbyt wysoko zjawiają się trzy sztukasy. Moje stanowisko jest całkiem pod gołym niebem i mam możność dokładnie obserwować je, jak krążą nad ruinami, szukając celu. Każdy z nich ma podwieszoną tylko jedną bombę, ale za to sporego kalibru.

Z najbliższych niemieckich stanowisk strzelają w górę białe rakiety. To nie tylko znaki rozpoznawcze, bo oto jedna z nich spada pionowo na gmach Pasażu Simonsa, po drugiej stronie ulicy. Z miejsca, gdzie upadła, wznosi się w spokojnym powietrzu słup białego dymu. Sztukasy tylko na to czekały. Pierwszy z nich odłącza od szyku i zaczyna pikować na budynek. Nigdy jeszcze nie widziałem nieprzyjacielskiego samolotu w akcji z tak bliska. Odległość od Pasażu nie przekracza trzydziestu metrów. Można zaobserwować wszystkie szczegóły konstrukcji, jakieś żółte litery na bombie... Tuż nad dachem odczepia się ona i jednocześnie maszyna wyrównuje. Słychać kilka trzasków – to przebijane stropy. Patrzę na to wszystko spokojnie, bo już oswoiłem się z nalotami... a zresztą nie ma gdzie uciec.

Pora na wybuch. Kulę się za murem i zatykam uszy rękami. Sekundy – jedna, druga, trzecia. Powietrzem targa potężna eksplozja. Spoglądam w górę na piętrzące się nade mną dwupiętrowe, wypalone ściany. Byle się nie przewróciły od podmuchu, to od odłamków jestem bezpieczny. Mury chwieją się jak drzewa na wietrze, sypią się z nich okruchy, ale nie upadają. Sadze wydmuchnięte z jakiegoś komina walą prosto na mnie. Osłaniam, jak mogę, czułe części peemu przed pyłem.

Wyglądam za chwilę: budynek Pasażu stoi, aczkolwiek spowity dymem. Nurkuje drugi sztukas. Nowy wybuch. Robi się zupełnie ciemno od dymu i kurzu. W ciemności słychać wycie i świst następnej maszyny. Podmuch i w tym momencie czuję jak coś przygniata mnie i wali na ziemię. „Przysypało mnie!” – przebiegło mi tylko przez myśl.

Sztukas krążący nad Krakowskim Przedmieściem

Przez chwilę leżę bez ruchu, usiłując uprzytomnić sobie, co się stało. Ruszam ręką, nogą – całe! Mrok zaczyna się przerzedzać. Podnoszę się, nie widać nic specjalnego. Dopiero obmacanie hełmu ukazuje mi spore wygięcie. Cegła, która je zrobiła, spadając ze szczytu muru, leży również przede mną.

Samoloty odleciały. Na budynku Pasażu nie widać z zewnątrz wielkich zniszczeń. Bomby musiały upaść dalej od naszej krawędzi.

Czterdzieści pięć minut przerwy i znów przez odgłosy strzelaniny przebija się dalekie warczenie motorów. Rośnie szybko i wnet migają po

niebie kanciaste sylwetki ze świeżym ładunkiem. Patrzę, jak wzbijają się w górę niemieckie rakiety. Wtem... smugowy pocisk leci prosto na mnie... Uchylam się odruchowo, słyszę odgłos upadku, dopalający się kikut leży o dwa kroki przede mną, u podstawy wielkiego białego słupa znaczącego cel... Pierwszy samolot właśnie pikuje. To już koniec! Nie ma czasu na ucieczkę!

Nie wiem, co myślałem przez te parę sekund, gdy, nie patrząc w górę, słyszałem tylko gwizd maszyny, upadek bomby i ciszę, podczas której działał tam gdzieś zapalnik ze zwłoką... Wreszcie wybuch... i powoli stwierdzam, że jednak żyję. Lotnik widocznie pamiętał swój właściwy cel...

Trochę roztrzęsiony patrzę, jak następny sztukas pikuje w to samo miejsce. Żeby tak mieć tu cekaem... Odległość do maszyny jest jakieś 60 metrów. Sam nie wiem jak podnosi się mój peem i przywieram do celownika. Mignęła żółta maska motoru, twarz pilota za szybą kabiny... bez mojej woli huknęły dwie długie serie...

„Co robisz, idioto!” – wymyślam sobie, czekając na wybuch nowej bomby. Uspokoiłem się momentalnie i oglądam się, czy kto nie widział głupiego odruchu. Ale nikogo nie ma w pobliżu.

Po tym nalocie, aczkolwiek mury Pasażu wciąż stoją, to przez okna widać jednak gruzy i zniszczenie zawalonego wnętrza. Co się tam dzieje – nie wiadomo. Patrzę na budynek od strony zewnętrznej, gdzie pustka i cisza jak zawsze. Przez chwilę doleciały mnie jakby jakieś krzyki...

W tym momencie zauważam niemiecki hełm po drugiej stronie. Seria. Znów nadsłuchuję. Cisza.

Wreszcie naloty samolotów przenoszą się gdzieś indziej. Na naszym odcinku robi się spokojnie. Słychać trzask palących się domów gdzieś na prawo i od czasu do czasu łoskot usuwających się gruzów. Leżę na swoim stanowisku. Niemców nie widać, naszych również nie. Od czasu do czasu trzaśnie gdzieś pomiędzy ruinami seria peemu lub zakrztusi się nadmiarem amunicji niemiecki cekaem. Gdyby nie to, mógłbym sądzić, że jestem tu sam.

Uświadamiam sobie naszą sytuację. A więc nasze przebicie nie udało się. Dlaczego, i czy nikt nie przeszedł, nie wiem. Przebiega mi przez myśl, że przecież Niemcy jeńców nie biorą i że w takim razie... to już na pewno. Jestem zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać, i jest mi wszystko

jedno. Męczy mnie pragnienie snu za wszelką cenę i niemiło pali wypita woda mineralna.

Ściemnia się. Moździerze i granatniki nieprzyjacielskie wzmagają ogień na nasz odcinek. Pociski rozrywają się całkiem blisko, parę nawet w tym samym pomieszczeniu. Całe szczęście, że zdążyłem wybudować sobie niski murek z cegieł, który chroni przed odłamkami. W chwili ciszy słyszę z tyłu głos wołający mnie, bym się zbliżył.

Zebrawszy swoje granaty, które ułożyłem sobie pod ręką, przeskakuję za wypalony mur. Pusto, tylko trup leżący w przejściu, a z żywych jakiś nieznany mi żołnierz, który mówi, że mamy się wycofać. Daję się zaprowadzić do otworu wybitego w stropie piwnicy i zeskakujemy w dół. Mój przewodnik ciągnie mnie dalej za rękę, przełazimy przez jakieś zwaliska, to znów niby barykady z worków z piaskiem. Wydaje mi się, że poznaję miejsce, skąd niedawno wyruszyliśmy do natarcia. Jest tu paru ludzi, słyszę rozmowę i szczęk broni.

Ktoś, również niewidzialny w ciemności, wyznacza mnie i jeszcze kogoś, dając nam rozkaz mniej więcej tej treści:

– Siedźcie tu przy tej barykadzie i kikujcie, żeby się tu jakiś sukinsyn nie wtranżolił z tamtej strony. Jak co, to walić. Wycofanie na rozkaz.

Słychać kroki. Odeszli. Ten drugi razem z nimi. Pusto. Cicho. Tylko na górze przewalają się detonacje. Mury piwnic dają znakomite poczucie bezpieczeństwa przed tym wszystkim, co na powierzchni lata, świszcze i wybucha. Z drugiej strony czuję się głupio w nieznanym i ciemnym lochu. Obmacuję barykadę przed sobą: parę papierowych worów z piaskiem. Układam się wygodnie za nimi w pozycji strzeleckiej. Dotknięcie uchwytu broni jak zwykle uspokaja mnie momentalnie.

Walczę z sennością. Co pewien czas jakiś szmer przyprowadza mnie do przytomności i każe skupić wytężoną uwagę w tamtym kierunku. Idą! Lecz nie, to tylko złudzenie. Znów wpatruję się w ciemność.

Tak mija parę godzin, ile – nie wiem, gdyż nie mam żadnego światła, by spojrzeć na zegarek. Wreszcie coś się dzieje. Jestem prawie pewien, że ktoś jest w piwnicach. Jakieś szmery i hałasy powtarzają się raz po raz. Skupiam się w sobie i staram się nie dać ponieść wyobraźni, która z przestrzeni nieznanych lochów wysyła ku mnie to niby błyski latarki, to jakichś żołnierzy z bagnetami, to lecący granat. Lecz tym razem to jest coś naprawdę. Niby potrącony przez kogoś obsuwa się spory stos cegieł. Tuż

blisko zazgrzytało leżące wszędzie potłuczone szkło. Po przemęczonym mózgu kołacze myśl: byle nie dać się uprzedzić!

To już! Zatrząsł się peem krótką serią i echo powtarza ją długo po korytarzach. Przede mną jakieś błyski. Strzelają do mnie! Nie, to przecież tylko uderzenie moich własnych kul o ściany. Po strzałach natychmiast coś się rusza, spadło parę cegieł i nastał zupełny spokój. Ktoś z rannych przyszedł i pyta, co się stało, czemu strzelałem.

– Ktoś był w piwnicach, tam przy wejściu!

– Zdawało ci się, pewnie szczur, tyle tu trupów leży!

– To nie był szczur, to ktoś chciał wejść przez dziurę, a może nawet wszedł!

– Być może, szkopi znów podeszli bliżej. Ale chodź, wracamy zaraz na nasze stanowiska.

Powstańcy ze Starówki wychodzą z kanałów na ulicę Nowy Świat

1 września

Noc. Ciemno. Głucho i pusto jakoś na naszych dawnych pozycjach koło ruin pałacu Krasińskich. Ranni, których mieliśmy przeprowadzić do Śródmieścia, mają teraz przejść kanałami. Oczywiście tylko tacy, którzy mogą iść o własnych siłach, bo nie można dopuścić do zatarasowania drogi przez nosze. Co będzie z innymi, nie wiem. Na razie poszło sporo, ranny znowu „Mors” i „Gryf” razem z nimi. Z całej mojej drużyny został już tylko jeden „Baszkir”. Nie widać znajomych, same obce twarze dookoła. Wszyscy czarni i zmęczeni, i bardzo ponurzy. Nikt o tym specjalnie nie mówi, ale jakoś się wie, że to już postanowione, iż mamy pozostać tutaj. Niby to już od dawna każdy się spodziewał, że „oberwie w czapę”, ale nagła nieuświadamiana poprzednio pewność, że to już zdecydowane, że już wkrótce, nie jest zbyt przyjemna. Widzę po twarzach paru ludzi, że to ich jednak przemogło, że będą się starali ocalić życie za wszelką cenę. Co do mnie, to jestem piekielnie zmęczony i nic nie chce mi się robić.

Tuż przed świtem małe przegrupowanie pozycji. Idziemy na sam koniec ruin pałacu Krasińskich. Pałac jest wypalony doszczętnie na całej swej długości, z wyjątkiem małej partii, częściowo zburzonej, od strony przylegającej do gmachu Sądów przy ulicy Długiej. Niemcy są już w ruinach domów od strony getta. Chwilowo nie ma z nimi kontaktu. Naszym zadaniem jest utrzymać stanowiska na gruzach pałacu. Odwrotu właściwie nie ma, bo za nami jest tylko pusta przestrzeń pałacu Krasińskich. Niemcy podchodzą już do placu od strony Bonifraterskiej, ale

ruiny gmachu Sądu Najwyższego, odgradzające plac od strony getta, są jeszcze podobno w naszych rękach.

Panuje cisza, przerywana tylko trzaskaniną dopalających się domów po drugiej stronie placu i strzelaniną na innych odcinkach. Dział radzieckich nie słychać tej nocy. Dwie łączniczki roznoszą po linii żywność w dużym koszu. Dostaję dwa całe bochenki chleba i puszkę konserw. Jest to reszta naszego oddziałowego magazynu, który teraz jest rozdawany pomiędzy żołnierzy. Więcej żywności już nie będzie... Mało mnie to martwi, gdyż od paru dni cierpię na żołądek i jedzenie mnie nie interesuje. Podobno panuje epidemia czerwonki. Ciekawe, czy i ja to mam.

Wreszcie świta. Na naszym odcinku wciąż cisza. Buduję sobie wygodne stanowisko w gruzach. Słychać znane aż za dobrze warczenie motorów lotniczych. Pierwszy nalot. Sala, w której się znajduję, ma jeszcze coś w rodzaju części stropu, więc nie widzę, gdzie krążą wybierające sobie cel samoloty. Wycie pierwszej maszyny słychać nieprzyjemnie blisko. Słyszę trzask przebijanych stropów tuż obok, jakby w następnej sali. Tylko pięć sekund czasu teraz... Kilkanaście metrów do najbliższego wejścia do piwnicy pod ruinami pałacu przebywam, zanim miałem czas się zastanowić, co robić. Przeskakuję wszystkie na raz stopnie wiodące do ciemnego lochu i padam jak długi pomiędzy siedzącymi i leżącymi tam żołnierzami.

Nic się nie dzieje, tylko ciszę przerywa potworny gwizd nurkującej teraz innej maszyny. Czy niewypał? Potworny huk, po nim drugi i trzeci. Pęd powietrza poprzewracał wszystkich w korytarzyku. Ktoś gramoli się na mnie, ja leżę na kimś. Sypie się gruz. Jest zupełnie ciemno i czuję duszący dym i kurz. Zasłaniam usta i nos chustką, którą noszę na szyi. Ktoś krzyczy: „Jesteśmy zasypani!”, ktoś inny: „Uciekać!”. W zupełnych ciemnościach czuję się popychany w jedną stronę i wymacuję schody idące w górę. Robi się trochę jaśniej. Wszyscy biegną na oślep w stronę gmachu Sądów, nic nie zważając na ostrzał w otwartych miejscach. Ja siadam w jakimś załomie muru koło wejścia do lochów i usiłuję trochę dojść do siebie. Ktoś organizuje zbiórkę w ruinach i przeliczenie strat. Nie ma prawie połowy pozostałych jeszcze żołnierzy batalionu. Okazuje się, że bomba przebiła strop do piwnicy pod pałacem na przeciwnym końcu od tego, w którym ja się znajdowałem, i że została zasypana cała kompania.

Organizują drużynę ratunkową, która ma odkopać zasypanych. Podobno ktoś słyszał stukania i krzyki o pomoc z zasypanej części piwnic.

Reszta oddziału rusza z powrotem na dawne pozycje w gruzach. Nastrój poprawia się, gdy na stercie gruzów na pierwszej linii dostrzegamy księdza w stule błogosławiącego przechodzącym.

Moje dawne stanowisko jest zasypane, bomby rozniosły resztki stojących jeszcze murów i mamy teraz silny ostrzał od strony getta. Trwa ostra strzelanina, chociaż od swojej strony niczego nie widzę. Po południu słychać warkot silników czołgowych, gdzieś bardzo blisko. Zaczynają strzelać działa i karabiny maszynowe gdzieś z tyłu za mną, od strony placu. Ostrzał jest taki, że nie mogę się wycofać ze swojej pozycji od strony parku. Było tu nas początkowo czterech, wliczając w to „Baszkira” i mnie.

W chwili gdy zaczęła się strzelanina od strony placu, nasz kolega przeczołgał się koło mnie, rzucił mi:

– Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje! – i padł natychmiast zabity, gdy wyprostował się w małym przejściu za murkiem, który mi dawał ochronę.

Przygotowaliśmy sobie granaty i leżymy, czekając, co będzie dalej. Tak mija parę godzin.

Robi się przedwcześnie ciemno. To dym z palących się domów. Pod jego osłoną przeczołgujemy się do naszych. Dowiadujemy się, że Niemcy wdarli się już do części ruin gmachu Sądu i że ostrzeliwują już sam plac Krasińskich.

Polepszamy swoją pozycję, tak że mamy większe pole obstrzału na wszystkie strony. Wciąż słychać czołgi nie dalej jak 100 metrów od nas, ale nic nie widać. Przebiega nasz patrol z piatem i wkrótce potem słychać wybuchy pocisków piata. Trudno powiedzieć, co się dzieje w tamtej stronie, bo w tej samej chwili widać przebiegające obok nas sylwetki Niemców. Dzika strzelanina ze wszystkich stron. Padają granaty ręczne. Strzelam do przebiegających sylwetek, ale nie mogę się bardzo wychylić zza swojej osłony wobec ognia z kilku karabinów maszynowych, które wydają się być z trzech stron mojego stanowiska. Jestem odcięty od kolegów. Sytuacja wydaje się bardzo ciężka. Mam jeszcze tylko trzy magazynki do swojego peemu i dwa granaty. Postanawiam oszczędzać amunicję i nie dać się wziąć żywcem. Jestem przekonany, że Niemcy zajęli już całą Starówkę i likwidują resztki oporu. Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie bronić się do końca z miejsca, w którym jestem.

Tymczasem jednak robi się noc i ogień słabnie.

Słychać jakieś głosy ludzi idących przez gruzy. Kieruję peem w tamtą stronę, ale w porę poznaję: to nasi. „Baszkir” jest z nimi i wołają mnie po imieniu. Czołgam się w ich stronę. W świetle wystrzelonej od strony Niemców rakiety widzę „Lota” i paru innych żołnierzy. Mówią, że są szanse przejścia przez kanał, jeśli jeszcze nie jest zablokowany.

Idziemy przez gruzy w stronę ulicy Długiej. W bramie Sądu jest coś w rodzaju zbiórki pozostałych żołnierzy „Parasola”. Przewodnik tłumaczy, jak zachowywać się w kanale. Należy być absolutnie posłusznym przewodnikowi, iść tylko, gdy każe, i stać absolutnie cicho, gdy będziemy w pobliżu otwartego włazu, którym Niemcy wrzucają granaty. Jeśli ktoś będzie ciężko ranny, należy zostawić go w kanale.

W salach przylegających do bramy leżą nasi ciężko ranni na noszach. Przyniesiono ich tutaj po owym nieudanym przebiciu się. Niektóre oddziały, które już poprzednio opuściły Starówkę, zabrały z sobą na noszach swoich nawet ciężko rannych. Teraz jednak zabroniono zabierać cięższej rannych. Rozkaz jest, aby zabierać tylko rannych, którzy mogą chodzić, oraz broń. Wśród naszych rannych, którzy już o tym wiedzą, nastrój jest fatalny. Niektórzy usiłują udawać, że mogą chodzić. Wygląda to strasznie. Poszedłem się pożegnać ze swoimi znajomymi. Zewsząd koledzy i znajomi wołają, żeby im zostawić broń, gdyż chcą z sobą skończyć. Odmawiam stanowczo, ale wiem, że niektórzy ranni mają ukrytą przy sobie broń zostawioną im przez kolegów. W chwili gdy wychodzę z sali, pada strzał w jej dalszym końcu. Nie oglądając się, wybiegam do bramy. Dostaję rozkaz, by przynieść nasz karabin maszynowy, który jest w naprawie u rusznikarza. Jest to tylko o trzy domy dalej na Długiej, ale odnalezienie właściwej piwnicy zajmuje mi nieco czasu. Kaem jest zepsuty, ale nie można go zostawić. W bramach i piwnicach cywile, widząc mnie tak uzbrojonym, robią krytyczne uwagi pod moim adresem. Minął gdzieś dobry nastrój pierwszych dni powstania. Wszyscy chcą wiedzieć tylko, czy będą mogli dostać się do kanału.

2 września

Gdy dołączam się z powrotem do oddziału, robi się już jasno. Strzelanina wzmaga się i jest spory ostrzał wzdłuż placu Krasińskich. Moi koledzy kulą się długim rzędem wzdłuż muru zrujnowanego domu przy Długiej. Widzę też kanał: mały otwór, otoczony barykadą z worków i piaskiem. Na barykadzie karabin maszynowy. Oprócz ludzi wchodzących do kanału nikogo nie widać.

Ta okolica przedstawia jeszcze większy obraz zniszczenia, niż gdy ją ostatni raz widziałem. Ani jeden dom nie stoi cały. Barykady przy Długiej zasypane są zawalonymi domami, że nie można ich odróżnić. Na ogromnej barykadzie odgradzającej plac od strony ulicy Miodowej sterczy do góry ogumione koło: ostatnia pozostałość samolotu, który niósł nam pomoc. Zauważam, że z tego koła zdążył ktoś wykrajać mały kwadrat gumy na zelówki. Też ludzie mają czas i ochotę!

Ostatnie parę metrów do włazu trzeba przebiec pod obstrzałem. Wpadam w mały otwór i po klamrach schodzę szybko w dół. Tuż za mną zasłonił wylot następny złażący. Chlupnęło pod nogami. Już jestem w kanale. Pierwsze wrażenie: jak cicho i jak mokro w nogi. Istotnie, błoto dochodzi do kolan. Łapię za pas mojego poprzednika i zaczynam za nim iść niskim i wąskim kanałem. Z początku idziemy całkiem szybko, tak że aż czuję zmęczenie. Trzeba iść zgiętym w pół, co nie jest najwygodniejszą pozycją. Kolumna staje, a za chwilę znów rusza. Stajemy znowu i tym razem stoimy znacznie dłużej. Jest cisza, w której tylko z głębi kanału

dochodzą głuche odgłosy eksplozji. Ciekawe, czy to te granaty, które Niemcy podobno wrzucają do kanałów – myślę sobie.

Powstańcy z Mokotowa wychodzą z kanału przez właz w Alejach Ujazdowskich przy ulicy Wilczej

Postoje robią się coraz częstsze, czasami idziemy tylko parę kroków. Parę razy przechodzimy pod otworami studzienek, które można poznać po dochodzących z góry odgłosach strzelaniny i po tym, że woda jest tam nieco głębsza, a sufit tak wysoki, że można się wyprostować. Takie chwile są jednak bardzo rzadkie.

Parę razy walę z łoskotem głową w jakieś występy murów. Kolega z przodu podaje mi, milcząc, piata, otrzymanego gdzieś od czoła kolumny. Jakiś czas niesiemy go wspólnie, ale wydaje mi się to strasznym ciężarem dla zgiętych wpół pleców. Nie mam wiele rzeczy przy sobie, tylko chlebak z paroma granatami i puszką konserw, no i mój peem, którego pasek wrzyna mi się niemiłosiernie w szyję. Mam wrażenie, że gdybym upadł, nie miałbym już siły podnieść się na nogi.

Podaję piata dalej w tył. W myśl instrukcji ciężka broń ma być niesiona na zmianę. Człowiek idący za mną milcząco odpycha podawanego mu piata. Myślę, że nie rozumie, więc szeptem tłumaczę mu, o co chodzi. Odmawia mi całkiem głośno, że nie weźmie i że ma to wszystko w d...

W tym momencie kolumna rusza, więc dźwigam piata sam, bo kolega z przodu porzucił swój koniec, myśląc, że podałem go w tył. Z takim ciężarem nie mogę iść szybko, więc odległość pomiędzy moim poprzednikiem a mną się powiększa i nie mogę go dogonić. Boję się go zgubić, ale ze zmęczenia zaczyna mi się już kręcić w głowie. Trzeba coś zrobić i to szybko! Staję i usiłuję wcisnąć piata w ręce idącemu za mną człowiekowi. Odpowiada mi tylko wiązanką przekleństw. Nie mogę się zorientować, kto to jest. Nie z naszego oddziału, to pewne. Ogarnia mnie wściekłość. Rzucam mu piata pod nogi.

– Bierzesz czy nie?

Odpowiedź jak przedtem. Szarpię do tyłu zamek mojej „czterdziestki” i przystawiam mu lufę do brzucha. Poskutkowało. Wziął piata z kimś, kto szedł za nim.

Gonię swoich poprzedników. Mam chwilę zwątpienia, gdy z bocznego kanału dochodzi mnie plusk jakby nóg idącej kolumny. Decyduję się jednak iść w przód. Wpadam w jeszcze jedną studzienkę, ale zaraz potem doganiam swoich. Kolumna stoi w miejscu przez bardzo długi czas. Marzę tylko o tym, aby wyprostować choć na chwilę grzbiet. Z dala, z tyłu dochodzi odgłos wybuchu i wyraźny podmuch. Wreszcie kolumna rusza. Kanał robi się znacznie niższy, tak że poruszanie się w nim jest wielką męczarnią. Znowu postój, który nie jest odpoczynkiem. Straciłem już rachubę czasu. Znowu idziemy.

Nagle, wprost nie do uwierzenia, z daleka widać jakieś światło. Dochodzimy. Z pułapu kanału w małej niszy zwisa żarówka elektryczna! Jakieś kable telefoniczne i napis kredą: „do Chmielnej”.

Skręcamy w bok. Wkrótce czuć świeże powietrze. Studzienka. Wspinam się po klamrach w górę. Jakieś silne ręce chwytają mnie pod pachy i wyciągają na powierzchnię. Jestem zupełnie oślepiony. Jak jasno! Ktoś wciska mi w rękę kubek z kawą, ktoś częstuje papierosem. Rozglądam się. Dokoła wszystkie domy stoją! Mają nawet szyby w oknach! Ludzie chodzą i nawet nie myślą kryć się pod murami. Dziwne. Mam wciąż jeszcze w oczach smugi świetlnych pocisków nad placem Krasińskich.

Powstańcy ze Starówki odpoczywają po ewakuacji kanałami

3 września

Poselstwo bułgarskie. Około wieczora. Obudziłem się na podłodze w korytarzu. Nie wiem, jak długo spałem. Może piętnaście, może dwadzieścia cztery godziny. Niezbyt wyraźnie przypominam sobie, jak się tutaj dostałem. Odkąd wyszedłem z kanału, jestem jakby w innym świecie. Pamiętam wyjście – chyba Nowy Świat? Spokój. I te okna z szybami. Potem prowadzili nas przez miasto. Tylu ludzi! Chodzą sobie ulicami jakby nigdy nic. Było co prawda parę wybuchów, ale nie bardzo blisko. Co to jest blisko? No, blisko to jest jak dym i kurz zasłaniają wszystko. No, a bardzo blisko? To jak w dodatku sypie się na głowę tynk i spadają cegły. Ja chyba trochę majaczę, bo tutaj nic takiego się nie dzieje. Nawet drzewa mają liście niezerwane wybuchami.

Wołają na zbiórkę. Wstałem, ale zakręciło mi się w głowie, tak że musiałem oprzeć się o ścianę. Zszedłem jednak na dół zobaczyć, co się dzieje. Jeśli to ma być cały batalion, to nie ma zbyt wielu ludzi. Jest „Luty”, „Zabawa”, paru innych, ale z moich chłopców tylko „Baszkir”. Wszyscy wyglądają, jakby się ledwo umyli od wyjścia z kanału, ale nastrój lepszy. Mówią, że oddziały ze Starówki będą wycofane na odpoczynek do jakiejś spokojnej dzielnicy, podobno na Czerniaków, nad Wisłę. Wprost nie do uwierzenia. Myślimy też, że jak w końcu Rosjanie przekroczą rzekę, to nas pierwszych uwolnią. Wspaniała perspektywa, może jednak przeżyjemy.

W tym samym czasie mam swoje osobiste problemy. Głównie, jak tu iść nawet tak niedaleko, jak na Czerniaków, skoro jestem za słaby, aby nawet

wejść na pierwsze piętro. Melduję o tym naszemu lekarzowi. Wysłuchał mojej opowieści, że od paru dni nic nie jadłem, a nawet jak coś zjadłem, to długo we mnie nie zabawiło. Pewnie czerwonka, podobno panuje epidemia. Na naszej kwaterze nie ma lekarstw. Mam się udać do szpitala na Śniadeckich, tam dostanę lekarstwo. Pewnie będę mógł dołączyć do oddziału jutro albo za dwa dni. Nie chcę rozstawać się ze swoją „czterdziestką”. W końcu załatwiam sprawę w inny sposób – zamieniłem się z kimś na stena. Stena można rozebrać i prawie ukryć w plecaku. „Baszkir” ofiarowuje się pomóc mi dojść. Sam też nie wygląda nadzwyczajnie, pewnie ma początki tego, co ja.

7 września

Szpital na Śniadeckich. Bardzo tu fajnie. Oczywiście wszystko jest względne. Wspaniałość tego miejsca, gdzie pewnie była szkoła, polega na tym, że mogę leżeć na materacu na podłodze w korytarzu. Wspaniałe jest też to, że jesteśmy na drugim piętrze, a nie w piwnicy. Słychać czasami wybuchy bomb czy pocisków artyleryjskich, ale dosyć daleko. Dziś rano całkiem blisko usłyszałem kilkanaście wybuchów, które od razu rozpoznałem jako strzały z działa czołgowego (zdumiewające, od jakich spraw człowiek robi się ekspertem!). Podobno od czasu do czasu czołgi z Pola Mokotowskiego zabawiają się strzelaniem do domów wychodzących bezpośrednio na nie. No, ale nasz dom nie jest pierwszym z brzegu, więc nie ma się co martwić. Niektórzy „miejscowi” zeszli na dół do schronu, ale ja nie widzę potrzeby. Nadsłuchuję, czy nie słychać bliżej broni maszynowej lub granatów. To by oznaczało natarcie niemieckie i trzeba by zbiegać na dół pomagać. Hmm, z tym bieganiem to nie tak łatwo, skoro ja dopiero co wstałem i ledwo mogę chodzić.

8 września

Czuję się zdecydowanie lepiej. Mogę nawet jeść, a co najważniejsze, to co jem, pozostaje we mnie. Co prawda, kuchnia tutaj nie jest zbytnio urozmaicona: codziennie kasza „plujka”. Jest to rodzaj zupy z rozgotowanego zboża, bodajże jęczmienia. Nazwa pochodzi od tego, że zawiera wiele łusek, które jedząc, trzeba wypluwać. Na Starówce była rozmaitość: albo w ogóle nic, albo sam cukier, albo doskonałe konserwy niemieckie. Ciekawe, czemu człowiek wciąż myśli o jedzeniu?

10 września

Właściwie wyzdrowiałem. Jutro mają mi ostatecznie zdjąć opatrunek z ręki. Tu muszę wspomnieć, że moja ręka, przestrzelona w łokciu w pierwszych dniach powstania, już się prawie zagoiła, ale po przejściu kanałami znowu zaczęła dokuczać. Pewnie różne nadwyrężenia i ogólny brud nie pomogły.

Zaczyna do mnie dochodzić, jakie mam szczęście, że żyję. Ostatnie dni na Starówce nie były przyjemne. Tak się pewnie czują ludzie skazani na karę śmierci i oczekujący wyroku.

Ruiny Sądów. Plac Krasińskich z tylu pod obstrzałem. Czołgi z przodu. Nie ma kontaktu z nikim z boku. Niemiecki karabin maszynowy wciąż daje serie w mur tuż nade mną... Dwa magazynki i dwa ostatnie naboje w kieszeni kurtki... Na tę ostatnią chwilę. Ktoś mnie ciągnie za nogę... „Chodź, wchodzimy do kanału...”

Jest fajnie.

11 września

Dziś w nocy wielkie wydarzenie. Odgłosy nisko latających samolotów. Zupełnie inny dźwięk niż niemieckich. Zresztą Niemcy nigdy nie latają po nocy. Bo i po co... i tak mogą nas bombardować, kiedy im się podoba, za dnia.

To oznacza, że Rosjanie są już blisko. Pewnie już tuż nad Wisłą. Krążą rozmaite pogłoski, ale właściwie nie wiadomo, co się dzieje. Przecież w końcu muszą przyjść. Nie mogą wciąż czekać i czekać.

Już jestem gotów dołączyć do swoich. Jutro spróbuję pójść na Czerniaków.

12 września

Idę do swoich. Wreszcie czuję się na tyle zdrowy, że będę się mógł przydać. Czerniaków niedaleko, ale wiadomości są rozmaite. Był tutaj jeden facet – podobno właśnie przybył z Czerniakowa. Mówił, że Rosjanie lądują i że lada moment przyjdą nam z pomocą. Najwyższa pora! Z drugiej strony, przynieśli wczoraj rannego z Czerniakowa. Nie z naszego oddziału, ale od chłopaków tuż obok „Parasola”, przy Ludnej. Mówił o ciężkim bombardowaniu i o wielkim natarciu niemieckim od strony gazowni.

Dziś rano poszedłem na posterunek obserwacyjny, który mieści się tutaj w jednym z najwyższych domów przy Śniadeckich. Widok rzeczywiście rozległy. Na naszym przedpolu od Pola Mokotowskiego i Politechniki – spokój. Na Mokotowie pożar, tak jakby po stronie Sadyby. Największe pożary nad Powiślem i chyba Czerniakowem. Widać też wybuchy jakby bomb czy pocisków artyleryjskich.

Pożegnałem się z paroma osobami, z którymi się zaprzyjaźniłem podczas pobytu tutaj, i wyruszam. Normalnie, przed powstaniem, ze Śniadeckich na Czerniaków to może pół godziny. Nawet mniej, jeśli tramwajem. Też myśli – teraz tramwaje tworzą barykady!

Powstańcy w rowie łącznikowym w Alejach Jerozolimskich

Z początku wszystko szło możliwie: do Marszałkowskiej, potem przez jakieś ruiny i piwnice do Mokotowskiej, i wreszcie rowem wzdłuż Alej Ujazdowskich w stronę placu Trzech Krzyży. Tu zaczyna się robić gorąco. Strzelanina i wybuchy od strony Instytutu Głuchoniemych. Dotarłem rowem do barykady tuż przy placu. Nagle odgłos dobrze mi znany ze Starówki. Trzy sztukasy krążą nad placem. Wkrótce widzę, jak pierwszy pikuje prosto na kościół Świętego Aleksandra. Duży budynek na samym środku placu. Jestem od niego oddalony może o sto metrów. Chowam się, jak mogę najgłębiej, w moim dołku. Ogromna eksplozja, po niej druga, trzecia. Ogarnia wszystko gęsty dym i kurz. Leżę płasko i stwierdzam, że nic mi się nie stało. Po pewnym czasie dym się rozchodzi. Na miejscu kościoła ogromna kupa gruzu. Nie stoi ani jedna część budynku. Chyba wszystkie bomby trafiły.

Cofam się moim rowem i w ruinach jakiegoś domu od strony Wiejskiej spotykam grupę powstańców. Już z dala wołają do mnie, żebym się krył, bo jest akurat duży obstrzał. Tłumaczę im, że chcę się dostać do Książęcej i na Czerniaków, do mojego oddziału. Mówią mi, że tędy nie przejdę i że mogę próbować dookoła placu aż do Nowego Światu. Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Cofam się Alejami prawie aż do Wilczej. Potem przez jakieś rowy, ruiny i piwnice. Jest prawie wieczór, gdy docieram do placówki przy barykadzie, gdzieś koło rogu Nowego Światu i Książęcej. Tu spotykam więcej takich, co chcą przedostać się na Czerniaków. Jeden chłopak w panterce, jak ja. On jest z „Zośki”. Był na pogrzebie swojej matki, która zginęła w ich domu gdzieś przy Złotej. Teraz wraca do swoich. Mówi mi, że nasi z „Parasola” są tuż koło nich. Zna „Lutego” i paru innych z naszej kompanii.

Przejście na Czerniaków jest długim i całkiem głębokim rowem, który wije się w dół samym środkiem ulicy Książęcej. Duży obstrzał z granatów. Jak robi się ciemno, widać też serie pocisków świetlnych z karabinów maszynowych, które walą tuż, tuż nad rowem. Chcielibyśmy dowiedzieć się, co się dzieje na Czerniakowie, ale jakoś nikt nie nadchodzi z tamtej strony. Od nas ludzie zaczynają wybiegać i po krótkim przeskoku wpadają do rowu. Kolej na mnie. Ciemno wszędzie i dym z palących się domów (chyba szpital Świętego Łazarza?). Huk rozrywających się blisko pocisków z granatników. Z przeciwnej strony pomagają przejść rannemu. Poznaję – to mój znajomy z „Zośki”. Dochodzę do miejsca, gdzie jacyś nasi żołnierze zagradzają przejście. Stoją czy leżą z bronią skierowaną wzdłuż rowu.

– Niemcy przed nami. Przejście przerwane.

13 września

Na Śniadeckich. Całą poprzednią noc i część dnia spędziłem w jakiejś piwnicy koło Książęcej, czekając na możliwość przejścia. Zamiast tego bombardowanie i strzelanina stawały się coraz cięższe. Nie ma mowy o przedostaniu się do swoich. Wstyd się przyznać, ale w końcu głód przygnał mnie z powrotem – tu, skąd wyszedłem wczoraj. Gdy jeszcze byłem w szpitalu, ale już mogłem chodzić, zapoznałem się z paroma chłopcami z oddziału, który obsadza odcinek naprzeciwko Politechniki. Teraz decyduję się do nich dołączyć. Melduję się u majora, dowódcy tego oddziału. Chętnie mnie przyjął, pewnie nie za moje osobiste zalety, ale dla mojego stena, którego wciąż mi się udaje zatrzymać.

15 września

Na Śniadeckich. Tu jest, jak to się mówi, jak u Pana Boga za piecem. Oczywiście, to jest rzecz względna. Piękna barykada w poprzek ulicy odgradza powstańczą Warszawę od placu przed Politechniką. Dalej otwarte pole – ogródki działkowe na Polu Mokotowskim. Na Polu, kilkaset metrów od naszej pozycji, ciągną się niemieckie okopy. Szkopów pewnie denerwuje to, że nasze domy przy ulicy Polnej, chociaż częściowo rozbite, górują nad ich pozycjami na Polu. Dlatego od czasu do czasu podjeżdżają czołgi i ładują nam parę pocisków. Potem znowu spokój. To znaczy, jeśli nie liczyć strzelców wyborowych lub całych serii z karabinów maszynowych w nasze okna. My nie odpowiadamy, bo amunicji mało, a ta, która jest, musi być zachowana na wypadek poważnego natarcia.

18 września

Wciąż tylko myślę o jedzeniu. Od kiedy wyzdrowiałem, to bym tylko jadł i jadł. A tu z jedzeniem krucho. Dostajemy co prawda z kuchni oddziału kaszę, ale to, jak się mówi, za dużo, aby umrzeć, a za mało, żeby żyć.

Wczoraj zdarzyła się niesamowita okazja. Jedną ze służb, które tu trzeba odbywać, jest obsadzanie pozycji w punktach obserwacyjnych na dachach czy wyższych piętrach domów wychodzących na Pole Mokotowskie. Siedzi się z lornetką i obserwuje. Oczywiście trzeba uważać, żeby nie być samemu dostrzeżonym. Niemcy nie wiedzą dokładnie, gdzie jesteśmy, i na wszelki wypadek walą z karabinów maszynowych to tu, to tam. Czasami mają rzeczywisty powód. A więc wczoraj, gdy obserwowałem przedpole, starając się zauważyć, gdzie są te ich stanowiska, jeden z nich musiał mnie dojrzeć. Długa seria rąbnęła w moje okno. Na szczęście trochę za wysoko, bo już bym tych słów nie pisał. Potem poprawili i kule waliły w cegły i inne rupiecie, którymi było zabarykadowane moje okno. Nie trzeba dodawać, że wtedy byłem już w sąsiednim pokoju na podłodze.

Po tym drobnym wydarzeniu zdecydowaliśmy się przenieść na inne piętro. Mieszkanie rozbite jeszcze jakiś czas temu pociskiem z działa czołowego albo artylerii z Pola. Odgrzebując gruzy, natknęliśmy się na drzwi szafy kuchennej albo spiżarni. Badając dalej, co widzimy: ogromny, chyba dwudziestokilogramowy papierowy worek pełen kromek chleba! Musiał być tam jakiś czas, bo chleb twardy jak kamień. Z tym nie jest tak źle, bo mamy dobre zęby. Gorzej, że wszystkie kawałki poryte są siecią

kanalików, w których mieszkają małe robaczki. Gdy przynieśliśmy zdobycz na naszą kwaterę, koledzy ustosunkowali się do tego rozmaicie. Jedni mówią, że takiego świństwa jeść nie będą, drudzy wprost przeciwnie, że to im nie przeszkadza, nawet że robaczki to jak masło czy smalec. Osobiście przyjmuję postawę kompromisową: odgryzam mały kawałek, wystukuję robaczki o jakiś twardy przedmiot, odgryzam następny kawałek itd. Bardzo wolno to idzie, ale wspaniałe zajęcie na długie godziny warty, gdy się nic nie dzieje.

22 września

Dzisiaj się najadłem, pierwszy raz od dłuższego czasu. A było to tak: z naszych pozycji obserwacyjnych nad Polem Mokotowskim widać czasami nocną rozróbę. Niemieckie karabiny maszynowe nagle zaczynają strzelać bardzo nisko nad Polem. Czasami towarzyszą temu białe rakiety oświetlające wszystko jak w dzień. Pole Mokotowskie od naszych pozycji przy ulicy Polnej aż po niemieckie okopy jest pokryte ogródkami działkowymi. W bardzo ciemne noce wyruszają grupy ludności cywilnej w poszukiwaniu czegoś do jedzenia – warzyw, pomidorów, ziemniaków. Niestety, od czasu do czasu wyruszają też i niemieckie patrole. Sytuacja ta istniała tu już od początku powstania, bo linia frontu, jedyna chyba w całej Warszawie, nic się nie zmieniła. Zawarłem znajomość z grupą cywilów – mężczyzn, warszawskich cwaniaków. Zrobili mi propozycję, której nie mogłem odmówić. Oni potrzebują kogoś z bronią, kto by ich ubezpieczał, w zamian podzielą się ze mną swoimi zbiorami.

A więc tej ciemnej nocy, kiedy nie mam służby, wyruszamy. Ja pierwszy, przez jezdnię, w te ogródki. Trzeba się czołgać nisko, niżej, całkiem na płask. Roślinność tutaj rozmaita, jak to w ogródkach dobrze już rozszabrowanych, od kilku do kilkudziesięciu centymetrów. Ziemniaki, marchew, pokrzywy. Czołgam się aż pod same pozycje niemieckie. Moją funkcją jest obserwować i w razie gdyby niemiecki patrol wyruszył na przedpole, ostrzelać ich, aby dać naszym czas na ucieczkę. Jestem dość blisko niemieckich okopów, czasami w ciszy słyszę niemieckie głosy.

Gorzej, że dochodzą do mnie z tyłu odgłosy naszych grzebiących, a nawet czasem coś mówiących. Chciałbym krzyknąć: ,,Cicho!”. Ale to niemożliwe. Leżę w jakiejś bruździe tak płasko, jak się da, ale całkiem niedaleko jest stanowisko karabinu maszynowego. W świetle jakiejś rakiety widzę dokładnie, gdzie to jest. Oj, coś za daleko się zaczołgałem. Leżę jednak, bo boję się ruszyć i zdradzić swoją pozycję.

Tak mija godzina, może dwie. Nic się nie dzieje. Z tyłu za mną duży ruch, chyba wyszło na Pole więcej ludzi niż tylko moja grupa. W końcu do Niemców też dotarło, że rozróba jest za duża, bo karabin maszynowy się obudził i wali serię za serią tuż nad Polem. Świetlne pociski tuż nade mną. Z tyłu się uspokoiło. Niemcom też się znudziło i znowu dali spokój.

Kiedy zaczęło się robić jasno, wycofuję się bardzo starannie do naszych pozycji. Trzeba przyznać, że moi wspólnicy podzielili się ze mną uczciwie. Dostaję spory woreczek kartofli i dwa pomidory. Pomidory zjadłem od razu, ale co zrobić z surowymi ziemniakami? W dzień udaję się „na handel” w stronę Marszałkowskiej. Znowu miałem szczęście. Spotkałem miłą rodzinę, która miała jeszcze nie tak bardzo rozwalone mieszkanie, możliwość gotowania i nieco zapasów. Przyjęli z zadowoleniem moje ziemniaki. W zamian poszedłem tam na całkiem dobre jedzenie (kasza z ziemniakami i czymś jeszcze). Muszę kontynuować tę znajomość.

Chłopcy pozują przy obudowie bomby zapalającej

24 września

Rano. Już od północy pełnię służbę w punkcie obserwacyjnym na najwyższym piętrze jednego z domów przy ulicy Polnej. Robi się jasno, zanosi się na ładny dzień – dobra wiadomość. W nocy znów krążyły rosyjskie samoloty. Podziwiam ich lotników. Samolot zbliża się zupełnie niewidoczny w ciemności, tuż nad dachami, silnik wyłączony albo na bardzo niskich obrotach, tak że nic nie słychać. Nagle warkot i jeśli się patrzy we właściwą stronę, to można zauważyć ledwo widoczną sylwetkę samolotu. Potem silnik ucicha i znowu nic. Czasami od pozycji niemieckich na Polu Mokotowskim bije smuga pocisków świetlnych w kierunku miejsca, gdzie był samolot. Takie zabawy trwają prawie całą noc.

Teraz jest dzień i scenę, czyli niebo nad Warszawą, przejmują Niemcy. Słychać warkot wielu ciężkich samolotów. Już je widzę. Lecą w naszą stronę. Robi się nieprzyjemnie. Do tej pory widziałem tylko 3–4 samoloty niemieckie w jednym nalocie. Liczę je... pięć, dziesięć... dwadzieścia siedem. Jeśli to wszystko jest dla nas tutaj, to koniec. Wiem dobrze, jakie są rezultaty nalotu „tylko” trzech samolotów.

Teraz widzę ich cel – Mokotów. Byłem na tym stanowisku obserwacyjnym wiele razy i wiem dokładnie, co jest gdzie na naszym przedpolu. Najlepszy widok jest oczywiście na Pole Mokotowskie, Okęcie i Mokotów. Nieco dalej Sadyba i Dolny Mokotów. Widać dokładnie w słońcu wyższe bloki mieszkaniowe i mniejsze domki willowe. Wszystko

jak na dłoni – bezbronne. Może strzelała do tych samolotów jakaś artyleria przeciwlotnicza zza Wisły, ale stąd nie widać. Natomiast dobrze widać przez lornetkę odrywające się od samolotów spadające bomby. Podnoszą się ogromne słupy ognia i gruzu, dym ogarnia wszystko. Cały Mokotów jest teraz zasłonięty ogromną chmurą dymu, w którą pikują wciąż nowe samoloty. Słychać też odgłosy artylerii i wznowione serie karabinów maszynowych. Nie ma wątpliwości – rozpoczął się szturm na Mokotów. Wysyłam gońca z meldunkiem do dowództwa.

Nachodzą mnie czarne myśli. Moja euforia, w jaką wpadłem po wyjściu ze Starówki, przeszła. Co dalej? Stamtąd wyszedłem z życiem, ale to pewnie tylko odwleczenie, a nie odwołanie wyroku. Tu jest jak u Pana Bogiem za piecem, ale na jak długo? Z mojego punktu obserwacyjnego widać to jak na scenie. Niemcy otaczają jedną dzielnicę po drugiej i je likwidują. My nie możemy im pomóc ani oni nam. Odkąd tu jestem, padły po kolei: Powiśle, Sadyba, Czerniaków i teraz Mokotów. Jasne, że za parę dni będzie kolej na nas. Jak długo to potrwa? Niewielka różnica: może parę dni, może tydzień. Domy tu jeszcze stoją i są dosyć solidne, ale broni i żywności w porównaniu ze Starówką mało. No i Niemcy jeńców nie biorą... Oczywiście, każdy żołnierz jest przygotowany na to, że może zginąć, ale jest różnica między „może” i „musi”. Też myśl! Dobrze, że akurat nas luzują i będzie można iść na obiad.

1 października

Dziś niezwykłe wydarzenie. Na posterunku przy barykadzie na 6 Sierpnia spokój, nawet nie ma strzelaniny na naszym odcinku. Nagle przez przejście od naszej strony zjawiają się jacyś ludzie, w tym oficerowie, których przedtem nie widziałem. Dostaję rozkaz: zrobić przejście przez barykadę, będą wychodzić parlamentariusze. Co? Gdzie? Dokąd? Co się dzieje?

Okazuje się, że jestem chyba najgorzej poinformowaną osobą w Warszawie. Podobno są możliwości kapitulacji i Niemcy będą brać jeńców, a nie rozwalać wszystkich jak do tej pory. Podobno Anglicy i Amerykanie uznali oficjalnie polskie oddziały AK walczące w Warszawie jako część normalnych wojsk podlegających konwencji genewskiej. A więc jest możliwość wyjścia z życiem. W każdym razie nowa nadzieja. Zupełnie tak jak na Starówce, gdy nagle dowiedziałem się, że może będzie można się wycofać kanałem. Potem w Śródmieściu nadzieja powoli się rozwiewała, w miarę jak upadały kolejne dzielnice...

Ale czy można Niemcom wierzyć? Mogą nas wziąć do niewoli, a potem rozwalić w jakimś obozie koncentracyjnym.

2 października

Pałacyk przed Politechniką pusty i cichy. Spędziłem wiele godzin, obserwując to nasze przedpole z odległości, z linii naszych posterunków obserwacyjnych w domach przy Śniadeckich i 6 Sierpnia. Z prawej główne wejście do Politechniki, na wprost budynki szpitala obsadzone przez Niemców. Nieco dalej, przed Polem Mokotowskim mała kapliczka, gdzie przed powstaniem paliły się świeczki. Płaska, wybrukowana przestrzeń. Od naszej strony barykady, zabarykadowane domy. Ten spokój jest złudny. Od strony Politechniki i szpitala Niemcy mają w bunkrach zaryglowane karabiny maszynowe, trzymające placyk w krzyżowym ogniu. Jakiekolwiek wyjście na ten teren to natychmiastowa śmierć.

Ale teraz cisza. Zawieszenie broni. Można stanąć na barykadzie i nikt nie strzela. Natomiast dzieją się rzeczy niezwykłe. Od strony niemieckiej wyszła na placyk grupa oficerów z białą chorągwią. Od naszej strony też wyszła grupa ludzi, też z białą płachtą na kiju. Jacyś oficerowie i cywile. Przeszli przez placyk i razem z grupą niemiecką znikają za rogiem.

Grupa sanitariuszek przygotowanych do ewakuacji z Warszawy po kapitulacji, ulica Wspólna

3 października

Kapitulacja podpisana na pewno. Teraz znamy już wszystkie szczegóły. A więc zostało oficjalnie potwierdzone, że zostaliśmy uznani za żołnierzy alianckich. Wychodzimy z Warszawy z bronią i sztandarami. Wprost nie do uwierzenia. Ciekawe, skąd wezmą te sztandary. I jak to będzie z bronią. Umowa przewiduje, że będziemy wyłącznie pod kontrolą Wehrmachtu, że SS, gestapo, żandarmeria itp. nie będą z nami mieli nic do czynienia. Będziemy traktowani jako jeńcy wojenni, według zasad konwencji genewskiej.

W oddziale dziwny nastrój. Przede wszystkim rozdano resztę zapasów żywności, tak że można było dobrze zjeść. Rozdzielają też pomiędzy żołnierzy kasę pułkową. Dostałem nagle 1500 złotych. Była też mowa, że dostaniemy jakieś dolary. Może ktoś je dostał, ale do mnie nigdy nie dotarły. To miało być „potem”, ale oczywiście to „potem” nigdy nie nastąpiło. To zresztą nieważne. Najtrudniej jest z bronią. Mamy z nią wyjść i oddać Niemcom. Jednak do broni przez te wszystkie dni bardzo się przywiązałem. Rozstać się z moim stenem to wprost nie do pomyślenia. Zawsze myślałem, że będziemy razem do końca. Oczywiście, ten koniec miał być inny...

Rozmawiamy o tym z kolegami. Jeśli umowa z Niemcami jest, że mamy wyjść z bronią, to musimy dotrzymać swojej części. Jeśli wyjdziemy bez broni, to oni pomyślą, że broń ukryliśmy, i mogą się zacząć znęcać, aby im

powiedzieć, gdzie. Mój rozmówca jest wprost przeciwnego zdania: tych, co szkopy zobaczą z bronią, to od razu w czapę, i koniec.

W końcu załatwiliśmy to tak: ja swojego stena z magazynkami zakopałem w piwnicy jednego z domów przy Śniadeckich. Kolega dał mi swój karabin jeszcze polskiej produkcji sprzed wojny, ale bez zamka.

No i trzeba się trochę wyposażyć na ten wymarsz do niewoli. Do moich pięknych, skórzanych szelek, na których poprzednio wisiały magazynki do stena, a czasem granaty, umocowałem mały worek od ziemniaków – i plecak gotowy. Dobrze byłoby mieć koc, aby się czymś przykryć, bo być może ta niewola przeciągnie się aż do zimy. Z tym gorzej, bo szybsi i bardziej obrotni ode mnie już rozszabrowali, co się dało.

Miałem nieco więcej szczęścia z resztą ekwipunku. Udało mi się zdobyć ciepły sweter, a pewien cywil sprzedał mi za moje 1500 złotych całkiem możliwy płaszcz. No i oczywiście mam swoją srebrną łyżkę, z którą się nie rozstaję, bo jak wiadomo, żołnierz nigdy nie wie, kiedy mogą dać zupę.

4 października

Ożarów. A więc to była prawda. Wyszliśmy z Warszawy i jesteśmy jeńcami wojennymi. Mam bardzo rozmaite uczucia. Z jednej strony powstanie upadło, z drugiej strony – żyję. Że powstanie upadnie, wiedzieliśmy już przed końcem Starówki. Potem, w Śródmieściu, była jakaś nadzieja, gdy dochodziły wiadomości o lądowaniu czy pomocy zza Wisły. Ale przez ostatni tydzień znowu zaczęło wyglądać na to, że jednak nas wykończą. Tym razem nawet nie można było liczyć na jakiś przyjemny kanał, bo i dokąd? Byliśmy przecież już ostatnią dzielnicą.

Przez te końcowe dni byłem świadkiem ważnych wydarzeń. Przez „naszą” barykadę przechodzili parlamentariusze. Tę samą barykadę rozebrano, aby umożliwić wymarsz naszym oddziałom.

Odbyło się to bardzo uroczyście. Nasz oddział wymaszerował jako drugi. Ponieważ byliśmy z boku, przy barykadach, czekając na swoją kolej, miałem dobry widok na tych pierwszych. Uformowali się w głębi ulicy 6 Sierpnia i maszerują koło nas. Nie bardzo wiem, kto to jest. Podobno jakiś pułk piechoty. Nigdy nie słyszałem o żadnych pułkach, ale wyobrażam sobie, że skoro jesteśmy „prawdziwym” wojskiem, to musimy je mieć. W każdym razie maszerują bardzo bojowo. Uformowani w czwórki, z przodu oficer, potem żołnierze. Pierwsze czwórki niosą broń. Niosą też sztandary. Właściwie to są chyba te polskie flagi, które wisiały na domach podczas powstania. Fajnie to wygląda. Minęli barykadę i maszerują długą

kolumną przez pusty plac przed Politechniką. Niemcy są dopiero po drugiej stronie koło swoich pozycji w szpitalu.

Teraz nasza kolej. Formujemy się w czwórki. Ci z bronią z przodu. Są chorągwie. Jak to wszystko wygląda, nie chcę myśleć. My z przodu mamy jeszcze jakieś mundury. Polskie, niemieckie, kolejowe i jeszcze inne. W kolumnie są też nasze dziewczyny – koleżanki, łączniczki, sanitariuszki. Wreszcie jest trochę tych najmłodszych – łączników kanałowych – i innych, tych trzynasto-, czternastoletnich. Ale opaski biało-czerwone są wszędzie. Jestem w drugiej czwórce z boku, dobrze widzę, co się dzieje. Wreszcie rozkaz: „Oddział marsz!”.

Ruszamy. Z początku trochę niemrawo. Dobrze, że do wyjściowej barykady jest kilkaset metrów. Możemy uchwycić krok: raz-dwa, raz-dwa, lewa, lewa.

Kolumna powstańców idąca do niewoli na ulicy Pięknej (Piusa XI) między Marszałkowską a Kruczą i Mokotowską

Nie jest tak źle, jeśli się uwzględni, że ten oddział nigdy nie musztrował razem. Dochodzimy do naszej częściowo rozebranej barykady. Tu grupa oficerów i cywili. Wyglądają ważnie. Może to sam Bór-Komorowski? Nie mam pojęcia, jak on wygląda. Oficer prowadzący nasz oddział salutuje. My robimy coś w rodzaju „w prawo patrz!”. Teraz maszerujemy przez pusty plac. Napięcie się wzmaga. Niemcy tuż. Wreszcie wchodzimy na ich teren. Pozycje pomiędzy szpitalem a Politechniką. Stąd do nas strzelali. Teraz widzimy ich stanowiska z bliska. Spora grupa oficerów i żołnierzy trzymających peemy gotowe do strzału. Pewnie się boją, abyśmy się na

nich nie rzucili. Dawno nie byłem tak blisko Niemców. Ale jedyne strzały to aparaty fotograficzne. Tym bardziej staramy się wyglądać tak bojowo, jak się da.

Maszerujemy dalej ulicą Nowowiejską, wzdłuż Politechniki, potem Filtrową. Ulica pusta, ale co jakieś dziesięć metrów z obu stron stoją żołnierze z bronią. To oczywiście Wehrmacht, przeważnie starsi ludzie. Paru z nich ma łzy w oczach. Zdaje się, że co ich najbardziej wzrusza, to widok naszych najmłodszych chłopców – łączników – i kobiet w mundurach z opaskami.

Maszerujemy tak aż do placu Narutowicza. Domy po obu stronach ulicy stoją, chociaż widać ślady walki. Wchodzimy przez szeroką bramę na podwórze chyba szkoły. Tu robi się niemiło. Całe podwórze obstawione karabinami maszynowymi z załogami gotowymi do strzału. Czyżby pułapka? Tu by nas mogli łatwo rozwalić. Ale nie. Na środku podwórza spora kupa broni. Karabiny, steny, rosyjskie rusznice przeciwpancerne... Podchodzimy pojedynczo albo po paru i rzucamy naszą broń na ten stos. Potem rewizja osobista, zresztą niezbyt dokładna, i wypychają nas przez inne wyjście na zewnątrz. Nawet nie zabrali mi zegarka, może dlatego, że przezornie zapiąłem go powyżej łokcia.

Formują nas znowu w kolumnę i po pewnym czasie zaczynamy maszerować gdzieś na zachód, z dala od Warszawy. Pod wieczór dochodzimy. Teren fabryki obstawiony dookoła żołnierzami. Fabryka Kabli Ożarów. Wchodzimy do pustych hal fabrycznych. Wszystkie maszyny i urządzenia wywieziono. Puste betonowe podłogi, na których układamy się, jak możemy. Ciemno i zimno.

Ulica Długa przy skrzyżowaniu z Miodową

8 października

W wagonie kolejowym w Berlinie. Jest tu fajnie. Oczywiście, to jest względne. Jestem jednym z pięćdziesięciu siedmiu „pasażerów” wbitych w niewielki wagon towarowy. Wagon oczywiście zamknięty i zaryglowany. W górze małe okienko, ale całkowicie zabite deskami. Jest bardzo ciasno, nie ma dosyć miejsca, aby się położyć na podłodze. Mogę tylko siedzieć skulony pod ścianą. Ale mam własne okienko, które dzielę tylko z jednym kolegą. Tu trzeba wyjaśnić, że „okienko” to wycięta scyzorykiem dziura w drewnianej, zewnętrznej ścianie wagonu, około czterocentymetrowej średnicy. W naszym wagonie jest takich otworów kilkanaście. Pierwszy został wycięty w nocy, gdy pociąg był w ruchu. Obawialiśmy się, co Niemcy zrobią, jak to zobaczą w dzień, gdy pociąg stanie. Pociąg jechał bardzo wolno i stawał wielokrotnie, ale nic się nie stało. Niemcy dotrzymują umowy i jesteśmy rzeczywiście pod opieką Wehrmachtu, nie SS czy własowców. A ten Wehrmacht to Volksturm, czyli ostatni pobór starszych ludzi. Jeśli nawet nie są przyjaźnie nastawieni do nas, to nie są nieprzyjaźni. Od tych, co z nimi rozmawiali, wiem, że tylko robią swoje i wyglądają końca wojny.

Na jednym z postojów zgłosiłem się na ochotnika do przyniesienia wody. Mała stacyjka, jakieś wagony, jakieś gruzy. Idziemy z wartownikiem wzdłuż naszego pociągu. Wszystkie wagony podziurawione jak sito. Że też nam nie pozabierali noży i scyzoryków!

Pociąg wreszcie ruszył, ale po paru godzinach i z wieloma przystankami. Stanęliśmy na dobre, stoimy już parę godzin. Jesteśmy w Berlinie albo bardzo blisko. Pociąg stoi na nasypie, skąd jest dobry widok w obie strony. W nocy było widać łuny pożarów z obu stron.

Wtem zaczyna się spora kanonada artyleryjska. Co najmniej jedno działo stoi niedaleko stąd. Nalot! Trochę nieprzyjemnie, bo stoimy w tym pociągu na nasypie, wystawieni ze wszystkich stron. Oczywiście nie można uciec z zamkniętych wagonów. No i to, że naloty często są kierowane właśnie na tory kolejowe. Wreszcie bomby. Z początku daleko, potem coraz bliżej. Najbliższy wybuch może o kilkaset metrów od nas. Czegoś takiego nigdy nie doświadczyłem. Poszczególne wybuchy zlewają się w jeden nieustający grzmot. Czuć wyraźnie, jak ziemia się kołysze. To musi być jeden z tych słynnych nalotów tysiąca bombowców, o których słyszeliśmy przez radio BBC.

Dobrze im tak. Za Warszawę!

Epilog

Ta garstka wspomnień nie może być kompletną historią grupki dziesięciu chłopców, stanowiącej w pewnym okresie pierwszą drużynę drugiego plutonu trzeciej kompanii harcerskiego batalionu „Parasol”. Zeszliśmy się w okupowanej Warszawie głównie przez należenie do tajnych kompletów gimnazjum Lelewela. Potem było tajne harcerstwo. Wycieczki poza Warszawę, ogniska. Wtedy śpiewaliśmy „Płonie ognisko i szumią knieje...”. Kto by mógł przewidzieć, że po latach inni będą śpiewać o nas „Pałacyk Michla, Żytnia, Wola...”.

Na tym szlaku Wola–Starówka–Czerniaków zginęło siedmiu moich przyjaciół. W wielu wypadkach dokładne okoliczności śmierci nie są jasne, bo świadkowie też zginęli. Niektórych ciał nie znaleziono nigdy albo ich nie zidentyfikowano. Jedyny ślad to pseudonimy wyryte na płycie „Parasola” na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Z trzech pozostałych: „Baszkir”. Jedyny z naszej drużyny, który nie został ranny. Byliśmy jakiś czas razem w obozie jeńców, w stalagu XB-Sandbostel, koło Bremy. Po uwolnieniu przebywał jakiś czas w Niemczech, a potem wrócił do kraju, gdzie miał rodzinę. Dzięki swojemu młodemu wiekowi (w powstaniu miał szesnaście lat) uniknął zainteresowania ze strony UB. Skończył studia inżynieryjne. Mieszka w Warszawie.

Zbigniew Czajkowski-Dębczyński na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, przy tablicy z nazwiskami jego kolegów z „Parasola”, sierpień 1999

„Sławek”. Ciężko ranny na Czerniakowie. Jeden z niewielu, którzy uniknęli rzezi rannych na przystani. Wrzucony do łodzi i przetransportowany na prawy brzeg Wisły. Spędził wiele miesięcy w szpitalach. Najstarszy z nas (w powstaniu miał dwadzieścia lat), nie mógł, niestety, uniknąć uwagi UB, które mu utrudniało życie. Niemniej skończył studia i żyje w Warszawie.

„Deivir” – autor. Po uwolnieniu z niewoli w Niemczech głównym tematem naszych rozmów było: co robić dalej? Nikt chyba nie miał

złudzeń, że w kraju czeka nas radosne przyjęcie, zgotowane „bohaterom walki o wolność”. Było dosyć czasu, aby w obozie rozmyślać o tym, że ci, którzy mieli nas „wyswobodzić”, nie są bynajmniej najlepiej nastawieni do takich jak my „reakcjonistów”. Okropne wrażenie robiły docierające z kraju numery wydawanych tam gazet, pełne nienawiści do tego, co uważaliśmy za normalne i za co walczyliśmy. Zaczęły też dochodzić wiadomości o aresztowaniach i przesłuchaniach byłych żołnierzy „Parasola” i ich rodzin. Bo tacy, co potrafili zgładzić Kutscherę, są niebezpieczni... To nie brzmiało zachęcająco.

Co do mnie, to zawsze marzyłem, aby być inżynierem, konstruować nowe urządzenia... Takie możliwości otwierały się w Anglii... Tam też wylądowałem, przebywszy drogę, która prowadziła przez Alpy do wojska polskiego we Włoszech. Trafiłem do obozów w Anglii, a potem ukończyłem studia w Londynie.

Od wydawcy

„*Dziennik powstańca* przeczytałem dwukrotnie i gotowy jestem wygłosić długą pochwałę. Jest to świetna proza i fakt, że napisał ją młodzieniec, budzi moją zazdrość”, chwalił książkę Zbigniew Herbert (list z Berlina, 12 XII 1969 roku), wieloletni przyjaciel Zbigniewa Czajkowskiego-Dębczyńskiego.

W chwili wybuchu powstania warszawskiego autor *Dziennika...* miał zaledwie siedemnaście lat. Jako „Deivir” – żołnierz legendarnego „Parasola” – służył bezpośrednio pod dowództwem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Był naocznym świadkiem śmierci i polowego pochówku poety 4 sierpnia 1944 roku, co opisał na kartach swych wspomnień. Po latach wskazał miejsce powstańczego grobu Baczyńskiego, gdzie od 1999 roku, na kamieniu na tyłach Ratusza, widnieje pamiątkowa tablica.

Dziennik powstańca poświęcił poległym kolegom. Większość książki dotyczy walk na Starym Mieście w sierpniu 1944 roku. Jest też epizod wrześniowy – przejście kanałami do Śródmieścia, gdzie w rejonie Politechniki Autor walczył do końca powstania.

Po kapitulacji Zbigniew Czajkowski został wywieziony do obozu jeńców w Sandbostel koło Bremy. Po wyzwoleniu ukończył Liceum Polskie

w Lubece. Od 1947 roku mieszkał w Anglii, gdzie po studiach inżynieryjnych na Uniwersytecie Londyńskim pracował w przemyśle elektronicznym, potem założył własną firmę i osiągnął wybitne sukcesy.

Zmarł w Londynie 20 października 1999 roku i zgodnie z ostatnią wolą pochowany został na Powązkach Wojskowych w Warszawie, wśród żołnierzy powstania.

Przez wiele lat *Dziennik powstańca* nie mógł ukazać się w Polsce. Jego edycja w 1969 roku w Wydawnictwie Literackim stała się wydarzeniem o charakterze literackim i politycznym. Zbigniew Herbert pisał w liście do Autora i Jego żony Magdaleny Czajkowskiej (później autorki książki *Herbert i „Kochane zwierzątka”*): „Jest już dawno w Polsce wyczerpana i w ogóle sprzedawali ją spod lady” (list z 6 IX 1969 roku).

Doskonale napisana, przejmująca, pełna emocji, ale i refleksji relacja naocznego świadka, uzupełniona między innymi materiałami z archiwum Autora, porusza współczesnych czytelników w Polsce i za granicą. W 2012 roku książka została wydana w Londynie, w tłumaczeniu na język angielski Marka Czajkowskiego, syna Autora.

Źródła ilustracji

Z prywatnego archiwum Magdaleny Czajkowskiej

fot. Marian Grabski „Wyrwa” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Stefan Bałuk „Starba”, „Kubuś” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Karol Pęcherski / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Eugeniusz Lokajski „Brok” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Z prywatnego archiwum Magdaleny Czajkowskiej

fot. Marian Grabski „Wyrwa” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Eugeniusz Lokajski „Brok” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Jerzy Chojnacki „Chojna”/ Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Eugeniusz Lokajski „Brok” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Eugeniusz Haneman / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Z prywatnego archiwum Magdaleny Czajkowskiej

fot. Eugeniusz Lokajski „Brok” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Jerzy Chojnacki „Chojna”/ Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Joachim Joachimczyk „Joachim” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Jerzy Kokczyński „Boczkowski” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Eugeniusz Lokajski „Brok” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Joachim Joachimczyk „Joachim” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Edward Wojciechowski / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Eugeniusz Haneman / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Joachim Joachimczyk „Joachim” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Marian Grabski „Wyrwa” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Joachim Joachimczyk „Joachim” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Edward Wojciechowski / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Czesław Gerwel „Orłoś”/ Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Edward Wojciechowski / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

fot. Wiesław Chrzanowski „Wiesław” / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Z prywatnego archiwum Magdaleny Czajkowskiej

Podziękowania od Wydawcy

Pani Magdalenie Czajkowskiej, żonie Zbigniewa Czajkowskiego-Dębczyńskiego, za okazane zaufanie i pomoc w przygotowaniu książki oraz udostępnienie zdjęć i materiałów z prywatnego archiwum;

Muzeum Powstania Warszawskiego za efektywną współpracę;

Studium Polski Podziemnej w Londynie za udostępnienie fotografii na okładkę książki.

Redaktor prowadzący: Dorota Koman
Redakcja: Dorota Koman
Korekta: Irma Iwaszko, Mateusz Szmigiero

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: Anna Pol
Łamanie, montaż: manufaktura | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na I stronie okładki: Ze zbiorów Studium Polski Podziemnej w Londynie
Zdjęcie na IV stronie okładki i na skrzydełkach:
fot. Eugeniusz Haneman / Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Wydanie pierwsze w tej edycji
(poszerzone wydanie *Dziennika powstańca*, 1969, 1999)
Warszawa 2014

ISBN 978-83-63656-10-2

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o. o.
ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa
tel./faks: 48 22 839 91 27
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com